

Sven Hassel

Generał SS

Tłumaczył z francuskiego
Juliusz Wilczur-Garztecki

O świecie wielkie bagno śmierdziało.

Wpatrywały się w nas oczy martwe i zgniłe.

Nieopisany smutek płynął z czaszek o pustych oczodołach,

Lecz mimo wszystko trawa łąkowa rozrastała się wspaniale.

Dedykuję tę książkę memu synowi Michaelowi oraz jego młodym rówieśnikom, w nadziei, że ich życie służyć będzie ratowaniu ludzi, a nie ich unicestwianiu tak, jak to czyniło moje pokolenie i ja sam.

Niemcy miały to szczęście, że znalazły przywódcę, który umiał zjednoczyć wszystkie siły kraju dla dobra wspólnoty.

„Daily Mail”, Londyn, 10.07.1933

Sobota 3 czerwca 1934 r. była w Berlinie dniem najgorętszym od lat. Historia zaś uczyniła go jednym z najkrwawszych. Na długo przed wschodem słońca miasto otoczył szczelny kordon oddziałów zbrojnych: wszystkich prowadzących do miast dróg strzegli ludzie generała Goeringa i Reichsführera SS Himmlera.

O godzinie 5 rano wielki, czarny mercedes z napisem na przedniej szybie „SA Brigadenstandarte” został zatrzymany na szosie między Lubeką a Berlinem, jednym szarpnięciem wyciągnięto z niego i wrzucono do samochodu policyjnego generała brygady. Zaś jego kierowcy, Truppenführerowi SA Horstowi Ackermannowi, poradzono, aby zniknął natychmiast. Pognął więc na złamanie karku do Lubeki, gdzie złożył meldunek szefowi policji. Ten z początku nie chciał mu uwierzyć. Z czołem ociekającym potem przemierzał wielkimi krokami swój gabinet, potem wezwał swego starego przyjaciela, szefa policji kryminalnej. Obaj należeli do SA, starej gwardii narodowosocjalistycznych oddziałów szturmowych, lecz w zeszłym roku, jak wszyscy oficerowie policji Trzeciej Rzeszy, zostali przeniesieni do SS.

- Grünert! To może być tylko pomyłka! Przecież nie można ot tak aresztować jednego z najstłanniejszych oficerów SA!

- Tak sądzisz? - Zachichotał radca policji kryminalnej.

- Można zrobić o wiele więcej! Radzę ci odejść jak najdalej od telefonu i obserwować ulicę. Masz klucz od tylnych drzwi? Mam nadzieję, że nikt o tym nie wie? Co do mnie, od dawna przewidywałem nadejście tego dnia i przygotowałem się do niego, obserwowałem objawy. Eicke nieźle sobie teraz daje radę, a obóz Bergemoor ewakuowano. Ale nie jest powiedziane, że ma pozostać pusty. To esesmani Eickego go przejęli, jego mordercy są gotowi.

Generał brygady Paul Hatzke został umieszczony w celi w dawnej szkole podchorążych w Gross Lichterfeld, obecnie to koszary ochrony Adolfa Hitlera. Więzień palił spokojnie siedząc na stosie cegieł, wyciągnąwszy przed siebie nogi w kawaleryjskich butach. Generał brygady Paul Hatzke, naczelny dowódca policji SA, złożonej z 50 000 ludzi, oraz eskapitan gwardii Jego Cesarskiej Mości, nie miał żadnych powodów do obaw. W ogóle ich nie miał. Słyszał było hałasy i to wszystko. Co chwila trzaskały drzwi, od czasu do czasu rozlegał się krzyk. Esesman, który odprowadził go do celi, mruknął słowo „bunt”. Co za idioci!

- Buntują się członkowie SA? Wiedziałbym o tym! - Wrzasnął generał. - To potworna pomyłka!

- Oczywiście - potwierdzili esesmani. - Oczywiście, to zawsze pomyłka.

Generał podniósł wzrok na zakratowane okienko i otworzył czwartą paczkę papierosów.

- „Bunt” - z tego co wiedział, SA nie miało potrzebnej do tego broni. Co do tego był bardzo szczegółowo poinformowany. Prawda, że ludzie w SA nie aprobowali rewolucji z roku 1933. Nie dotrzymano żadnych obietnic, danych dwóm milionom członków SA, nawet tego, że zapewni się im pracę, czyli tego, czego żądało 90% z nich. Na pewien czas zrobiono z nich policję pomocniczą z nędznym uposażeniem, niższym, niż zasiłek dla bezrobotnych w czasach Republiki Weimarskiej. Prawie wszyscy zostali na lodzie. Niezadowoleni, to prawda, ale zbuntowani przeciw Führerowi? Nigdy! Gdyby ludzie z SA podnieśli głowy, byłoby to przeciw starej Armii Rzeszy, wrogowi numer jeden ludzi pracy.

Nastawił uszu. Czyżby salwa? Silnik ciężarówki ryczał pełną mocą; strzelała rura wydechowa. Ciekawe, a przecież zdawało mu się, że słyszy strzał karabinowy. Ale jakżeż, salwy w samym środku Berlina, w czasie tej cudownej, letniej soboty? Gdy ludzie wyjeżdżają na niedzielne urlopy?

Dłonie mu zwilgotniały, jeszcze dwa strzały... Na Odyna i Thora! Tak, wystrzały. Silnik ciężarówki ryczał nieustannie. Czy po to, aby zagłuszyć inny hałas? Zadrżał. Co właściwie robi banda Himmlera? Przecież nie rozstrzeliwuje się ludzi z powodu zwykłego podejrzenia! Może u tych dzikusów południowych Amerykanów, ale nawet nie u Rosjan. Zrobili dobre wrażenie na nim ci Rosjanie, gdy był na stażu oficera rezerwy w Moskwie, od 1925 do 1928 roku. Oficerowie radzieccy byli znakomici, instruktorzy również; znali się na walkach ulicznych i oficerowie niemieccy wiele im zawdzięczali.

Jeszcze jedna salwa! Czy to były ćwiczenia, czy też rzeczywiście było coś z prawdy w tym, co mu powiedziano? Zbuntowani ludzie z SA mogli być tylko szaleńcami. Z resztą stali się zbyt liczni, zwerbowano do SA członków konserwatywnego Stahlheimu, którego głową był książę. Co trzeba teraz zrobić z tą zemstą szlachty?

Silnik ciężarówki ryczał nieustannie. Zdjęty grozą generał pojął, że nie idzie o żadne ćwiczenia, sprawa stawała się poważna. Od kilku godzin strzelał pluton. Co u diabła kryło się za tą hordą SS? Na przykład ów straszliwy, mały bibliotekarz z Monachium to człowiek śmiertelnie niebezpieczny, próżny i zgryźliwy, do tego, jak opowiadano, homoseksualista. A co zrobił Führer z tego Himmlera, człowieczka chorobliwie podejrzliwego?

Hałas butów przed drzwiami jego celi. Skrzypnął zamek. W wejściu pojawił się

Untersturmführer SS i czterech esesmanów w błyszczących stalowych hełmach. Wszyscy należeli do dywizji „Totenkopf” Eickego, która jako jedyna z esesowskich dywizji nie nosiła na kołnierzach wyhaftowanych liter runicznych SS, lecz trupie główki.

- Nareszcie! - Warknął wściekły Paul Hatzke. - To wam się nie upiecze. Poczekajcie tylko, aż pogadam o tym z generałem Roehmem, ten wam zada bobu!

Nie dostał żadnej odpowiedzi, natomiast wypchnięto go brutalnie z celi, otoczyło go czterech esesmanów, z Untersturmführerem idącym z tyłu, brzęczącym ostrogami. Miał ledwie dwadzieścia lat, wyraz młodzieńczej twarzy twardy jak granit, spod hełmu wystawały mu złotoblond włosy, oczy miał koloru niezapominajek. Twarz aniola z dolną szczęką tak zaciśniętą, że musiało go to boleć. Ale tacy byli esesmani. Roboty, dokładnie trzymające się regulaminu.

Blask słońca oblewał brudne budynki koszar. Szli po ostrych kamieniach, tych samych płytach, które oglądały ośmioletnie, ćwiczące tu musztrę dzieci. W tych koszarach przez całe lata przygotowywano mięso armatnie dla cesarskich armii, mięso armatnie z najlepszych niemieckich rodzin, chłopców zrodzonych do służby wojskowej. We wszystkich domach Rzeszy można było zobaczyć wyblakłe zdjęcia szesnastoletnich dzieci, w hełmach, w pięknych mundurach, wyruszających krokiem defiladowym ku polom Alzacji, pod ogień francuskich armat siedemdziesiątek piątek w 1914 roku. Nauczyli się umierać, to było zasadą w dobrych, pruskich rodzinach, a być może śmierć zdawała im się rajem po ośmiu latach nieludzkich ćwiczeń na kamiennym bruku Gross Lichterfeld.

Przeszli koło stajni, w których roilo się od uzbrojonych po zęby żołnierzy, należących do ochrony Führera i do dywizji „Totenkopf”.

Teraz bardzo wyraźnie słysząc było warkot silnika. General brygady zatrzymał się.

- Co wy zamierzacie? Gdzie mnie prowadzicie? - Zapytał nerwowo.

- Mam rozkaz zaprowadzenia pana do Standartenführera SS Eickego - kpiąco odparł podoficer. - Proszę nie robić trudności, to na nic się nie zda.

Uspokojony generał uśmiechnął się. Oczywiście było, że nie rozstrzeliwano bez sądu, tego rodzaju rzeczy nie wydarzały się w Niemczech. Tu panował porządek, dobry, pruski porządek i przecież to dzięki temu porządkowi sięgnęli po władzę. Sam Führer powiedział to starym kombatantom: - „Teraz koniec z demokratyczną paplaniną i nieporządkiem. Od tej chwili w Niemczech panuje porządek, a ci, którzy będą go sabotować, znikną”.

Minęli stajnie i weszli na małe podwórko, całkowicie otoczone wysokimi murami. Było to niegdyś podwórko podchorążych, skazanych na karę aresztu. Stała tam ciężarówka, wielki diesel produkcji Kruppa. Za kierownicą siedział esesman w czarnym mundurze z odznakami

„Totenkopf” i spokojnie palił papierosa, spoglądając na nowo przybyłych.

Grupa oficerów w mundurach czarnych i wojskowych stała pośrodku podwórka. Na jego końcu stał dwunastoosobowy pluton. Pierwszy szereg klęczał z karabinami trzymanymi pionowo, drugi stał za nimi z bronią u nogi. Po stronie stajni czekały dwa inne plutony, gotowe jako zmiana. Dwadzieścia egzekucji, a po nich zmiana. Ach, generał Paul Hatzke znalazł regulamin na pamięć!

Na ziemi leżał powalony człowiek w złocistobrzozowym mundurze SA, z twarzą wciśniętą w czerwony od krwi piasek. Na jego ramieniu widniał złoty epolet Obergruppenführera SA, można było też dostrzec czerwone, generalskie wyłogi. Paul Hatzke poczuł, że wzdłuż kręgosłupa sphywa mu zimny pot, zbladł jak ściana i pomimo upalnego dnia zaczął się trząść.

Hauptsturmführer SS z plikiem papierów w dłoni podszedł do małej grupy.

- Nazwisko? - Krzyknął.

- Brigadenführer SA Paul Egon Hatzke.

Człowiek kiwnął głową i przekreślił coś na swym papierze. Dwaj esesmani wrzucili rozciągnięte na ziemi ciało na ciężarówkę.

- Naprzód! - Warknął Hauptsturmführer - Stańcie tam pod murem, i to natychmiast.

- Ale chcę się zobaczyć ze Standartenführerem Eickem! - Zawołał przerażony generał.

Ktoś pchnął go rewolwerem w nerki.

- Dość głupstw, to daremne. Wykonajcie rozkaz. Generał rozejrzył się rozpaczliwie. Kamienne twarze o nieprzeniknionym wyrazie pod stalowymi hełmami z literami SS. Dalej, koło stajni, mur ociekał krwią i mały jej strumyczek płynął do ścieku.

- Stań tam dobrowolnie, zdrajco jeden! - Wrzasnął Hauptsturmführer, machając plikiem papierów. - Albo zabijemy cię na miejscu.

Generał poczuł uderzenie w twarz, długa rysa, z której krew sphywała na złoty naramiennik, przecięła mu twarz. Zrozumiał, że to koniec, koniec marzenia o państwie socjalistycznym i sprawiedliwym. Zrozumiał, że esesmani, Heydrich, Goering, wzięli górę, więc z rękami skrzyżowanymi na piersi, bardzo spokojny, stanął wyprostowany pod zakrwawionym murem.

Silnik ciężarówki zaryczał. Generał bez lęku i nienawiści wpatrywał się w wyloty luf esesmańskich karabinów. Był męczennikiem, bohaterem państwa socjalistycznego, o którym śnił. Paul Hatzke uśmiechnął się do swej śmierci i z całej siły zawołał: - Niech żyją Niemcy, niech żyje Adolf Hitler! - I padł bezwładnie na piasek.

Następny oficer SA czekał na swoją kolej. Rzeź trwała przez cały dzień i prawie całą

noc.

- Zabijajcie ich natychmiast po identyfikacji! - Krzyknął Eicke, gdy mu powiedziano, że jeden z jego starych kumpli chciał się z nim widzieć.

Ta orgia mordów trwała w całych Niemczech przez prawie tydzień, a masakry z 30 czerwca walnie przyczyniły się do umocnienia władzy Himmlera, Heydricha i Eickego. Himmler, niegdyś nikomu nieznany, drobny biurokrata, próżny jak paw; Heydrich, zdegradowany oficer i Teodor Eicke, alzacki karczmarz.

W kilka dni później żołnierze plutonów egzekucyjnych i wszyscy oficerowie z wyjątkiem czterech zostali wykluczeni z SS, W sumie 6 000 ludzi. Zlikwidowano 3 500 z nich pod różnymi pretekstami przed końcem roku. Był to pomysł Eickego, który wielce poruszył Goeringa. Ci którzy przeżyli, poszli gnić do Bergemoor. Ale minister Propagandy Goebbels ogłosił, że wszyscy ci ludzie zginęli w walce z buntem SA, a Rudolf Hess uczcił ich jako męczenników.

- To tak właśnie pisze się historię - stwierdził wesóło Eicke, stukając się kieliszkiem z Goeringiem w jego kwaterze głównej przy Leipziger Platz.

Plan tej rzezi został uzgodniony 24 czerwca z generałem armii Waltherem von Reichenau, członkiem Naczelnego Dowództwa Reichswehry. Goering i Heydrich usilnie nalegali, by Armia brała w tym udział, a generałowie przyłączyli się do SS. Natomiast Hitler, który wiedział o wszystkim, udał się na ten dzień do Essen, na ślub Gauleitera Terbouena. Godzina masakry wybiła w samym środku obchodów weselnych.

Rozdział 1

Partyzant

Przed nami można było odgadnąć zarysy Stalingradu. Wyszliśmy więc z czołgu, by popatrzeć na unoszącą się nad miastem olbrzymią chmurę dymu. Płonęło, jak mówiono, od sierpnia, od pierwszych bombardowań lotnictwa niemieckiego.

Ale w rzeczywistości mogliśmy dostrzec tylko srebrną wstęgę Wołgi, odbijającą promienie jesiennego słońca. Za sobą mieliśmy wyczerpujący marsz i zaciekle walki.

Od czterech miesięcy mieszkaliśmy wewnątrz czołgu. Tam jedliśmy i spaliliśmy. Zatrzymywaliśmy się tylko dla nabrania paliwa i amunicji, gdy docierały do nas opancerzone ciężarówki z zaopatrzeniem. Nerwy nie wytrzymały, klóciliśmy się o byle co. Mały chciał rozwalić łeb Heidemu z powodu kawałka chleba, a ponieważ wzięliśmy stronę Małego, Heide musiał przez sto kilometrów wisieć przywiązany do tylnego wejścia. Dopiero, gdy nałykał się do syta tlenku węgla i padł zemdlony, wciągnęliśmy go do środka.

Przez cały dzień czołg posuwał się ku Woldze. O zachodzie słońca dostrzeżliśmy inny czołg, unieruchomiony na skraju lasu. Jego dowódca siedział paląc na wieżyczce i wszędzie panował tak cudowny spokój, jakbyśmy byli na wielkich manewrach.

- Nareszcie! - Mruknął Stary z ulgą. - Otóż i mamy towarzystwo. Bałem się, że zabłądziłem, te rosyjskie mapy są nieprawdopodobne.

Uszczęśliwiony Porta zatrzymał się o kilka metrów od czołgu, my zaś otworzyliśmy wszystkie włazy, aby odetchnąć rześkim, jesiennym powietrzem, ocierając spocone i zakurzone twarze.

- Wszystko w porządku? - Zawołał Stary. - Jeszcze trochę, a minęlibyśmy się! Gdzie jest dowódca kompanii?

Ale w chwili, gdy gotów był skoczyć na ziemię, dowódca tamtego czołgu wskoczył do włazu, zatrzasnął klapę.

- To Iwan! - Wrzasnął Stary. - Na stanowiska bojowe!

Zanim radziecki czołg zdołał wycelować armatę, kumulacyjny granat podkalibrowy rozwalił mu wieżyczkę, która wybuchła jak wulkan ognia.

Objechaliśmy to miejsce wielkim łukiem i nagle, o kilka metrów przed nami, pojawiło się dziewięć stojących nieruchomi T 34, których armaty wycelowane były wzdłuż drogi naszego przybycia. Za późno, by wrzucić wsteczny bieg! Ale Rosjanie nas nie zauważyli i oni też cieszyli się spokojem wieczoru.

Ujrzawszy w peryskopie dziewięć potworów Porta mimo woli zahamował, ale Stary pozostał obojętny. Wystawił głowę przez właz, a z daleka jego hełm mógł się zdawać podobny do rosyjskiego.

- Pełny gaz naprzód! - Szepnął do mikrofonu interkomu. - Jedyne ratunek, to ich ominąć.

Porta zaszarżował jak szalony. Pierwszy z brzegu idiota usłyszałby różnicę warkotu silnika, ale Rosjanie nie wykazywali żadnych oznak podejżenia. Machali do nas przyjacielsko, na co Stary wesoło odpowiadał; minęliśmy ich, a w godzinę później po dwóch stronach drogi ukazały się domy. Na stacji stał pociąg towarowy, wypuszczając z gwizdem parę; obok cała wataha czołgów i roilo się od żołnierzy, ale skryły nas ciemności i nikt nic nam nie powiedział. Był też sztab w pełni aktywności. Odgonił nas żandarm, by zrobić przejście dla opancerzonego wozu jakiejś wysokiej szczy.

- *Dawaj!* I to już! - Zawołał, wymachując pałką.

Przez kawałek drogi jechaliśmy za stalinowskimi czołgami. Na jednym ze skrzyżowań, chronionym przez działa przeciwpancerne, skierowano nas w stronę Stalingradu i przejechaliśmy przed kolumną T 34, stojącą na poboczu drogi. Ich załogi spały za otwartymi pokrywami luków. Stary dał rozkaz otwarcia naszych, aby nie zwrócić na nas uwagi - żadna załoga czołgu nie podróżuje z zamkniętymi tylnymi klapami. Batalion piechoty zajmował całą drogę i gdy przepychaliśmy się naprzód, runął na nas deszcz przekleństw. Kolejny objazd. Unikając wjeżdżania do lasu dotarliśmy na koniec do naszych pozycji.

W trzy dni później znaleźliśmy się nad brzegiem Wołgi, o dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Stalingradu. Wszyscy tutaj zbiegali pospiesznie z wysokiego brzegu, by napełnić manierki świeżą wodą. Każdy chciał pierwszy napić się wody z Wołgi, rzeki pięciokilometrowej szerokości, po której pchał się holownik, ciągnąc za sobą jak ogon wyładowane barki. Nagle odzywa się artyleria połowa, tryskają gejzery wody, a nieszczęsny holownik zygzakuje, by uniknąć trafienia. Nic z tego! Biorą go w widły jeden pocisk z przodu, drugi z tyłu, dwa trafiają w środek, a holownik przełamuje się na dwoje i tonie. Następnie nadeszła kolej barek, kołyszących się w nurcie rzeki. W dziesięć minut później na powierzchni Wołgi nic już nie było widać.

Stalingrad płonie. Duszący odór pożaru dolatuje aż do nas, wywołując mdłości. Powietrze pełne jest sadzy i popiołu; ten straszliwy smród lepi się do skóry, do ubrań, do wszystkiego... Cuchnący smród, który nie opuści nas jeszcze przed długie miesiące po bitwie.

Widzieliśmy wiele płonących miast, ale żaden odór nigdy nie był podobny do tamtego; żaden kombatant spod Stalingradu do końca życia nie zapomni smrodu tego umierającego

miasta, który w niezrozumiały sposób równocześnie nas przyciągał i odpychał.

Kompania okopała się naprzeciw kurhanu Mamaja, gdzie cały sztab radziecki bronił się w starych jaskiniach. Nocą nasze miotacze min ryły pagórki, a gdy pociski padały zbyt krótko, podmuch tych straszliwych bomb prawie wyrzucał nas z okopów. Krycie się w jamach przed takim ostrzałem musi być przeraźliwym przeżyciem. Czołgi zaatakowały, ale bez powodzenia. Po tym wściekły ostrzał został wznowiony. Następnie dokonała natarcia 14. Dywizja Pancerna, torując sobie drogę aż do grot, które zostały oczyszczone miotaczami ognia, a następnie białą bronią. Niewyobrażalna krwawa łaźnia! Komisarz polityczny z odznakami majora zostaje zlikwidowany przez oddział zbierający jeńców, podobnie robi się z członkami Komsomołu. Można zgodnie z prawdą powiedzieć, że w tej masakrze jeńców nawet esesmani nie działali z własnej woli. Wypełniali rozkaz Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, datujący się z roku 1942, jeden z owych niezliczonych idiotyzmów, które zachęciły Rosjan, by się bili do ostatniej kropli krwi.

Lato miało się ku końcowi, deszcz lał jak z cebra, wszystko zmieniało się w bagna, błoto lepiło się do butów. Trzy tygodnie nieustannego deszczu. Wszystko śmierdziało pleśnią, skórzane oporządzenie i nasze własne skóry, pomimo jakiegoś proszku, rozdawanego przez sanitariuszy i niesłużącego do niczego. Zaczęliśmy żałować dławiącego letniego kurzu.

Po deszczu nastąpiło zimno, z pierwszymi nocnymi przymrozkami, ale nadal obowiązywał zakaz wkładania płaszczy, zresztą wielu w ogóle ich nie miało. Wyrzucili je gdzieś na stepie, gdy temperatura wynosiła 40 stopni w cieniu. Zimowa, futrzana odzież miała jakoby nadejść, ale wcześniej nadeszły nowe oddziały.

Długie pociągi z rezerwistami i z rekrutami o twarzach gołowąsów, którzy z nierozwagą przeraźliwie heroiczną rzucali się na nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Rzeź, i jakże niepotrzebna! Większość z nich zaplątała się w druty kolczaste podczas pierwszego natarcia, a my słyszeliśmy ich jak umierają. Wysyłano ich bezpośrednio z koszar aż do Stalingradu, bez żadnego doświadczenia wojennego, napchanych tylko kłamstwami propagandy.

Pierwszy ostrzał artyleryjski złamał im dusze i maszerowali z błędnym wzrokiem wprost na rosyjską broń automatyczną. Mgła wstająca znad Wołgi otulała tych umierających lodowatym całunem.

Te siedemnastoletnie dzieci nawet nie płakały, dzieci, które zmuszono do zgłoszenia się na ochotnika. Niemiec nie płacze, to tchórzostwo. Wielu z nich, ze zmiążdżonymi płucami, umierało powoli z uduszenia. Udało nam się przyprowadzić z powrotem kilku, ale jakże to było trudne! Ślizgaliśmy się na kawałkach ciał i na trupach pokrytych gliną, ale gdy

nieprzyjaciel nas usłyszał, jakim łatwym celem byliśmy! Niedawno siedmiu naszych zostało w ten sposób zabitych. Obiecywano nam jeden dzień urlopu za każdych dwudziestu przyprowadzonych rekrutów. Było to kuszące, ale trzeba było zrezygnować z akcji ratowniczych, które przynosiły zbyt wysokie straty wśród doświadczonych kombatantów.

Zaciskał się pierścień wokół Stalingradu, gdzie miały się znajdować trzy armie rosyjskie. „Największe od wieków zwycięstwo” - zapewniała propaganda, ale zwycięstw mieliśmy po gardło! Dostyc zwycięstw! Niech skończy się wojna i to wszystko! Tylko Unteroffizier Julius Heide, fanatyk, był szczęśliwy.

- Dobra robota, nie ma co gadać. Teraz tylko weźmie się ten kawałek rzeki i w drogę na Moskwę!

Irytował nas.

Dowództwo włoskiej 8. Armii zażądało od niemieckiego Oberkommando Wehrmacht, by dać im pierwszemu wkroczyć do Stalingradu. Flaga włoska miała powiewać nad fabryką Krasnyj Oktiabr. Ale oto Włosi pokłócili się z Rumunami, którzy też chcieli być pierwsi.

- A niech ktokolwiek weźmie to kurewskie miasto! - Zażartował Porta - pod warunkiem, że ja będę z tyłu. Ale dziwi mnie, że makaroniarze nagle stali się odważni! Nigdy nie lubili miejsc, gdzie się strzela!

W okolicy zaczęło się więc roić od Włochów i od Rumunów. Siedząc w naszych okopach, przyglądaliśmy się długim kolumnom ich żołnierzy, maszerujących ze śpiewem na ustach, szczególnie bersalierom i ich dziwnym, podskakującym krokiem. Mały przez parę metrów biegł obok nich, ale nie zdołał tego naśladować. Trzeba całych lat treningu, by próby się udały. Natomiast Rumuni szli boso i z gołymi łydkami, a buty mieli zawieszane na sznurkach na plecach. Twierdzono, że nienawidzą obuwia, jednak w zamian za nie dostawaliśmy wielkie kiełbasy baranie.

Pewnego dnia, w oczekiwaniu na upadek Stalingradu, dano nam zadanie daleko za liniami radzieckimi. Szło o wysadzenie w powietrze bardzo ważnego mostu, przez który dzień i noc szło zaopatrzenie dla Rosjan. Ale uprzedzono nas, że zanim tam dotrzemy, będziemy musieli przejść przez olbrzymie bagno.

Bagno to przede wszystkim coś okropnego. Do tego każdy z nas, prócz swego zwykłego wyposażenia, miał nieść na piersiach nie dający odetchnąć, pojemnik z trzydziestoma kilogramami dynamitu. We dnie ukrywaliśmy się w gęstych zaroślach, w nocy trzeba było maszerować. Już drugiego dnia ukazało się bagno, w które zapadaliśmy się aż po kolana. Nic zdradliwszego niż te rosyjskie bagniska, śmierć czyha na was pod zielenią; ogromne żaby rechocą złowieszczo. Nagle jedna z nich skoczyła przed nas i zaczęła nam się

przypatrywać olbrzymimi oczami; było to tak zdumiewające, że Gregorowi puściły nerwy i cisnął w nią granatem, którego wybuch odbił się echem w całym lesie. Natychmiast rozległy się krzyki, groźny warkot silnika, zgrzyt gaśienic... Przerażeni padliśmy plackiem na ziemię.

- Iwan nas odkrył - szepnął Porta.

- Uciekajmy! - Proponuje Gregor.

Ale dokąd uciekać? Wokół nas bagno zdradliwe i bezdenne, przed nami Rosjanie, których krzyki stawały się coraz głośniejsze.

Między drzewami ukazał się złowrogi, oliwkowozielony nos T 34. Z nastawioną armatą ominął nas i skierował lufę w stronę bagniska. Trzy pociski... Gaśienice zaskrzypiały i czołg wspiął się na stromy brzeg. Ale nagle widać było, jak grzęźnie, jak wrywa się z błota, ślizga się, chwieje... Wśród bulgotu błota czołg znika w bezdennym bagnie.

Natychmiast pojawiają się ogarnięci paniką grenadierzy. W jaki sposób ten czołg mógł ot tak sobie zniknąć? Pistolet maszynowy Barcelony zmiata obce sylwetki. Niepokojąca cisza. Co robić? Trzeba uciekać, zanim otrząsną się ci, którzy przeżyli. Oto pojawia się jeden! Sierżant sztabowy zjawia się na szczycie stromizny i ostrożnie rozgląda. Za nim inni, roi się od zielonych hełmów. Deszcz granatów ręcznych, woda i błoto oblewają nas ze wszystkich stron.

- *Dawaj, dawaj!* - Krzyczy sierżant sztabowy, całkiem niewysoki człowieczek z pałakowatymi nogami w za dużych butach. - *Dawaj!*

- Ognia! - Komenderuje Stary.

Pierwszym, który pada jest sierżant z pałakowatymi nogami. Pozostali wałają się na ziemię i bagnisko ogarnia cisza. Żadnego dźwięku. Przez całą godzinę czekamy rozplaszczeni, nieruchomi i nagle ponowny hałas gaśienic... Czołg wdrapuje się na skarpe, robi to powoli, widać górną część wieżyczki, która z wolna się obraca, wielki wylot miotacza ognia obniża się. Między drzewa sięga długi język czerwonego ognia. Gorąco jest nie do zniesienia. Oczywiście Rosjanie myślą, że nadal jesteśmy w tym samym miejscu, które zmienia się w morze płomieni.

Wieżyczka się obraca, ogień zalewa blocko. Wszystko płonie. Po raz trzeci z tej potężniejszej rury wylatuje piekło. Rozplaszczamy się w błocie. Jeśli miotacz ognia wyceluje w naszą stronę, jesteśmy trupami.

Ale spod kłapy włazu wynurza się brązowy hełm czołgisty i okopcona twarz uważnie obserwuje okolicę. Porta unosi swój miotacz ognia. Zapiera nam dech. Jeśli chybi, niech Bóg się nad nami zmiłuje! Rysy twarzy ma ściągnięte, nie czas na żarty; celuje starannie... Trzy wytryski i płonąca ciecz wlewa się do otwartej wieżyczki! Powietrze rozdzierają trzy

straszliwe eksplozje, daleko odrzucając strzępy stali i martwe ciała... Tym razem to już koniec.

Idziemy dalej. Teraz Porta kroczy na czele, prowadzi po podwodnej ścieżce z powiązanych ze sobą pniach drzew, leżących pół metra poniżej błotnistej powierzchni. Człowiek może po nich przejść, ale to niebezpieczne! W razie ześlizgnięcia się to już koniec, bagno nigdy nie wypuszcza swej zdobyczy. Do tego wiemy z doświadczenia, że na takiej ścieżce roi się od pułapek, najwymyślniejszych pułapek. Odsuń na bok gałązkę, a grunt zapadnie ci się pod nogami; podnieś gałązkę, a wpadniesz na powiązane w pęk bagnety. Z drzewa zwisa niewinne pnącze, wystarczy je dotknąć, a salwa strzałek zabija całą kolumnę.

Porta posuwa się z wycelowanym miotaczem ognia. Zatrzymuje się co krok... Rozgląda się... Następny krok może okazać się śmiertelny. Przechodząc, nie dotykamy żadnej rośliny; w jednym z miejsc trzeba było przejść jak po równoważni po pniu, by uniknąć bagnetów ukrytych w jakimś gnijącym cieple; zwykle zadrapanie i już tężec. Dochodzimy do jeża, na którego widok prawie umieramy ze strachu. Bywa, że te zwierzątka przywiązane są do pułapek.

Za Portą idzie Mały, z lufą rewolweru wycelowaną do góry przeciw strzelcom ukrytym na drzewach. Jeśli podejrzewa się obecność strzelca, trzeba samemu wystrzelić pierwszy, a trudno ich zauważyć. W zakresie kamuflażu nikt Rosjanom nie dorasta do pięt: dwadzieścia cztery godziny bez ruchu w koronie drzewa, Sybirak to potrafi, widywaliśmy to. Nawet ptaki się nabierają. Człowiek staje się częścią drzewa, a one siadają na nim.

Nagle, bez ostrzeżenia, Porta kładzie się do wody. Tylko głowa z niej wystaje. Na jego znak bierzemy do ust rurki do oddychania, czapki maskujące zapewniają nam prawie niewidzialność na powierzchni wody. Upływa pięć minut. Nic... Wobec tego powoli unosimy głowy.

Zielony z żółtym ptaszek siedzi na spróchniałej gałęzi. Dziwny ptaszek. Kiwa zielonym ogonem, pochyla głowę, gwizdże, mruży oczy. Ten piękny ptak jest oczywiście niebezpieczny, on sygnalizuje.

Nasz instynkt drapieżnych bestii nas uprzedził: nieprzyjaciół jest tuż. Porta posuwa się na kolanach, tylko nieznaczny ruch wody wskazuje jego obecność. Prócz śpiewu ptaka ani dźwięku, ale ptak kręci głową jakby wiedział, że Porta zbliża się pod wodą.

Mały Legionista trzyma swój nóż w zębach. Porta wynurza się, rozgląda i z wahaniem wyciąga rękę do ptaka. Dwa cienie rzucają się na niego, ale szczeknął pistolet maszynowy, a Legionista wbił nóż w plecy jednej z zielonych sylwetek. Raz jeszcze to koniec.

Ptaszek zrywa się popiskując, skrywa się wśród krzaków i przez pewien czas słyszymy

jego dziwny głos.

- Co za okropność! - Mruczy Stary, który o mały włos przewróciłby się o pień drzewa.

- Uważaj, nieszczęśniku! - Ryczy Legionista. Nitki przywiązane do jednej z gałęzi łączą spróchniały pień z ładunkiem wybuchowym, ukrytym pod ścieżką. Stary blednie jak ściana.

- Udało ci się - mruczy Legionista. - Ale co to za życie!

Barcelona przewraca się z przejmującym krzykiem, ręka Małego wciąga go na chwiejące się zdradliwie deski. Wydaje się, jakby całe bagno nasłuchiwało, nawet żaby zamilkły. Tak, co za życie!

W kilka godzin później. Chatka zbudowana z konarów. Są tam trzech mężczyźni i dwie kobiety, ubrani w odrażające stroje bagiennych partyzantów. Zielone maski podnieśli na głowy, krąży wódka i są tak pijani, że nawet nie usłyszeli, jak się zbliżamy.

Poduszeni bez hałasu naszymi stalowymi garotami partyzanci zostają wrzuceni do bagna. Ale w chatce są też skrzynki! Amunicja, broń, wódka i suszone ryby. Cóż za uczta, te rosyjskie, suszone ryby!

Noc spędzamy w chacie na odpoczynku i piciu wódki. A nazajutrz docieramy do mostu. Jest kolosalny, większy i wyższy niż jakikolwiek widziany przez nas.

Na jego samym środku, w budce, położywszy pistolet automatyczny na balustradzie czuwa wartownik paląc papierosa. Most okryty jest siatką maskującą. Właśnie wtacza się na niego długa kolumna ciężarówek, za nią kompania T 34. Wartownik staje w ściśle regulaminowej postawie koło przejeżdżających oddziałów, a po tym, gdy tylko znikają, przyjmuje znów swą leniwą pozycję. Podobnie jak nam wszystkim, temu człowiekowi są zupełnie obojętne losy toczącej się wojny, pewnie marzy o swojej wiosce. Z daleka dolatuje nas zapach machorki, owego rosyjskiego tytoniu. Wartownik jest człowiekiem niemłodym, nosi ogromne, smutne wąsy, których końce zwisają na chińską modłę. W kącie ust trzyma źle zwiniętego papierosa, ubrany jest w zieloną, letnią bluzę, na głowie ma futrzaną czapkę. Dziwne umundurowanie!

- Im także musi brakować zimowych mundurów - mówi Mały. - Zupełnie jak u nas. Jeśli otrzymuje się futrzaną czapkę, trzeba się zadowolić letnią bluzą, a jeśli ma się zimowy płaszcz, sam się postaraj o przykrywkę łba!

By założyć ładunki wybuchowe trzeba wślizgnąć się pod most. Legionista wspina się jak małpa po betonowych filarach. Gregor i Heide ciągną przewody. Mały i Porta kłócą się, który z nich naciśnie detonator.

Nowa kolumna ciężarówek przetacza się mostem, ale przed nią jedzie dżip z czerwoną

chorągiewką. To wozy amunicyjne.

- Gdybyśmy tylko byli gotowi! - Wzdycha Porta.

- Jakież ognie sztuczne!

- Bez głupstw! - Karci go Stary. - Podmuch wysłałby nas do piekła wraz z nimi.

O świcie wszystko było gotowe, i oto pojawia się nowa kolumna.

- Wysadzę ich w powietrze w samym środku - chichocze, zacierając ręce, Mały.

- Nie ma mowy. Płacą nam za wysadzenie mostu i za nic więcej. Gotowi do wysadzania? - Pyta Stary, gdy tylko kolumna znikła. - No to ognia!

Wszyscy kładziemy się plackiem za skałami. Spóźnialskich rzuca na ziemie dmuchnięcie olbrzyma. Ale co...? Ale co...? Przecieramy oczy. Filary oczywiście znikły, stalowa konstrukcja ulotniła się, tylko betonowa nawierzchnia w jednym kawałku zanurzyła się pod powierzchnią wody. Nawierzchnia popękała, ale nic nie przeszkodzi przejechać tamtędy pojazdom! Stworzyliśmy najsolidniejszy na świecie most... Żaden lotnik go teraz nie wypatrzy!

Teraz ogarnął nas szaleńczy śmiech. Przebiegliśmy rzekę po moście i w samym jego środku woda sięgała nam ledwie do kolan.

- Nie da się tu nawet popływać! - Wybuchnął śmiechem Gregor.

- Dość - rzekł Stary - i dajemy nogę. Za pięć minut będzie koniec ze śmiechem.

I oto znów jesteśmy w lesie. Ścieżki, strumienie i zawsze, zawsze las. Bez wątplenia zablądziliśmy. Nagle drwał! Stary człowiek, rąbiący drzewo przed swą chatą.

- *Zdrawstwuj, towarzyszu* - mówi Porta z uprzejmą miną.

Zaskoczony drwał podnosi głowę. Jest stary, jakże stary. Ma niezwykle niebieskie oczy, zapadnięte pod gęstymi brwiami. Upuściwszy siekiere spogląda na nas ciekawie, a po tym najnaturalniej w świecie zwraca się do Porty.

- Ach, to ty! Gdzie u diabła podziewałeś się tak długo?

- Byłem na wojnie - odpowiada tym samym tonem Porta. - Niemcy wrócili, nie wiedziałeś?

- Tak? No to trzeba ich wyrzucić - mówi stary drwał, rozłupując na dwoje kawał drewna. - A jak się ma twoja matka? - Pyta, patrząc na Portę.

- Dziękuję, stara ma się dobrze.

- Dobra. Zabiłeś wielu Niemców?

- Zapewne trochę - odpowiada skromnie Porta, podając staremu machorkę.

- Żołnierski tytoń - orzeka uroczyście drwał, wracając do swej roboty i więcej się nami nie zajmując.

Znikamy wśród sosen i długo jeszcze dobiegają do naszych uszu odgłosy uderzeń siekiery. Od tak dawna kręciliśmy się w kółko, że nagle znaleźliśmy się znów przed sławetnym mostem.

Wówczas Stary zdecydował, że pójdziemy z biegiem rzeki, pomimo ryzyka, że wpadniemy na oddziały rosyjskie. Miał rację. W dwa dni później wróciliśmy na linię niemieckie, a Stary zameldował: - Zadanie wykonane - nie wchodząc w szczegóły.

Było coraz zimniej, zaczynała się zima. Pewnej nocy nadleciała pierwsza burza śnieżna. A ponieważ nie mieliśmy płaszczy zimowych, powsadzaliśmy pod mundury papier. Nikt już nie wierzył w „Wielkie Zwycięstwo Stalingradzkie”. Pociągi z wojskiem już nie przybywały, zaopatrzenie zrzucano na spadochronach, krążyły przerażające plotki; mówiono, że mamy Rosjan z tyłu za nami, zmniejszono racje żywnościowe i otrzymaliśmy rozkaz, by nie marnować amunicji.

Co za zimno! Co za zimno! Mówiono już o odmrożonych kończynach, niektórych naumyślnie. Dwóch facetów z naszej kompanii włożyło na noc mokre skarpetki i zostało rozstrzelanych w Tatarskim Lesie.

Standartenführer SS z wyraźną przyjemnością rzucił na stół przed Sturmabannführerem SS Lippertem ściśle tajny telegram.

- Godzina wybiła, Michel. Rozkaz, by skończyć ze zdrajcami! Likwiduje się tych świntuchów z Armii!

Wielki samochód porsche z porporczykiem Eickego opuścił Dachau, by skierować się do Monachium; Eicke i Lippert siedzieli rozwaleni na tylnym siedzeniu. Po drodze zabrali Hauptsturmführera Schmaussera. Trzej oficerowie SS przybyli o 15.00 do gabinetu Kocha, dyrektora więzienia centralnego i rozkazali, by im wydano szefa sztabu, Roehma.

Koch kategorycznie odmówił, prosząc, by trzej esesmani, do tego półpijani, natychmiast zniknęli, pod groźbę, że sami zostaną aresztowani. Uderzył w biurko pięścią tak mocno, że kalamarz podskoczył, po czym chwycił telefon i zażądał połączenia z Ministrem Sprawiedliwości. Minister ze swej strony odmawia wydania szefa sztabu i zabrania wypuszczenia Eickego i jego bandy do więzienia. Wtedy można było ujrzeć Eickego jak wyrывa telefon z rąk zdumionego dyrektora więzienia.

- Jestem tutaj na rozkaz Führera! - Ryczy do mikrofonu - i spieszy mi się! Nie mam czasu, by opóźnić mnie idiotyczny regulamin, bo jeśli nie, uprzedzam pana, że w Dachau są wolne miejsca!

Poblady dyrektor więzienia słuchał wyjąkanej odpowiedzi Ministra Sprawiedliwości. Drżącą ręką odłożył słuchawkę, wezwał strażnika i polecił wpuścić Eickego i jego akolitów.

Cela 474. Na drewniane ławce siedzi więzień, szef sztabu SA Ernst Roehm z nagim torssem zlanym potem. Eicke uśmiecha się do niego miło i jak wesoły kolega ściska rękę szefa sztabu.

- Jak się czujesz, Ernst?

- Źle - odpowiada Roehm ze zmęczonym uśmiechem.

Eicke siada obok niego i palcem pokazuje małe okienko, przez które widać błękit lipcowego nieba. Upał był ogromny.

- Piękna pogoda, Ernst. Dziewczęta spacerują bez majteczek pod sukienkami, a kiedy schodzę do piwnicy Olego, wzrok sięga aż do siódmego nieba! Do tego on podniósł ceny. Co byś powiedział na pół godziny w fotelu pod schodami piwnicy Lego? To wspaniałe widowisko.

Roehm potrząsnął głową i otarł czoło brudną chusteczką.

- Przyszedeś po mnie, Teo? Naprawdę nie rozumiem, czemu jestem w więzieniu! Fuhrer musiał o tym wiedzieć. Strażnicy mówią o buncie, więc o co tu chodzi? Nic z tego nie rozumiem. Czy ta przeklęta Armia narobiła głupstw?

Eicke wrzucił ramionami. Zdjął swą czarną czapkę z trupa głową, osuszył wnętrze

chustką i znów wsadził sobie na głowę tak daleko do tyłu, jak tylko się dało. Trupia głowa patrzyła w sufit.

- Ernst, mój stary, wszystko to razem, to gówno! Przychodzę od Führera i przynoszę ci coś od niego. - Wyciągnął rewolwer i położył go między nimi dwoma na drewnianej ławce. - Führer zawsze jest dobry, uważasz, gdy z towarzyszem jest źle. Daje ci szansę, Ernst, i tak skończy się z tą historią. Wszystko puści się w niepamięć.

Roehm wpatrywał się niczego nie rozumiejąc, w czarny, błyszczący od oleju rewolwer. Kawał bezlitosnego żelaza.

- Ależ to szaleństwo, Teo! Znasz mnie! Wiesz, że jestem najwierniejszy z wiernych. Postawiłem Partię ponad wszystko, poświęciłem jej moją żonę, moje dzieci... Czyż nie uratowałem Führera dwa razy, gdy rewolucja miała nas zmiążyć? Pamiętasz tę noc w Sztutgarcie? To była kwestia sekund... Wollweber i jego komuniści triumfowali i to ja uratowałem Führera! Ty uciekłeś wraz z innymi dowódcami drużyn!

- Posłuchaj, Ernst, to wszystko przeszłość. Być może na chwilę opuścił cię rozum, gdy wyciągnąłeś rękę po Armię i to wszystko, nic więcej nie wiem. Na nieszczęście zostałeś wykluczony z Partii, przykro mi za ciebie z tego powodu, mój biedny stary!

Wstał i wyprostował swój pendent.

- Poczekam na zewnątrz. Nie utrudniaj sprawy staremu towarzyszowi i pospiesz się z tym skończyć. A zresztą popatrz!

Wyciągnął z kieszeni egzemplarz „Voelkischer Beobachter” i podał go Roehmowi. Na pierwszej stronie ogromnymi literami napisano: „Szef sztabu Roehm aresztowany. Totalna czystka w SA na rozkaz Führera. Wszyscy zdrajcy muszą umrzeć”.

- Ależ, czy wyście po prostu zwariowali? To morderstwo!

- Wszelka polityka to kłamstwo, Ernst, po prostu nie miałeś szczęścia i to wszystko. Kto wie? Być może jutro będzie moja kolej.

Eicke zawrócił na pięcie i wyszedł na korytarz, dołączając do dwóch oficerów SS, rozmawiających o widokach, jakie umożliwia piwnica Olego. Minął kwadrans, ale nie usłyszano żadnego hałasu. Eicke stracił cierpliwość, wyciągnął swój rewolwer i kopnięciem otworzył drzwi do celi. Roehm nie ruszył się z miejsca. Nadal siedział na ławce obok rewolweru, który dał mu Eicke.

- Stabschef Ernst Roehm! Powstań, baczność! Łapiąc z trudem oddech Roehm wstał i stanął pod okienkiem, plecami do ściany. Eicke podniósł rękę i z zimną krwią wycelował w półnagiętego więźnia.

- Mój Führerze! Mój Führerze! - Wszeptał Roehm zanim upadł.

Nie był całkiem martwy i skręcał się z bólu na brudnej podłodze celi. Jeszcze trzy miesiące temu jeden z najpotężniejszych ludzi w Niemczech, teraz krwawiące ciało w ponurym więzieniu monachijskim. Eicke, z twarzą nieruchomą jak kamienna maska, kopnął go brutalnie. Co odczuwał celując jeszcze raz do umierającego kolegi? Nic, absolutnie nic. Dobił go strzałem, od którego rozpadła się czaszka.

Stabschef Ernst Roehm, najbliższy przyjaciel Adolfa Hitlera, najpotężniejszy rywal Armii został w taki sposób zamordowany w więzieniu centralnym w Monachium dokładnie o godzinie 18.00, 1 lipca 1934. W tej samej chwili w Poczdamie przygotowywano wielki bankiet, na który Hitler zaprosił najlepsze towarzystwo Niemiec. Święto, jakiego nie widziano od czasów panowania Wilhelma II. Wszyscy zaproszeni przybyli i cieszyli się niezmiernie, że w Niemczech odrodził się porządek, a rewoltę zgnieciono.

Rozdział 2

Sanie motorowe

Od kilku dni nasze życie na tyłach stało się nie do zniesienia. Co noc dwie godziny pracy w okopach, ale to dla starych brudasów z pierwszej linii było śmiechu warte. Natomiast trzeba przyznać, że dla nowych było okropnością. My wiedzieliśmy jak się skryć, gdy teren omiatały karabiny maszynowe. Nawet moździerze nie robiły na nas już wrażenia, bo słyszeliśmy ich granaty już w chwili, gdy wylatywały z luf, a Porta doszedł do tego, że potrafił przewidzieć, w którym miejscu wybuchną. To niesłychane, do jakiego stopnia wojna potrafi nauczyć człowieka sprytu. Przez całą noc graliśmy w karty, w dwadzieścia jeden, a Porta wygrywał dziewięć razy na dziesięć. Działo się to w oborze, gdzie Porta odsiadywał trzy dni aresztu ścisłego, ale łatwo było tam wejść, pełznąć przez dziurę dla drobiu. Portę i Małego przykuto łańcuchami do żłobów, co było bezsensowne, bo po cóż myśleliby o ucieczce? Jakie to cudowne odsiadywać karę pudła! Żadnej służby, wypoczynek przez cały boży dzionek, kumple do gry w karty. Czy można było mieć nadzieję na coś lepszego w tym pieskim życiu? Ale dopiero od niedawna traktowano nas tak dobrze. Dawniej przywiązywano człowieka do drzewa z rękami związanymi na plecach. Dwanaście godzin stójki, trzy godziny odpoczynku i tak w kółko przez osiem dni. Nawet Mały źle to znosił.

Dwaj koleżkowie zostali skazani za pobicie pewnego kawalerzysty, ale niestety kara kończyła się jutro, co smuciło Małego.

- Trzeba było mu wlać znacznie mocniej, to by kosztowało co najmniej trzy miesiące twierdzy! Wielka szkoda!

Na zewnątrz słychać kroki. Stary spogląda przez małe, zakurzone okienko.

- Zmiana - zawiadamia nas. - Zobaczycie, teraz będą łupać.

Kiedy Stary mówi, że zacznie się łupanina, nigdy się nie myli. Tego rodzaju rzeczy potrafi zwęszyć z daleka. W tym czasie Mały oszukuje w grze pomimo wrzasków Heidego. Olbrzym grozi, że go zatłucze, ale zapomina, że jest przykuty za kostkę u nogi i wali się na nos.

Wszyscy wrzeszczą na siebie, karty lecą w powietrze, ktoś kradnie pieniądze korzystając z mroku w oborze i w końcu awantura wygasa wraz z brzękiem łańcuchów.

Ponieważ jestem najmłodszy, muszę pójść poszukać kawy w kuchni polowej. Być najmłodszym to bardzo bolesne! Zawsze przydzielają nas do wszystkich robót. Choć jestem podchorążym, muszę galopować po kawę dla całej drużyny do kuchni polowej, gdzie ruga

mnie parzygnat, gruby Unteroff Wilkie, który nie znosi podchorążych. Bywają takie dni, że przeklinamy te dwa srebrne sznureczki na naszych naramiennikach. Wracając nie mam szczęścia. Potykam się na jakimś niewybuchu i walę się pyskiem na ziemię, wylewając prawie całą kawę. Oby tamci nie połapali się!

Złudna nadzieja. Heide oskarża mnie, że ją wypilem po drodze i wszyscy z wściekłością znów mnie wysyłają do kuchni, gdzie parzygnat rzuca mi łyżką w głowę. Musiałem przekupić jego pomocnika, by napełnił mi garnek.

Nazajutrz rano koniec ze śmiechem. Rozkaz przygotowania sań motorowych: trzeba przewieźć na pierwszą linię nowy kontyngent.

Ale przedtem rozdają pocztę i jest tylko jeden list, dla Starego. Czytamy go wszyscy po kolei; pochodzi od żony, która jest motorniczym tramwaju numer 12 w Berlinie.

„Drogi Willie, Czemu piszesz tak rzadko? Od ośmiu tygodni żadnych wiadomości i tak bardzo się niepokoiimy! Codziennie dowiadujemy się o śmierci kogoś znajomego; teraz w gazetach jest po pięć stronik nekrologów, więc nerwy już nie wytrzymują, a w zeszłym tygodniu miałam wypadek... Zobaczę, czy nie uda mi się zamienić z konduktorem, prowadzenie tramwaju jest zbyt męczące, szczególnie teraz, gdy musimy pracować po dwanaście godzin, bo wszędzie brak rąk do pracy. Mężczyzn już się w ogóle nie widzi; ci co zostali mają kontakty pozwalające im unikać wszystkiego. Hans Hilmert zginął w Charkowie. Dwaj ludzie z Partii przyszli zawiadomić o tym Annę, która zemdląła i została odwieziona do szpitala. Dzieci są w przedszkolu, chociaż większość z nas z tej ulicy chętnie by się nimi zajęła, ale blokowy na to się nie zgodził, bo teraz Partia decyduje o wszystkim. Nasz sąsiad Socke został ciężko ranny w Grecji. Trudę zawiadomiono, że gdy on lepiej się poczuje, zostanie przewieziony do Berlina. Jochem dobrze pracuje, został przeniesiony do innej szkoły, bo dawna została zbombardowana w zeszłym tygodniu i wiele dzieci zostało zabitych. Przez całą noc uprzątało gruzy; wariowałam z niepokoju, ale dzięki Bogu dzieciak jest zdrow i cały i teraz dzieci chodzą do szkoły w Grunewaldzie. Muszę tylko wstawać godzinę wcześniej by je odprowadzić, a Gerda, Ilse i ja robimy to na zmianę; po drodze są trzy przesiadki, a one mogą pomylić stację na Schlesinger, a przecież w tej chwili różnie się zdarza. Dziewczynę, która znikła we wrześniu znaleziono w Tiergarten, ale ani śladu jej mordercy. Daliśmy powiększyć i pokolorować twoją fotografię, w ten sposób wygląda, jakbyś był wśród nas. Czy szybko będziesz miał urlop? Już od roku nie wracasz! I gdzie się znajdujesz? Dużo mówi się o Stalingradzie, mam nadzieję, że cię tam nie ma, opowiadają, że to jest przerażające! Hojne z czwartego piętra przyjechał na urlop, ale po dwóch dniach został

wzewany telegramem od swego pułku. Właśnie miał odjechać, gdy przyszli po niego żandarmi a jego narzeczona prawie wariuje z niepokoju zastanawiając się, czy nie wdał się w jakąś paskudną historię. Nikt nie chciał powiedzieć o co chodzi, nawet w Komendanturze, gdzie spędziła cały dzień w oczekiwaniu. Mój Boże, jak ta wojna jest okrutna! Znowu zmniejszyli racje; w zeszłym tygodniu mówiono, że sprzedają bez kartek koninę na Taunzienstrasse, ale przyjechałam za późno; spróbuję na Moritz Plata; dzieciom tak bardzo potrzeba świeżego mięsa, a to pozwoli zaoszczędzić kartki. Wilie kochanie, błagam cię, dbaj o siebie! Co się z nami stanie, jeśli nie wrócisz? Znowu syreny... Alarm! To Anglicy, oni zawsze przylatują między piątą i ósmą, ale na szczęście mieliśmy trzy dni spokoju. Napisz szybko, kochanie, całujemy cię wszyscy. Liselotte

PS Nie niepokój się o nas, dajemy sobie radę”.

W chwili odjazdu było jeszcze ciemno. Lodowaty wiatr podrywał śnieg, a niebo przytłaczało ziemię jak ogromna, szara dłoń. W Jerzowce grzmiała armata, ostrzeliwano Stalingrad. Mówiono, że jedna dywizja rosyjska została otoczona na rynku, że fabryka traktorów w dzielnicy Barykady została zniszczona; opowiadano także, że rumuńska 100. Dywizja Strzelców oraz ich 1. Dywizja Czołgów zostały unicestwione, ale czegoż jeszcze nie opowiadano! Niedawno rumuńska 2. Dywizja Piechoty natknęła się na Rosjan i większość Rumunów padła od niemieckich strzałów w plecy, gdy zbiegali z wysokiego brzegu Wołgi. Trupy zostawiono na miejscu by sterroryzować innych, a dowódcę dywizji rumuńskiej powieszono głową w dół przed fabryką imienia Spartakusa. Jest tam nadal, kołyszac się na wietrze.

Przemarznięci, kłótniwi, wsiadamy do sań motorowych. Trzeba być na froncie z przewożoną zmianą przed godziną 11.00. Ci dranie są tak punktualni, że można regulować zegarki co do minuty, a nawet jeśli jedzie się saniami bardzo szybko, trzeba czasu by minąć Selawnow i Serafimowicz. Przy najmniejszej nieuwadze wjeżdża się wprost na rosyjskie pozycje. Zdarzało się już, że sanie mknące z szybkością 120 kilometrów na godzinę rozbijały się całkowicie, nie zdoławszy uniknąć przejazdu za jednym zamachem przez linie niemieckie i rosyjskie.

- Wpychajcie się, niedojdy! - Krzyknął Stary do przemarzniętych i zmordowanych rekrutów, wspinającym się do pancernych sań.

Trzydziestu pięciu ludzi na jedno sanie. Oberleutnant Wenke wchodzi do amunicyjnych. To jeden z naszych, prawdziwy oficer frontowy. Sanie amunicyjne są trzecie w kolumnie, na miejscu najmniej narażonym na miny partyzantów.

Porta bierze czołowe. Ma instynkt kobry do unikania min zakopanych na drodze. Obok niego na przednim siedzeniu jest Mały, z karabinem maszynowym umocowanym przy przedniej szybie i stosem granatów ze zdjętymi zakrętkami obok siebie. Barcelona i ja wsiadamy za Portą, mając karabin maszynowy wycelowany w niebo, bo w czasie transportu często się zdarza, że napadają na nas myśliwce radzieckie.

- Marsz! - Komenderuje Oberleutnant Wenke. - I utrzymujcie odległość między saniami.

Kolumna rusza, wprawiając w drżenie całą wieś, płozy skrzypią na nierównym podłożu, ludzie trzymają się bocznych prętów. Porta prowadzi jak wariat. Trzytonowe sanie wlatują na pagórek jak pocisk, na szczycie wzlatają w powietrze i znów opadają na drogę. Jesteśmy już w połowie drogi do następnego pagórka i trzymamy się wszystkiego, czego się da w obawie przed zbliżającym się wstrząsem.

- Trzymajcie się, głupole! - Chichocze Porta, pochylając się za kierownicą.

Sanie wylatują w powietrze i podskakują jeszcze raz, nim Porta odzyskuje panowanie nad pojazdem.

- To ostatni raz, gdy wsiadam razem z tobą, chuju jeden! - Wrzeszczy przerażony Heide.

- Tym lepiej! - Odwrzaskuje Porta, wypluwając haust wódki, który wiatr znosi na twarz Heidemu.

Wydano nam dodatkowe racje wódki, pół litra na głowę, ale Porta oczywiście przywłaszczył sobie potrójną rację. Tyle różnych rzeczy wie o każdym, że wszyscy boją się go jak zarazy, a nasza drużyna dobrze na tym wychodzi.

- Dokąd jedziemy? - Pyta bardzo młody Unteroffizier, świeżo wypuszczony z koszar.

- Na wojnę, mój mały przyjacielu - chichocze protekcjonalnie Legionista. - W drodze po Krzyż Żelazny lub krzyż drewniany.

- O tym wiem - odpowiada urażonym tonem Unteroffizier. - Ale gdzie?

- Dowiesz się nader szybko. Zaczekaj aż zobaczysz, a dupa zadrży ci ze strachu.

- Nie boję się tych komunistycznych tchórzy! Jestem narodowo-socjalistycznym żołnierzem!

- Dobra, dobra, ale zaczekaj aż zobaczysz. Iwan nie jest całkiem taki, jak wam mówiono w koszarach.

Jeśli nie ma przeszkód, dotarcie do pierwszych linii zabiera dobre cztery godziny. Temperatura wynosi minus 38° i trzęsiemy się w naszych cienkich płaszczach. Porta założył sobie na twarz papierową maskę, bo papier dobrze chroni przed chłodem, ale go brakuje i

trzeba być cwaniakiem takim jak Porta, by go zdobyć.

Na drodze nie ma świeżego śniegu, jest ona lodowiskiem, błyszczącym jak szkło o tęczy kolorach. Sanie ślizgają się, wspinają na górkę i zjeżdżają ku zrujnowanej wsi Dobrynka. W samym jej środku zakręt, a jeśli manewr zostanie źle wykonany, wylądujemy z szybkością 120 kilometrów na chatach, ale jako trupy.

- Trzymajcie się mocno! - Woła beztrąsko Porta. - Szatan czeka na nas u stóp pochyłości!

Hamuje brutalnie, haki hamulcowe wbijają się w lód, którego wielkie kawały wylatują w powietrze, sanie skręcają z, piekielną szybkością prawie o 90 stopni na drodze zagłębionej niemal o dwa metry. Kontynuuje jazdę ślizgając się bokiem, jeden z rekrutów wypada na drogę, miażdżą go następne sanie. Ale kogo to obchodzi? Śmierć nas zabiera każdej sekundy.

Żołnierz leży we wspólnym grobie, Jego żona w cudzym łóżku... Podśpiewuje obojętnie Porta, hamując jeszcze mocniej. Haki łamią się, przelatujemy przed pierwszymi chatami i dolatujemy jak pocisk do zakrętu, modląc się do Boga by nie było tam min, bo jeśli są, to już jesteśmy martwi. Partyzanci bardzo często zakopują je na zakrętach i liczne wypalone pojazdy stoją tam jako świadkowie.

Trzytonowe sanie kołyszą się jak okręt na wzburzonym morzu, Porta kręci kierownicą, na chwilę zwalnia hamulce, a potem naciska do oporu. Jest to niezwykły wyczyn z tak wyladowanym pojazdem. Sześćdziesiąt haków chwyta równocześnie. Jeśli się połamią, na trzeci zakręt wjedziemy z szybkością granatu kalibru 32 centymetrów - ale w postaci kleiku.

Wszyscy się kulą z głowami opuszczonymi między kolana, jak pasażerowie samolotu podczas przymusowego lądowania. Tylko Mały siedzi wyprostowany za swym karabinem maszynowym, gdyż koniec zakrętu jest ulubionym miejscem partyzantów.

I właśnie! Postać w białym ubraniu maskującym przebiega przez drogę. Karabin maszynowy trzeszczy... Biała sylwetka błyskawicznie wyciąga ręce przed siebie, by haki hamulców jej nie pochwyciły. Kawałek nogi w bucie wylatuje w powietrze. Rzut granatu do chaty z prawej i Porta zwalnia hamulec.

Szybkość wzrasta, sanie dają susa. Uf! Jeszcze raz wszystko poszło dobrze.

Ale jakież zimno! Jakież zimno! Mrozi nas do szpiku kości.

- Kto mógł wynaleźć te ślizgające się trumny? - Pyta jakiś głos.

- Niemiecki Oberst - odpowiada zawsze dobrze poinformowany, Heide.

Wściekły Mały stwierdza, że trzeba by go tu wsadzić z gołym tyłkiem.

- Mina! - Wrzeszczy nagle Porta.

Gigantyczna ręka ściska nas za gardła. W samym środku drogi mały biały stosik

wygląda jak przewrócona gliniana miska. Porta hamuje śmiertelnie szybko, sanie zakręcają prawie przewracając się, ale odzyskują równowagę, zwalniają i przez sekundę można sądzić, że uniknęliśmy niebezpieczeństwa. Ale rozlega się złowieszczy trzask! Liczne haki puściły i z szaleńczą szybkością ześlizgujemy się ku śmierci.

- Mój Boże! - Jęczy Stary, zaciskając ręce na poręczy.

Siedzący za nami rekruci nic nie rozumieją. Partyzanci, ich miny, cóż oni o tym wiedzą? Ale my przygotowujemy się do wyskoczenia z sań. Lepiej połamać sobie ręce i nogi niż zostać zmienionym w krwawą miazgę przez szatańskie urządzenie.

- Skaczcie! - Wrzeszczy przez ramię Porta.

Rekruci nie ośmielają się, szybkość jest za duża.

Nie wiedzą, że natknąć się na minę oznacza śmierć bez żadnego gadania, tego rodzaju urządzenie wyrzuca podłogę sześćdziesięcotonowego Tygrysa. W nocy partyzanci przebrani za chłopów wykopują dziury w lodzie, wkładają tam miny i polewają je z góry wodą, która natychmiast zamarza. Tylko taki stary lis jak Porta potrafi odgadnąć istnienie śmiertelnej pułapki.

- Skacz! - Ryczy Porta, popychając najbliższego rekruta.

Heide skacze i znika w zaspie, Mały wyrzuca przez burtę dwóch rekrutów, po czym sam skacze; Porta próbuje zahamować wstecznym biegiem... Przerażliwy trzask.

- Samoloty! - Ryknął w tym momencie Stary.

To rekruci zrozumieli, nauczono ich tego w koszarach i w mgnieniu oka znaleźli się na ziemi. Ja ląduję głową naprzód o dwa centymetry od słupa telegraficznego. O włos, a głowa rozleciałaby mi się, w takim momencie przydałby się dobry stalowy hełm, ale już od dawna ich nie nosimy, bo są bardziej kłopotliwe niż cokolwiek innego. Hełm przeszkadza widzieć i słyszeć, czyli dwóm rzeczom o podstawowym znaczeniu na froncie.

Sanie nadal ślizgają się w stronę miny, ale oto w ostatnim momencie szaleńczy wiraż Porty ją omija.

- Mina! - Wrzeszczymy do Barcelony, nadjeżdżającego na drugich saniach.

Za późno! Sanie wykręcają beczką i toczą się bokiem w stronę miny. Gejzer płomieni! Nawet sam śnieg wydaje się płonąć, wszędzie są rozrzucone ciała. Lecz oto pojawiają się trzecie sanie, te amunicyjne. Ich haki hamujące wbijają się w lód, sanie robią młynka, wpadają w poślizg nad zaspą śnieżną i eksplodują. Oberleutnanta Wenkego wyrzuca w górę jak żywą pochodnię, spieszymy do niego, ale jest już tylko zwęgloną mumią.

Chmura wybuchu rozwiewa się powoli, wszędzie leżą krwawe szczątki zmieszane z poszarpaną stalą. Barcelona leży trochę dalej na polu z rozdartą pierśią i mundurem w

strzępach. Bandażujemy go jak potrafimy i przenosimy na drogę, gdzie sanitariusz zajęty jest bandażowaniem innych. Ale tam, na pół zmiażdżony, główny pirotechnik jeszcze oddycha.

- Panie Boże - modli się Stary - daj mu umrzeć. Przygnębieni wpatrujemy się w to, co przed chwilą było twarzą człowieka dwudziestopięcioletniego: nos i uszy znikły, usta są czarną dziurą, język wyrwany z gardła, jedno oko zwisa na skrawku ciała nad obnażonymi zębami. Wstrząśnięty Gregor chwytając rewolwer, ale Stary go powstrzymuje potrząsając głową.

- Przecież to konieczne - bełkocze Gregor. - Już nigdy nie będzie miał ludzkiej twarzy.

Lecz Stary spogląda na rekrutów, gromadzących się wokół tej rzeźni.

- Przyjrzyjcie się dobrze! - Mówi przez zaciśnięte zęby. - Oto życie żołnierza, które wam tak wychwalano. Jeśli kiedykolwiek wrócicie żywi, powiedzcie waszym synom, czym ono jest, zanim wybuchnie następna wojna.

- Ma pewną szansę, by wyjść z tego bez osłabienia - oświadczył sanitariusz, dając zastrzyk jakiemuś nieprzytomnemu nieszczęśnikowi.

- Czy naprawdę może przeżyć? - Pyta drżącym głosem Gregor.

- W Baden-Baden jest specjalistyczny szpital... Umieszczony poza miastem. Tam fabrykują nowe twarze potrzaskanym pyskom, ale ci już nigdy nie są podobni do ludzi. Supertajny szpital za wysokimi murami. Nikt nie może oglądać tych potworów, oni zaś nie mają prawa wychodzić. To by osłabiło morale narodu.

Rannych przenosi się na sanie i ruszamy w drogę do pierwszej linii; trzeba tam dotrzeć nim dobieże się do nas rosyjska artyleria. O martwych powiadomi się grabarzy, to nie nasza broszka.

Barcelona odzyskał przytomność i jęczy rozdzierająco, jego opatrunek już przesiąkł krwią. Gdy dociera zmiana, piechota przynosi własnych rannych i wnosi ich na sanie. Niektórzy z nich umrą przed naszym powrotem, ale nie można odmówić ich załadunku, choć miejsca brak. Ledwie mijamy wieś, gdy zaczyna grzmieć artyleria. Legionista patrzy na zegarek.

- Punkt jedenasta, jak zwykle.

Zawozimy Barcelonę do kompanijnego punktu opatrunkowego i dajemy jednemu z lekarzy łąpówkę, by specjalnie się nim zajął. Nazajutrz rano odwiedzamy naszego towarzysza, ma dren założony do piersi i okropny wyraz twarzy. Obok łóżka stoi jego racja, której nie dotknął: kiełbasa, jajko, pomarańcza... Co za cuda! Mały pożera talerz oczami.

- Powiedz no, Barcelona, czy naprawdę nie masz apetytu? Mnie by to bardzo urządziło.

Barcelona ze zgaszonym wzrokiem kręci głową, ale olbrzym zezuje także na jego futrzaną kurtkę.

- A może byś mi pożyczył tę kurtkę na czas, gdy jesteś u łapiduchów?

Tym razem widzi bardzo wyraźną odmowę, a ranny spogląda tak błagalnie, że Stary daje Małemu kopniaka. Zostawiamy Barcelonie wszystkie nasze papierosy opiumowe i dwa litry wódki. Jeśli chce się przeżyć, ważne jest, by móc coś dawać. Obiecujemy wrócić jutro, nie bez tęsknego spojrzenia, rzucanego przez Małego na kurtkę. Oczywiście go rozumiemy! Mały ma tylko kamizelkę maskującą i cienki mundur czołgisty, a jeśli Barcelona umrze, któryś sanitariusz odprzeda kurtkę na wagę złota. Wszyscy to wiedzą.

Podczas naszego powrotu nazajutrz, dowiadujemy się, że Barcelona został wysłany do szpitala w Stalingradzie.

- Obu nas oszwabili! - Jęczy Mały. - On i jego kurtka. Dwóch wielkich łajdaków!

Wszystkie nasze nadzieje, wszystkie nasze wysiłki urzeczywistniły się. Mamy naszego Führera i Państwo porządku, a za tym Führerem Adolfem Hitlerem będziemy szli aż do końca.

Pastor Steinemann

5 września 1933

Reichsführer SS Heinrich Himmler siedząc za biurkiem z namysłem przyglądał się Standartenführerowi Teodorowi Eicke, nonszalancko rozpartemu w wielkim fotelu.

Himmler podniósł się i zaczął chodzić po gabinecie w skrzypiących butach. Za oknem pierwszy zimowy śnieg pobielił Prinz Albrecht Strasse. Himmler odwrócił się na pięcie i podszedł do Eickego.

- Mam nadzieję, dla twego dobra, mój drogi, że to co mi powiedziałeś, to prawda?

- Reichsführerze! - Wykrzyknął Eicke z ponurym uśmiechem, to pyszałkowane gówno jest ćwierć-Żydem. Wiem o tym od dawna, ale dopiero teraz dostałem dowód. To zresztą widać gołym okiem, nie sądzicie?

Himmler potrząsnął głową i na chwilę zamknął oczy. Język ochroniarza Eickego zawsze go głęboko szokował. Uśmiechnął się lodowato.

- Dziękuję! Żadnych innych wiadomości dla mnie? No to Heil Hitler! - Warknął Himmler, pragnąc nigdy w życiu nie ujrzeć więcej Eickego.

Znalazłszy się wreszcie sam, podniósł słuchawkę telefonu.

- Przyślijcie mi Obergruppenführera Heydricha! - Wyszczekał, bębniąc palcami po papierach, przyniesionych mu przez Eickego.

W kilka chwil później bezszelestnie Heydrich wszedł - drapieżna bestia na kocich łapach. Himmler przyglądał mu się przez chwilę przymrużonymi oczami, ale Heydrich spokojnie odwzajemnił badawcze spojrzenie, równocześnie przeczuwając niebezpieczeństwo.

- Proszę siadać, Obergruppenführer - powiedział Himmler, wskazując mu palcem fotel jeszcze ciepły po wyjściu Eickego.

Heydrich usiadł. Twarz nieruchoma, niebieskie oczy zimne jak lód, jasnoszary mundur z lekkim zapachem konia. Każdego ranka, od piątej do siódmej, odbywał przejażdżkę na koniu w towarzystwie swego śmiertelnego wroga, admirała Canarisa. Heydrich był eleganckim oficerem, bardzo pewnym siebie.

Himmler zdjął binokle, pokręcił nimi i znów włożył. Dwaj mężczyźni obserwowali się wzajemnie przez pewien czas, ale Himmler pierwszy opuścił wzrok. Z namysłem przerzucając dokumenty, wreszcie odezwał się nie podnosząc oczu.

- Co jest napisane na nagrobku twojej babki, Obergruppenführer?

Wąskie wargi wygięły się w zimnym uśmiechu i Heydrich wyprostował się, ale jego bezlitosne niebieskie oczy niebezpiecznie błysnęły.

- Miała na imię Sara, Reichsführerze.

- Mówi się, że kazalesz usunąć ten kamień nagrobny? - Rzekł Himmler, tym razem patrząc wprost na swego rozmówcę.

- Usunąć? Jak można tak mówić? Bardzo drogo kosztował.

- Proszę się uspokoić, on wrócił na miejsce, ale jakby przypadkowo imię Sara znikło, wyobrażasz sobie?

- Czy to imię Sara kiedykolwiek znajdowało się na nagrobku mojej prababki, Reichsführerze?

Himmler długo patrzył w milczeniu na swego najlepszego generała i równocześnie zdał sobie sprawę, że jest on najniebezpieczniejszy. Ciężko usiadł na swoim miejscu.

- W porządku, Heydrich, zapomnijmy o tym. Heydrich uśmiechnął się triumfalnie. Właśnie mówił sobie, że on też dysponuje bronią, ale lepiej było poczekać na korzystniejszą okazję.

Rozdział 3

Pierwsze śniadanie Porty

- I uważaj, by to było biegiem! - Szczeknął podoficer służbowy Lutze, otwierając drzwi kopnięciem. - Natychmiastowe stawiennictwo u dowódcy! Zadanie specjalne - dodał ze złośliwym uśmiechem.

- On nas wkurwia! - Mruknął Porta, wsuwając się głębiej pod koc.

- Stwierdzam: odmowa wykonania rozkazu! - Zaryczał Lutze.

- Powiedz no, świerzbi cię dupa? - Skarcił go Mały. - Nie widzisz, że tu się śpi?

Porta pierdnął rozgłośnie.

- Hej, zanieś to dowódcy! - Zażartował. Mimo wszystko wylazłem spod pierzyny, bo odmowa wykonania rozkazu mogła mieć bolesne następstwa. Klnąc naciągnąłem mundur. Wszyscy wstali ziewając; Porta złapał wesz na swej chudej, kurzej piersi.

- Ja nie mogę nic zrobić przed śniadaniem - wymamrotał.

- O tej nocnej godzinie nie dostaniesz go i dobrze o tym wiesz.

- To się jeszcze zobaczy - oświadczył Porta, kierując się do kuchni polowej.

Ze środka wylazł Unteroff, obudzony kuchcik zawył, cały personel kuchni natychmiast stanął na nogach.

- I mówi się o frontowej przyjaźni! Nie daliby nam nawet kropelki kawy, te łajdaki! Bardzo źle idzie człowiekowi bez porannej kawy. Właśnie to zapewniła nam kultura, nam Niemcom. Mówią, że Adolf nigdy nie pija porannej kawy, to oznaka dekadencji. Prawda, że on jest Austriakiem. Dobra, pójdzie się do 3. Kompanii. Ich parzygnat jest mi winien pieniądze.

Pełni nadziei skierowaliśmy się do 3. Kompanii, gdy Oberleutnant Welz przyłapał nas biegnąc.

- Nareszcie jesteście! Najwyższy czas!

- Uspokój się, Ulrich - powiedział Porta rozgorączkowanemu Oberleutnantowi. - To nie dlatego, że masz piętrową czapkę i srebrne sznureczki trzeba wkurzać starych kumpli. Nie siedzimy w ekspresie.

- Unteroffizier Porta! Zgodnie z paragrafem 165...

- Sram także na paragraf 165 - odrzekł spokojnie Porta. - Więc się nie męcz. Zapomniałeś o tym dniu, gdy cię wyciągnąłem z tarapatów? A gdybym nie okazał się dobrym kolegą, ciągle jeszcze kołysałbyś dupą na wietrze, służąc za karmę dla wróbli.

- Przecież ci dobrze zapłaciłem - odpowiedział uspokojony w mgnieniu oka Oberleutnant.

- Daleś mi przypadkiem napiwek? Wiesz, jak regulamin karze przekupywanie żołnierza na służbie? Posłuchaj, Ulrich, pomimo twoich sznureczków zawsze pozostaniesz osłem.

Cały czas wymieniając te uprzejmości skierowaliśmy się z niewinnymi minami do kuchni polowej Kompanii. Porta wyrwał ze snu parzygnata Eichera, który nawet nie pisnąwszy zrobił nam kawę na spirytusowym palniku. Oberleutnant, zapominając całkowicie o okolicznościach, obżerał się chlebem z szynką, podczas gdy garnkotłukowi udało się uzyskać nową pożyczkę na niebotyczny procent.

- No nareszcie! Raczyliście przybyć? - Warknął Oberst Hinka w godzinę później na widok nas stojących na baczność. - Zajęło wam to dużo czasu. Dobra, dajmy temu spokój. - Na biurku rozłożył mapę. - Zadanie specjalne dla was trzech. Muszę się dowiedzieć, co kombinują Rosjanie. Wiemy, że jest jednostka czołgów na pozycji koło punktu X. Macie zbadać linię nieprzyjacielską między X i Jeżowską.

- Bogu dzięki, że kawa mnie wzmocniła - mruczy Porta.

- Uprzedziłem piechotę. Przejdziecie przez młodnik tutaj - kontynuował Oberst, nie komentując wypowiedzi Porty i pokazując punkt na mapie. Uregulujcie zegarki. Jest teraz 23.45. Za sześć godzin zameldujecie się u mnie. Jeśli przekroczycie ten czas o pół godziny, to sąd wojenny. Macie więc mnóstwo czasu. Pytania?

- Herr Oberst, zapytuję, jak długie są linie nieprzyjacielskie? Führer zapewnia, że ciągną się one od lodów północnych aż do Morza Czarnego. Nie zdołamy przejść tam i z powrotem od Oceanu Lodowatego w ciągu sześciu godzin, by panu podać liczbę bomb, jakie posiada Iwan. Trzeba być sprawiedliwym.

- Wystarczy, Porta! - Śmieje się Hinka. - Front, który macie zbadać, ma długość pięciu kilometrów.

- Pięć kilometrów! Czyli 1 666 metrów i 67 centymetrów na każdego. Herr Oberst, proszę uważać, jakbyśmy już to zrobili.

Noc jest czarna jak atrament, do tego zaczyna padać śnieg. Wszyscy jesteśmy zdania, że chwila odpoczynku źle nam nie zrobi, a pewien krzak jest bardzo odpowiedni na kolejkę francuskiego koniaku. Zorganizowałem go pewnego dnia w sztabie głównym generała Paulusa; takie miejsca nie bywają ubogie.

- To nic nowego - stwierdza Porta. - Całe lata temu opowiadano mi, że w Chinach wybuchło powstanie bokserów, a wszystkie kraje świata wysłały tam wojska. Na chińskiej

pustyni nie żyło się tłusto, ale żandarmi pewnego dnia znaleźli pułkownika piechoty morskiej przy stole tak obficie zastawionym, że aż ich to zdumiało. Zebrane informacje ujawniły, że pożerają tam młodą chińską dziewczynę. To kosztowało pułkownika głowę. I słusznie! Do czego by doszło, gdyby każdy wyższy oficer mógł zrobić z podwładnego sztukę mięsa w rosole?

- Gadaj zdrow - mruczy Mały. - Spacerek dzisiejszej nocy mało mnie interesuje. Czemu Hinka nie zażądał ochotników? Jest całe stado kretynów, którzy tylko marzą, by zdobyć Krzyż.

- Brawo! Damy sobie z tym radę.

- Tak. No ja mam już gęsią skórkę i to nie z zimna. Zdajesz sobie sprawę, że przed nami są Sybiracy? Masz ochotę zostać przybity do drzewa jak patrol z 2. Pułku Czołgów?

- Nie gadaj o przykrych rzeczach, idioto. Która godzina?

- Za kwadrans północ.

- To lepiej tam już idźmy, chociaż na mój gust wolałbym zostać pod tym krzakiem i wymyślić bardzo zadawalający meldunek. Wkurza mnie, że muszę zależeć od wyższych stopniem wojskowym.

Porta ziewnął i przeciągnął się. Bez hałasu dotarliśmy do ziemi niczyjej. Mały i ja poszliśmy po dwóch stronach żywopłotu, Porta kawałeczek przed nami. Jego chudą sylwetkę słabo było widać w nocy.

Nagle dał się słyszeć cichy dźwięk, jakby stuk maski gazowej potrącającej karabin. Padam koło Porty, który nieruchomieje za krzakiem.

- Słyszaleś?

- Zamknij pysk. Kładźcie się w śnieg - rozkazuje, odbezpieczając swój pistolet maszynowy.

- Chyba nie masz zamiaru strzelać! - Mówię przerażony.

- Tylko jeśli nas wykryją.

Pięciu Rosjan wynurza się jak cienie z podszycia lasu. Są o wiele za wysocy jak na Sybiraków. To olbrzymi wzrostu Małego. Przechodzą tak blisko nas, że nie ośmielamy się nawet oddychać. Na chwilę zatrzymują się, nasłuchują... Czy spostrzegli nasze ślady w śniegu? Chwytam rewolwer. Nie, idą dalej. Tyłek Porty pierdzi z hałasem wybuchającego granatu.

- Ty świniu jedna! - Mruczy Mały. - Postawisz na nogi całą Armię Czerwoną!

- Nic na to nie poradzę. Gdy mam pietra, tracę kontrolę nad moją dziurą od kuli i bździny wylatują jak u capa w rui. Już taki się urodziłem!

- To zabawne dla innych - mruczy niezadowolony Mały. - Zrób sobie przynajmniej zatyczkę!

Czekamy dziesięć minut dla uspokojenia nerwów, a potem trzeba iść dalej w stronę rzeki, czołgając się przed pozycjami rosyjskimi. Jest tam gniazdo karabinów maszynowych. Porta zaczepia się o drut kolczasty i pierdzenie znów się odzywa ku naszemu przerażeniu. Na południowy zachód od nas stoi bateria rosyjska na wysuniętej pozycji. Woła wartownik, żądając hasła. Nie mając lepszego pomysłu, Mały odpowiada sprośnym wyrazem, wartownik odwzajemnia się przekleństwem, ale mniej nieprzyzwoitym niż Małego i wraca do swej kryjówki. Rozpłasczeni w głębokiej dziurze zaznaczamy na mapie to, cośmy zobaczyli. Zadanie wykonane, ale teraz trzeba wrócić w jednym kawałku.

Dzielimy na trzy części papierosa z opium i zawinięci w nasze płaszcze śniegowe palimy w milczeniu. Gdzieś daleko grzmi armata; gdyby nie to, cisza byłaby zupełna. Śledzimy na ciemnym niebie smugi pocisków artylerii przeciwlotniczej, ale z tak daleka, że nie słyszymy wystrzałów. To głębokie milczenie jest tak uspokajające, że zupełnie zapominamy gdzie jesteśmy, każdy krok może nas wydać z naganem na karku w ręce rosyjskiego wartownika.

Ale oto ścieżka się rozwidła; krótka dyskusja i wybieramy drogę na prawo. Lecz wydaje się, że coś tu nie gra,

- Spoko - mówi Porta. - Wszystkie drogi prowadzą na cmentarz. Prosto i wracamy do siebie. - Nagle zatrzymuje się i stoi z otwartymi ustami. - Skąd u diabła ten las?

- Jaki las? - Pyta Mały.

- Idiota! Nawet ślepy zauważyłby, że to las. Nic nie rozumiem, nie powinno czegoś takiego być, a przecież on tu stoi, ten cholerny las!

- Skręciliśmy zanadto na prawo - mówię, żując mapę. Gdybyśmy poszli na lewo, dotarlibyśmy do małej rzeczki i wystarczyłoby iść z jej biegiem, by wpaść na nasz 108. Pułk Strzelców. Teraz diabłu tylko wiadomo, gdzie jesteśmy!

- Trzeba o to zapytać Iwana - odpowiada Porta - ale po wojskowemu, bo jak oni mówią, to kłamią.

Usiadłszy w kółko zastanawiamy się, co zrobić. Mały proponuje, byśmy weszli do lasu, po pierwsze, by się ukryć, a po drugie, w nadziei, że coś tam znajdziemy.

- Macie wielkie szczęście, że jestem z wami! - chichocze Porta. - Jeśli wejdziemy do tego bolszewickiego lasu i odkryjemy tam coś, o czym nasi dowódcy nie wiedzą, pogłaszczą nas po policzkach!

- Może z tego wyniknąć więcej, niż się spodziewamy.

- Zgoda. W pewnym sensie powiedziałeś prawdę, towarzyszu Creutzfeldt. Drzewa nas ukryją i nie ma potrzeby, by wszystko opowiadać Hinka. W wojsku im mniej się gada, tym lepiej się ma. To przedłuża życie.

Wobec tego wchodzimy do lasu. Nagle zobaczyliśmy słabą poświatę.

- Iwan! - Mruczy przerażony Mały.

- Sven na prawo, Mały na lewo - rozkazuje Porta. Spotkanie tutaj za kwadrans. Zobaczcie, czy to jest jaskinia czy bunkier. Bardzo pewnie się czują, jeśli używają światła.

Szybki zwiad i Porta pojawia się bardzo podniecony.

- Nic trudnego, chrapią jak w czasach pokoju. Trochę głębiej w lesie stoi wóz z napędem na cztery koła, który wygląda całkiem jak stacja radaru. Odpalamy go i spokojnie wracamy na drugą filiżankę kawy z mlekiem.

- Nie masz czasem świra? Jeśli to jest to co mówisz, załoga składa się z sześciu ludzi. A jeśli to jest radiostacja samochodowa, to w pobliżu stoi jakiś sztab. A gdzie sztab, tam posterunki.

- A jeśli go odpalimy, to w którą stronę się pojedzie?

- Tą samą drogą, którą przyszlismy. Zabłądziliśmy koło baterii. Trzeba ją wyminąć i jesteśmy w domu.

- I wyobrażasz sobie, że ot tak pozwolą nam przejechać, ponieważ przybywamy w opancerzonym samochodzie?

- Banda kretynów! Nawet rosyjski komisarz nie będzie podejrzewał, że w bryce Iwana siedzi trzech pruskich bohaterów. Ale zanim zastukamy do drzwi, najpierw wrzucimy pomidora do dziury.

Ponowny milczący zwiad i znów się spotykamy.

- A więc?

- W ogóle nic. Nie ma nawet transportera pancernego, który ci się przyśnił - odpowiada przezornie Mały.

- A obszedłeś okolicę? - Pyta nieufnie Porta.

- Za kogo ty mnie bierzesz?

- Za największego bandytę w pułku. Znam cię od dawna!

- A ja - mówię - o mały włos, a bym się zderzył z czterema typkami, które spały koło tej radiostacji samochodowej, z działkiem kalibru 37 milimetrów. Poza tym ani żywej duszy.

- A w jaskini siedzi trzech i pożera pół świni - dodaje Porta. - I dwóch chrapiących w lesie pod płachtą namiotową.

- W sumie dziewięciu ludzi i jest to grupa obsługi radia. Dodajcie do tego jeden

batalion, siedzący gdzieś w zaroślach. Jeśli zaczniemy rzucać granaty, do widzenia ślepa Gienia!

- Przestańcie srać w gacie! Ten półgąsienicowy transporter to dar z nieba. Mały, zajmiesz się tymi dwoma pod płachtą namiotową. Ty Sven bierzesz na siebie tych trzech w jaskini, ale na litość boską nie zniszcz pieczeni wieprzowej! Już czuję jej smak!

- Zupełnie mi się to nie podoba. Przeczuwam, że źle nam pójdzie.

- Pieprzenie. Rób jak powiedziałem.

Czy nas usłyszano? Z jamy wyłazi młodszy oficer i rzuca załodze wozu gardłowy rozkaz. Z brzęczeniem wysuwa się antena. Wypadki przyspieszają. Porta rzuca wiązką granatów w załogę wozu, która pada w błyskawicy ognia. Z głębi lasu szczeka karabin maszynowy; ciskam moje granaty w tamtą stronę. W ciszy która zapadła Mały załatwia dwóch ludzi pod płachtą namiotową. Z jamy wyłazi hałaśliwie człowiek z pepeszą, w stronę wejścia rzucam granat, ale nie dość daleko i wychodzi stamtąd dwóch ludzi w futrzanych płaszczach z rękami do góry. Rewiduję ich pospiesznie, nie mają broni, co z ich strony jest rozsądne. Związujemy ich błyskawicznie. Widzę jak z pojazdu triumfalnie wynurza się głowa Porty.

- Hej, koledzy! I co wam mówiłem? Dziecinna zabawa. Mamy taksówkę i jeńców.

W tej samej chwili Mały pada plackiem i wrzuca do schronu wiązkę granatów.

- Piekło i szatani! - Wrzeszczy Porta, włączając do środka. - Tu ślicznie pachnie wódką. Robią sobie święto w samym środku wojny i co na to powie Stalin?

Resztki wieprzowiny wędrują na stół. Jemy, pijemy! Ale Porta bierze do ręki teczkę pełną dokumentów i stwierdza z całą pewnością, że jest to korespondencja między generałami.

- List wielkiego generała do małego generała - wyjaśnia bezczelnie.

- A co ty o tym wiesz? - Pytam osłupiały

- Wiem wszystko. Posłuchaj tylko.

„Drogi Steickerze, każ jakiemuś oficerowi sztabu w bardzo pewny sposób wydostać się z tego piekła, aby opisać Führerowi katastrofalną sytuację, w jakiej znalazła się armia po przełamaniu się Rosjan pod Kałaczem.

Twój oddany Schmidt”.

Bez trudności da się wykumać. Feldmarszałek może sobie pozwolić napisać „drogi” do generała dywizji i zakończyć list „twój oddany”. Generał dywizji poczuje się pogłaskany,

ale wyobraź sobie mordę feldmarszałka, gdyby było odwrotnie! To by było niemożliwe. A teraz, koleś, oto inny list nie mniej interesujący, ale czuje się chłód między korespondentami, to się kuma natychmiast.

ŚCIŚLE TAJNE Gołumbiskaja, 16.11.42.

Przesłane przez oficera generałowi Seydlitzowi. 51. Korpus Armijny.

Reorganizacja następujących jednostek: Dywizje Pancerne 16. i 24.; 3. Dywizja Piechoty; 100. Strzelców; Dywizje Piechoty 76., 113. i 384. Należy użyć najbardziej zdecydowanych środków.

Heil Hitler D-ca

- Każdy potrafi zrozumieć, że ci dwaj dowódcy nie są kumplami.
- Co on tam bredzi na temat Szesnastej? - Pyta zdumiony Mały. - To nasza dywizja!
- Święta Magdaleno Omska! Masz rację! W jaki sposób te generalskie listy są tutaj u Iwana? - Porta grzebie w papierach. - Te bydlaki zabrały cały worek naszej poczty!
- Może przesłuchać jeńców? Przyznają się do wszystkiego na pięćdziesiąt lat wstecz.
- Nic z tego. Musimy pospieszyć się z powrotem - mówi Porta, wpychając Rosjan do transportera.

Z włazami dokładnie zamkniętymi ciężki pojazd wraca na drogę, którą powinniśmy byli wybrać. Żaden Rosjanin nie próbował nas zatrzymać, za to Niemcy strzelają do nas gdy przejeżdżamy przez nasze linie.

- Polać ich? - Mruczy wściekły Mały, manewrując działem.
- Nie rób z siebie kutasa - odpowiada Porta i z eleganckim ruchem kierownicy zajeżdża wprost pod drzwi dowództwa pułku. Zręcznie wyskakuje z wieżyczki i regulaminowo strzela obcasami przed Oberstem Hinką.
- Melduje się Unteroffizier Joseph Porta. Zadanie wykonane. Nic szczególnego do dodania.
- Skąd wziął się ten wóz? - Pyta oszołomiony Oberst, wskazując czerwoną gwiazdę na wieżyczce.
- Ach, to - odpowiada obojętnie Porta. - Pożyczyliśmy go od Iwana, ponieważ byliśmy odrobinę spóźnieni.
- Porta - krzyczy Hinka, - dość tych błazeństw! Chcę usłyszeć właściwy meldunek.
- Herr Oberst, melduję: to było zupełnym przypadkiem. To wina tego diabelskiego, bolszewickiego lasu; nagle znaleźliśmy się przed tą maszynką do robienia iskier i trzeba było

rozwalić czaszki kilku facetom, by ją zabrać. Po drodze wzięto także dwóch jeńców, złodziei worków pocztowych.

- Wyśmiewacie się ze mnie, Unteroffizier?

- Herr Oberst, melduję, że do głowy by mi nie przyszło, by nie traktować wojny poważnie. Mały, przyprowadź dwóch złodziei. Powiedz im, że zostaną rozstrzelani.

Jeńcy zostali brutalnie wyszarpani z transportera przez olbrzymia, a jakiś Leutnant pospieszył przeciąć ich więzy.

- Ja chyba śnię! - Powiedział Oberst, patrząc ze zdumieniem na dwóch Rosjan.

- To naprawdę dwóch Iwanów - zapewnił Porta, wskazując ich ręką.

- Chcesz mi naprawdę wmówić, że nie wiesz, jakie mają stopnie twoi jeńcy?

- Herr Oberst, melduję: ci dwaj Iwani powinni stanąć przed sądem wojennym za kradzież poczty. Mówię poważnie, Herr Oberst, gdy byliśmy w Torgau...

- Dosyć tego wygłupiania się! Jeden z nich jest generałem lejtnantem, drugi pułkownik Porta stał przez chwilę jak skamieniały, potem nie wahając się stanął na baczność przed dwoma jeńcami.

- Co to się wyrabia podczas tej wojny - mruknął Mały. - Pomyśleć, że właśnie skopałem dupy dwóm oficerom! Pan generał lejtnant i pan pułkownik zechcą mi wybaczyć, to się nie powtórzy.

I stanął na baczność tak, jak Porta.

Przysięgamy ci, Adolffie Hitlerze, że pozostaniemy ci wierni. August Wilhelm, ksiązę pruski,

1933

Obergruppenführer SS i szef Reichssiherheitshauptamtu Reinhard Heydrich z wściekłością przebiegał biura gmachu przy Prinz Albrecht Strasse 8, rugając wszystkich, których napotkał po drodze. Kopnięciem otworzył drzwi własnego gabinetu zanim adiutant zdążył podbiec i chwycił za telefon.

- Schellenberg! - Szczeknął, natychmiast zamelduj się u mnie.

Nie czekając na odpowiedź odłożył słuchawkę, nacisnął guzik, odczekał kilka sekund, znów nacisnął i zaczął wściekle kołysać się na czubkach butów. Z głośnika rozległ się wulgarny głos.

- Gruppenführer Müller, Gestapo.

- Śpisz sobie, Muller! - Ryknął Heydrich. Oczekuję cię. I to natychmiast.

Zwalił się na wielki fotel, niecierpliwie czekając na swych dwóch szefów wydziałów. Oficer ordynansowy otworzył drzwi, strzelił obcasami i zaanonsował:

- Gruppenführer SS Müller, Gestapo i Brigadenfuhrersdienst.

- Niech wejdą! - Ryknął Heydrich.

Walter Schellenberg pojawił się pierwszy. Był jak zwykle w cywilnym garniturze w dyskretnym kolorze matowej szarości. Müller z Gestapo wszedł za nim, ale w źle dopasowanym mundurze. Były monachijski listonosz nigdy nie zdołał się nauczyć jak zostać eleganckim oficerem. Schellenberg uklonił się ze spokojnym uśmiechem. Müller, zawsze rumieniący się i wahający, nie wiedział jak się zachować.

- Dzień dobry panom - warknął Heydrich. - Mam nadzieję, że przynajmniej wypaliście się dobrze! - Na chwilę wlepił wzrok w dwóch generałów SS, a po tym kanciastą linijką wskazał na Müllera. - Ty! W czasie gdy chrapałeś sobie pod puchową kołdrą, Führer do mnie zatelefonował. Nawet nie warto wspominać, że rozmowa była bardzo nieprzyjemna, moja konna przejażdżka opóźniła się o pół godziny. Führer mnie obrugał, słyszysz Müller, obrugał mnie! A wina jest twoja, bo śpisz, zamiast wykonywać swoje obowiązki. O której godzinie przychodzisz rano do biura?

- O 8.30, Obergruppenfürer.

- A może przypadkiem nadal wierzysz w pocztę? I żalujesz lekkiego życia wiejskiego listonosza? Więc powiedz to! Nikogo nie można łatwiej tu zastąpić niż ciebie, Müller!

Twarz Müllera stała się szkarłatna i w tym momencie chciałby zachorować na

wszystko co możliwe, bo rzeczywiście żałował życia listonosza.

- Tajne służby Armii przejęły szyfrówkę, wysłaną przez ambasadora Belgii do jego Ministra Spraw Zagranicznych. Całkiem po prostu ujawniała ona nasz plan napadu na Belgię i Holandię. Co o tym powiecie?

- Znam ten telegram - oświadczył z uśmiechem Schellenberg pewien, że to ja go zniszczyłem tego samego dnia, gdy nasze wojska przekroczyły granicę holenderską.

- Przypominam to sobie - odparł z pogardliwą miną Heydrich, nie jestem sklerotykiem, choć są tacy, którzy w to wierzą; ale panie Schellenberg, to JA mam być informowany o tej robocie, albo... Führer, rozumiesz ten niuans, Brigadenführerze?

- Doskonale rozumiem - odparł Schellenberg, który nie potrafił w tym momencie powstrzymać się od podziwiania demona, jakim był Heydrich. - Co się dzieje u Führera? - Zapytał roztropnie.

- To, co zwykle. Zawsze tajemniczy. Ma swoje plany, tak jak my mamy nasze. - Heydrich zwrócił się nagle do Müllera. - A ty, Sherlocku Holmesie, co wiesz o wszystkich naszych zdrajcach? Admirał Canaris, ambasador Ulrich von Hassel, nadburmistrz Goedler, generał-major Oster i ten mały hipokryta i bandyta generał Bock?

- Obergruppenführerze - zaczął Müller, przestępując z nogi na nogę.

- Przestań się wiercić! - Ryknął rozzłoszczony Heydrich.

Szef Gestapo zaczął się okropnie jękać.

- Wszyscy ci zdrajcy są śledzeni dzień i noc.

- Czy powiadomiłeś o tym kogokolwiek prócz mnie?

- Nie, Obergruppenführerze, wszystko dostajemy jako ściśle tajne.

- A co ze Sturmbannführerem Axterem z twojego wydziału III/2? Czy też kazałeś go śledzić w dzień i noc?

- Wszyscy są pod obserwacją.

- Wobec tego - spytał z perfidnym uśmiechem Heydrich - musisz mieć informacje o Axterze od wczorajszego popołudnia?

Müller zastanowił się pokręcił głową przecząco, obiecując sobie, że odegra się na Sturmbannführerze Axter.

- A więc już nigdy żadnych nie dostaniesz, mój drogi. Tej nocy Axter został zastrzelony w Morellenschlücht, a jego zwłoki znikły w krematorium Oranienburga. Ale grubo się mylisz wyobrażając sobie, że będę nadal robił twoją robotę! Mogłeś sam się domyślić, że człowiek, który przez dwa lata służył w kwaterze głównej Führera i który nagle pojawia się u nas, jest kapusiem? A teraz sam sobie będziesz musiał dać radę z tym, jak zawiadomić Führera o jego

zniknięciu. To twój cyrk i twoja małpa, ja umyвам od tego ręce. Zrozumiano, Müller?

- Tak, Obergruppenführerze.

- A co się dzieje w Rzymie, Müller? Jako szef Gestapo musisz o tym mieć wiedzę jak stąd do mostu!

Gestapo, Müller boleśnie przełknął ślinę.

- Wiemy, że Belgowie wysłali sprawozdanie o planie ataku i wiemy, który agent je dostarczył.

- Doprawdy? - Zapytał ironicznie Heydrich, pochylając się nad biurkiem. - To wprost jasnowidzenie, Müller!

- Tak, Obergruppenführerze - wyszeptał szef Gestapo. - Człowiek nie żyje. Wypadek drogowy, zabity przez ciężarówkę na Via Veneto.

- Ale to było nieco spóźnione!

- Zrobiliśmy, co się dało. Nie sądzę...

- Bardzo chciałbym ci wierzyć, uważam, że obaj zgadzamy się co do roli, jaką odegrał w tym admirał Canaris. Ale zapamiętajcie sobie, panowie, że jak dotąd admirał stanowi absolutne tabu. - Heydrich z zimnym uśmiechem bawił się linijką. - Führer dziś rano mianował lisa stróżem kurnika. Dał Canarisowi rozkaz wykrycia zdrajcy.

Müller i Schellenberg nie mogli się powstrzymać od parsknięcia śmiechem.

- Schellenberg, jesteś w dobrych stosunkach z admirałem. Postaraj się zostać jego bliskim przyjacielem i podrzuć mu asa, o którym będzie mógł zameldować Führerowi. Poza tym dostarcz mu pomocników, którzy należeli do naszej służby, to by było niezłe. Mamy jako sekretarkę w sekcji IV/a/B żonę pewnego oficera. Daj ją admirałowi, a do tego ona ma brata w Anglii. Ale musimy też dopomóc temu drogiemu człowiekowi wykrywać zdrajców, nie wyobrażam sobie, by aresztował z własnej inicjatywy generała Oстера. Müller, przypuszczam, że masz w Rzymie pewnych ludzi?

- Tak, Obergruppenführer. Nasza siatka jest bardzo dobrze rozmieszczona.

- Dobrze - mruknął Heydrich. - Będzie można wydać ludzi admirałowi. Zajmiesz się uzyskaniem wyznań winy, ale jeśli skłamiesz, powrócisz do spacerowania z torbą pocztową po okolicach Monachium. To ja ci to mówię.

Rozdział 4

Bitwa o Krasnyj Oktiabr

W kilka dni później znaleźliśmy się w północno-wschodniej części Stalingradu, przed wielką stalownią Marynarki Wojennej, o nazwie Krasnyj Oktiabr. W tym miejscu od wielu miesięcy trwały krwawe walki; dwa rosyjskie pułki były zamknięte w tej stoczni. Wszędzie widać było tylko przerażającą gmatwaninę pokręconej i poszarpanej stali; artyleria wybiła olbrzymie dziury w grubych murach; smród spalonego mięsa przyprawiał o mdłości, a po śniegu uwijały się hordy szczurów takiej wielkości, jakich jeszcze nigdy nie widzieliśmy, wielkich jak koty, niektóre miały skórę prawie bezwłosą. Heide twierdził, że te straszliwe bestie są chore na tyfus plamisty, co nas wprawiało w przerażenie. Rzucano w nie granatami ręcznymi, a my baliśmy się tych odrażających szczurów niemal bardziej, niż Rosjan.

Pewnego dnia Stary został wezwany do dowódcy kompanii, Hauptmanna Schwama i po powrocie do okopu wezwał natychmiast Heidego.

- Julius - powiedział - jest rozkaz zaatakowania tego wielkiego bunkra, który zamyka drogę do stalowni. Zajmiesz się tym ze swoją drużyną. My będziemy was osłaniać karabinami maszynowymi. Gdy tylko znajdziecie się u podnóża bunkra, trzeba będzie wrzucić granaty przez strzelnicę, a później trzeba będzie do niego wejść. Do otwarcia drzwi dostaniecie ładunki magnetyczne.

- Nie zwariowałeś przypadkiem? I uważasz, że można powrzucać granaty jak jajka do strzelnic umieszczonych tak wysoko? Przecież to obłąd! Potrzebna nam będzie drużyna pionierów.

- Masz wysadzić ten bunkier, to rozkaz - odparł sucho Stary. - Jak? To twoja sprawa.

Heide zaklął wściekle, ale dobrze wiedział, że Stary musiał już protestować u kapitana na temat tego wariackiego przedsięwzięcia. Pozostawało więc tylko usłuchać rozkazu.

- Druga drużyna za mną - rozkazał Heide, zarzucając na ramię pistolet maszynowy.

Ruszyliśmy ulicą, to znaczy tym, co kiedyś powinno być ulicą. Teraz był to tylko gigantyczny gulasz, złożony z nie wiedzieć ilu domów razem zamieszanych chochlą cyklopa. W wiadrze leżała odcięta głowa dziecka, wpatrzona w niebo zdumionym wzrokiem. Ofiara granatu czy zboczeńca? Wszędzie straszliwie okaleczone ciała, większość cywilów, mało żołnierzy. Pełniemy przez ruiny. Porta znalazł jamę w pagórku ruin i wskoczył do niej.

- Zostaję tutaj - oświadczył, rozstawiając karabin maszynowy na pozycji. - To idealne miejsce, by was osłaniać.

- Nie ma mowy! - Krzyczy Heide. - Idź dalej. Jestem dowódcą drużyny i rozkazuję ci zmienić pozycję.

- Chcesz dostać w ryja?

Nieprzyjacielska salwa cisnęła Heidego koło Porty.

- Złóż meldunek do pułku, możesz na mnie liczyć.

- Jak sobie chcesz, ale pod warunkiem, że wrócisz żywy.

Pojawił się Hauptmann Schwan, biegnąc po obróconej w gruzy ulicy.

- Unteroffizier Heide, na co jeszcze czekasz? Naprzód do bunkra!

Heide ze złym spojrzeniem podniósł się do połowy.

- Herr Hauptmann, składam meldunek - przerwał Porta. - Karabiny maszynowe na pozycji zgodnie z otrzymanym rozkazem, gotowe do osłaniania ogniem.

- Naprzód, Unteroffizier! - Ryknął Hauptmann do Heidego, który oniemiał na bezczelność Porty.

- Ten cholerny łajdak zapłaci mi za to! - Warknął wściekle Heide i skoczył w stronę bunkra, nie zważając na nadlatujące pociski, do tego stopnia jego żołnierska dusza poczuła się zraniona.

Posuwałem się małymi skokami, mając za sobą Gregora i fizyliera piechoty morskiej Ponza, świeżo przybyłego do kompanii jako jedyny, który przeżył z flotylli rzecznej Donu. Ogień broni maszynowej siekł o kilka centymetrów nad ziemią. Zaczęto strzelać do nas z granatników; trzeba więc było dostać się do podstawy bunkra, zanim tamci poprawią celownik. Uderzenie w bok odbiera mi oddech, serce bije mi jak oszalałe i z rozpaczy gryzę śnieg.

- Dostyc wygłupów! - Warczy, popychając mnie, Heide. - Skaczesz pierwszy, śmieciu!

- Nie mogę. Moje serce...

- Skacz, gnoju!

Trzeszczy karabin maszynowy Porty, pociski wbijają się w ścianę wielkiego bunkra. Przy karabinie maszynowym Porta jest asem. Kurczę się gotów do skoku, ale boję się straszliwie; ostrzał jest zbyt bliski... Skaczę... W chwili gdy znów padam na ziemię, reszta naszych jest już koło mnie; marynarz niesie worek granatów, ale tym razem to on już nie może.

- Możecie sobie nasrać na plecy biednego marynarza - jęczy. - W tej dziurze skończyłem z wojną i szczam na Führera, ojczyznę i Rzeszę!

- Zamknij pysk! - Ryczy Heide. - Ale nie spodziewaj się, że do mnie wrócisz! Zastanawiam się, czemu Führer przysyła nam swoją zasraną Marynarkę!

Granatniki plużą, karabiny maszynowe trzeszczą. Tamci widzą nas z górnych okien wielkiej stalowni i wiedzą co to znaczy, jeśli bunkier padnie. To będzie upadek Krasnego Oktiabra, dumi Stalingradu.

Ale pozostaje najgorsza część zadania. Trzeba wspiąć się na skarpę, trzymaną przez nich ze wszystkich stron pod ogniem. Heide skacze pierwszy. Biegnie po śniegu, przeskakuje jakiś krzak i znika u stóp bunkra.

Drę się do marynarza:

- Zostajesz czy idziesz?

- Drań! - Odpowiada, chowając się głębiej w swej dziurze.

Wielkim skokiem ląduję koło Heidego, tuż pod murem bunkra, wznoszącym się nad nami na kolosalną wysokość, tak kolosalną, że nigdy się tam nie dostaniemy. Lokuję się za wielkim blokiem betonu, gdzie czuję się odrobinę osłonięty.

- Boisz się, mokra cipo! - Drwi Heide. - Przynieś granaty.

- Marynarz je ma.

Heide patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś tutaj bez granatów?

- Niósł je marynarz zgodnie z rozkazem. Ja nie jestem grenadierem!

- Jesteś najlepszym w całej kompanii. Wracaj i poszukaj ich!

- Chyba zwariowałeś! Przecież się tam nie przedostanę.

- Wracaj! To rozkaz.

- Nie! - Wrzeszczę. - Zwariowałeś! Każ przyjść marynarzowi, który je ma. Wiem, że ryzykuję sąd wojenny, ale lepsze to, niż pewna śmierć.

- No to popatrz sobie! Ten tchórz pozna, kim jestem!

Wstaje i widzi marynarza siedzącego w swej dziurze. - Przyjdź tu z granatami! - Ryczy Heide, posyłając serię pod nos marynarzowi, który wielkim skokiem pojawia się przy nas, ale bez torby.

- Torba! Torba! - Wrzeszczy Heide, zrzucając pobladłego ze strachu marynarza ze skarpy. - Tak trzeba traktować tchórzów!

- Strzelałeś do mnie! - Jęczy marynarz, rozplaszczając się na ziemi. - Mogłeś mnie zabić!

- Taki właśnie miałem zamiar!

Przybywają Legionista i Gregor z minami magnetycznymi. Gorączkowo przygotowujemy granaty, cztery przywiązane wokół butelki benzyny.

- Ty, Sven - rozkazuje Heide, wskazując najbliższą strzelnicę. - Będę strzelał by cię

osłonić, a ty wrzucisz ananasy.

- Ale ja tego nie umiem!

- Wykonujesz rozkaz czy nie?

Podpełzam, dokładnie pod strzelnicę, z której wystaje lufa armaty bunkra. Nie da się dosięgnąć tej szpary, znajdującej się o cztery metry nad ziemią. Cofam się odrobinę, by mieć nieco miejsca do zamachu. Karabin maszynowy z fabryki trzyma mnie pod ogniem, powietrze brzęczy wokół jak chmura rozwścieczonych os. Odchylam rękę do tyłu, biorę zamach, ale brak mi sił. Koktajl Mołotowa odbija się od ściany i pada u stóp bunkra. Patrząc skamieniały jak się toczy i nawet nie czuję, jak Heide rzuca się na mnie, by mnie obalić za osłonę. Potworna eksplozja. Odłamek drasnął mnie w przedramię.

- Kutasie jeden! Teraz nas namierzili! Stoję i dyszę, ręka mnie pali.

- Kiedy ci powiem - szepcze Heide - lecisz jak błyskawica pod szparę, skaczesz mi na ramiona i wrzucasz ananasa do otworu.

Pomimo celnego ognia Porty rosyjska armata grzmi bez przerwy. Heide zwariował! Jeśli wepchnę koktajl przez strzelnicę, urwie mi rękę! Takie rzeczy robi się przy pomocy granatników, a my ich nie mamy. Protestuję, ręka boli mnie coraz bardziej.

- Kłamca! - Wrzeszczy Heide, uderzając mnie w ranę. - Masz tylko siniaka i jesteś tchórzem. - Chwyta mnie za ramię, potrząsa mną i bije mnie w twarz wierzchem dłoni. - Włóż mi na ramię i to zaraz!

Jest znacznie silniejszy ode mnie, jeśli będę się mu opierał, zabije mnie i wszyscy przyznają mu słusność. Jak we śnie wspinam się na jego splecione dłonie i wdrapuję się na ramiona. Zębami odbezpieczam granat i wpycham go do strzelnicy. Ale pojawia się kolba, która go gwałtownie wypycha. Tracę równowagę, próbuję ją odzyskać, padając ciągnę za sobą Heidego i w chmurze śniegu toczymy się na sam dół skarpy, aż do dziury gdzie stoi karabin maszynowy Porty.

- Ty sukinsynu! Zrobiłeś to naumyślnie! - Ryczy, tracąc z wściekłości wszelkie opanowanie, Heide.

- Ale zapłacisz mi za to i to drogo!

Jak oszalały wyciąga swój nóż okopowy i z pianą na ustach rzuca się na mnie. Przerażony wspinam się na skarpy, czując na karku gorący oddech tego obłąkańca i jednym wielkim skokiem rzuca się między Legionistę i Gregora. Wariat ciska nożem w moim kierunku i groźnie wyciąga pięść w stronę plującego ogniem bunkra.

- Poczekajcie trochę, mongolskie dzikusy! - krzyczy ochrypłym głosem.

Trzymając minę magnetyczną rzuca się na mur, czepia się czegoś ledwie wystającego

ze ściany, unosi z niesłychaną siłą, ale wypuszcza z ręki chwycony występ i spada. W jednej chwili wstaje na nogi i oszalały z wściekłości wraca na beton. Wspina się. Jak? Nikt nie wie. Mina przywiązana rzemieniem zwisa mu z szyi.

- Szaleniec - mruczy Gregor, śledząc wzrokiem fanatycznego nazistę.

- Tak, ale dobry żołnierz - mówi z podziwem Legionista. - Zasługuje na Krzyż Żelazny.

Heide dociera do strzelnicy. Przywiera do wystającej lufy armatniej, balansuje jak małpa, odczepia ciężką minę i spokojnie przepycha ją przez szparę. Potem dobrowolnie spada i pomimo wysokości upadku, natychmiast wstaje na nogi.

- Szybko! Na drugą stronę! - Krzyczy, biegnąc w tamtym kierunku.

Legionista, Gregor i ja ledwie okrążyliśmy bunkier, gdy widzimy jak otwierają się ciężkie drzwi, ukazując postać skąpaną we krwi. Z błyskawiczną szybkością Legionista miażdży mu twarz kolbą, daje trupowi kopniaka i wbiega do bunkra, podobnego do rzeźni. Padamy za skrzyniami amunicyjnymi, nad nami grzmi armata.

- Marynarzu, biegnij do Heidego i powiedz mu, że jesteśmy w tym grobowcu - rozkazuje Gregor. - I to natychmiast! Bo bez tego on nam wlepi następną minę. Jest dość szalony, by to zrobić. Biegaj, draniu! - Ryknął do ociągającego się marynarza, który wychodząc zderza się z Heidem.

- Co wy tu robicie, zasrańcy? Dlaczego nie jesteście na górze u Iwanów? - Uderza mnie lufą swego rewolweru. - Właż na drabinę. Chcesz zostać oficerem? Więc pokaż co potrafisz, gnojku!

Bez słowa chwytam wąską, żelazną drabinę, prowadzącą na górne piętro, ostrożnie otwieram klapę i obrzucam spojrzeniem pierwsze piętro. Rosjanie leżą na ziemi. Armata wali bez przerwy. Strach chwyta mnie za gardło; na czapkach widnieją złowieszcze, malinowe otoki NKWD. Ciężko dysząc schodzę i znajduję się koło Heidego.

- I co się z tobą dzieje? Nie rzuciłeś ananasów?

- Na górze - odpowiadam bez tchu - jest przynajmniej tysiąc enkawudzystów.

- Dobry Boże! - Ryczy Heide, chwytając swoją wiązkę granatów. Wspina się po drabinie jak małpa, podnosi klapę, ciska ładunek wybuchowy i rzuca się na dół, na brzuch. Ogłusza nas grzmiący wybuch. - Jazda, za mną!

Tym razem na czele jest Legionista. Jednym ruchem odrzuca klapę i polewa pociskami na oślep. Tutaj są same trupy, ale jest jeszcze jedno piętro, jeszcze jedna drabinka. Słysząc strzał z rewolweru, pocisk muska mój hełm, rosyjski lejtnant celuje do mnie z ciężkiego nagana. Błyskawicznie opróżniam magazynek w jego ciało, które zmienia się w czerwoną

apkę. Sierżant NKWD, odznaczony orderem Lenina, bierze do tyłu zamach ręką, w której trzyma granat, ale zostaje nadziany na bagnet Legionisty. Trzeba zlikwidować rannych, inaczej nie da się zrobić. Jeden Sybirak walczy aż do śmierci, zobaczyliśmy drugiego, który strzela sobie w głowę w chwili, gdy pochylił się nad nim sanitariusz, by mu pomóc.

Teraz moja kolej, by wejść na następną drabinkę, ale zanim jeszcze do niej podszedłem, ujrzałem unoszącą się nad trapem mongolską gębę. Dosłownie zahipnotyzowany wpatruję się w czerwoną emaliowaną odznakę na jego futrzanej czapie, wbijam mu dwa palce w nozdrza i ściągam do siebie. Heide zabija spadającego Mongoła, a wtedy rzucam mój koktajl Mołotowa. Podmuch odrzuca mnie do tyłu, wszystko tańczy mi przed oczami i padam na podłogę. W górze trzeszczą pistolety maszynowe, wybuchają granaty. Wycia, jęki... A potem pełen dymu bunkier ogarnia cisza.

Wyczerpawszy wszystkie siły rzucamy się na ziemię i pijemy wodę, przeznaczoną do chłodzenia rosyjskich karabinów maszynowych. Wtedy, z osłupieniem, widzimy jak Heide myje się w wiadrze wody. Bez słowa czesze się porządnie, czyści szmatką mundur, prostuje oporządzenie i oto znów jest zimnym Prusakiem, śmierdzącym regulaminami.

3. Kompania zostaje zmieniona i ma zająć bunkier. W czasie pokoju ten blok był swego rodzaju kordegardą, gdzie pracowali skazańcy. Setki ich znajdujemy w piwnicy, zabitych strzałami w potylicę. Polityczni mieli na piersiach i plecach zielone kółko, kryminalni kółko czarne. Ostrożnie przechodzimy w bunkrze od pomieszczenia do pomieszczenia, unikając szatańskich pułapek. Jeśli otworzyć drzwi nie zbadawszy ich dokładnie, jeśli stąpnąć na luźną deskę, z wyciem wylatuje się w powietrze. Syberyjscy enkawudziści są niewiarygodnie fanatyczni; ani my, ani oni nie darują życia jeńcom, a przede wszystkim, przede wszystkim nie wolno dać się wziąć do niewoli! Najlżejszą torturą, wymyśloną przez tych małych ludzi o skośnych oczach, jest wywieszenie jeńca całkiem nagiego uwiązanego drutem w kostkach u nóg przez okno. By umrzeć potrzeba około sześciu godzin.

Teraz do zaatakowania pozostaje sama stalownia. Zajmuje pozycję pułk miotaczy rakiet ze swoimi piekielnymi wyrzutniami. W chwili, gdy wybuchają równocześnie dwadzieścia cztery rakiety, można sobie wyobrazić jak wygląda koniec świata. Walczy się łopatkami, bagnietami, przebija się, zabija, brodzi we krwi, ale Sybiracy się nie poddają. Posuwając się naprzód słyszymy, jak rozmawiają ze swoim sztabem.

Dziewiątego dnia ataku słyszymy:

- Tu punkt oporu Krasnyj Oktiabr. Żywność wyczerpana. Jesteśmy głodni. Prosimy o pozwolenie poddania się.

Odpowiedź była natychmiastowa:

- Pod żadnym pozorem. Walczcie jak prawdziwi żołnierze, a zapomnicie o głodzie.

Po pięciu kolejnych dniach rozpaczliwych zmagañ, otoczeni ze wszystkich stron Sybiracy zameldowali:

- Tu Krasnyj Oktiabr. Nie mamy nic do picia, mamy pragnienie. Wielu popełniło samobójstwo. Czekamy na rozkazy.

Odpowiedź była tak natychmiastowa, jakby odczytywano regulamin:

- Żołnierze, nadszedł czas byście pokazali, że jesteście godni służyć w Armii Czerwonej. Żyćcie waszą wiarą. Spojrzenie marszałka Stalina was nie opuszcza.

Bohaterscy żołnierze syberyjscy walczyli jeszcze trzy dni z coraz większym fanatyzmem i po raz ostatni dali znać:

- Amunicja wyczerpana. Prosimy o zezwolenie kapitulacji.

Natychmiastowa odpowiedź:

- Towarzysze, Związek Radziecki wam dziękuje. Zostaniecie wymienieni w rozkazie Armii. Odmowa kapitulacji, żołnierz radziecki nigdy się nie poddaje. Robotnicy i chłopci was pozdrawiają. Czerwony front!

Około północy wszyscy wyszli z bagnetami na broni, wydając ochryple ryki. Ich fale padały pod ogniem naszych karabinów maszynowych, a nieliczni którzy przeżyli i dotarli do nas, walczyli wręcz. My zaś walczyliśmy z wściekłością w sercach na wspomnienie nagich trupów, wiszących w oknach. To oznaczało zabić lub być zabitym, oni to wiedzieli i my też. Wbiłem bagnet w brzuch oficera z dwiema złotymi gwiazdkami i ogarnięty szalem zmiażdżyłem mu twarz. Nie był bynajmniej starszy ode mnie, ale powiesiłby mnie na oknie z drutem wokół kostek, gdybyśmy tego dnia poddali się w piwnicy fabryki, nie mogąc stamtąd uciec.

3. Drużyna miała mniej szczęścia. W godzinę później wszyscy nasi koledzy kołysali się nadzy w oknach.

W końcu przebiliśmy się do holu wielkiej fabryki i skoczyliśmy ku windom. Pod wielkimi maszynami leżeli skośnoocy żołnierze martwi lub umierający, ci, którzy umierali, robili to w milczeniu. Wiedzieli, że ich nie oszczędzimy. Rzuciliśmy się do klatek wind. Sybiracy wypuszczają z rąk żelazne pręty i z wyciem padają na ziemię; inni wariują i wyskakują przez okna. Ale mimo wszystko pod wieczór ogromna fabryka Krasnyj Oktiabr zostaje zdobyta. Tylko bohaterska obrona syberyjskich żołnierzy staje się niezapomnianym przykładem; do końca wojny, gdy jakaś drużyna znalazła się w trudnej sytuacji, mówiono: - Pomyślcie o Krasnom Oktiabrze.

Porta, siedząc na ławeczce tokarza, odpoczywa czytając wojskową gazetę.

- No i co nowego? - Pyta Mały. - Nic złego?

- Nie. Marynarka Wojenna zatopiła mnóstwo statków i Anglia jest prawie pokonana.

- Nie rozumiem tego - odzywa się Gregor. Od czasu polskiej kampanii mówi się nam, że Anglia jest pokonana, więc czemu te dupki nie kapitulują? Już nie mają statków, ich porty płoną, ich samoloty z okresu poprzedniej wojny są przestarzałe, nie mają nic do żarcia, a pomimo tego, co noc bombardują nasze miasta. No więc?

- W czasie wojny wszystko jest supertajne - oświadcza uroczyście Porta. - Hej! Tu jest coś ciekawego! Posłuchajcie: - W Stalingradzie nasi żołnierze biją się wściekle, jak prawdziwi bohaterowie Armii Niemieckiej. Ludzie z 6. Armii Pancerniej przejdą do historii jako najdzielniejsi z dzielnych. Bóg jest z nami, bohaterowie ze Stalingradu walczą z Biblią w rękę.

- Dość! - Wrzasnął Gregor. - Nie mogę już znieść takich słów. Od tego mam ochotę się zesrać!

- Dowódcy drużyn, do mnie! - Woła Hauptmann Schwan z drugiego końca hali maszyn.

Wydał rozkaz zabezpieczenia ponurego gmachu GPU, gdzie dowodzący generał Paulus i jego sztab toczą wojnę w piwnicy na mapie. Czy ten generał przeżyje się cierpieniami, jakich doznajemy w takiej kąpieli? On i jego sztab nie wiedzą nic o głodzie, o mrozie, o torturach; oni bawią się w wojnę tak, jak ich nauczono w Akademii Wojskowej. Dla nich bitwa stalingradzka to gra wojenna na serio.

Jeden za drugim ciągniemy ulicą Rewolucji, gdzie domy mniej więcej stoją. Tutaj padały tylko zbłąkane pociski. Mija nas długi sznur uciekających cywilów, niosąc rannych na materacach, z jakiejś ruiny wyłażą dzieci i zaczynają żebrać o chleb, który im z litości dajemy. Mały chłopczyk, mając na głowie niemiecką czapkę piechoty i przypasaną rosyjską szablę, chwyta Małego za rękę.

- *Gospodin soldat!* Czy nie zostałeś moim ojcem?

- Załatwione, koleżko - odpowiada z szerokim uśmiechem Mały i wsadza sobie dziecko na ramiona. - Ile masz lat?

- Nie wiem, jestem stary - Otacza szyję Małego ramionami. - *Gospodin soldat*, czy nie zechciałbyś też zostać ojcem mojej małej siostrzyczki?

- Oczywiście chcę - odpowiada wzruszony olbrzym, stawiając dziecko na ziemi.

- Pójdę po nią! - Woła mały i bierze nogi za pas. Gwiżdże pocisk armatni... Wszyscy rzucają się na ziemię. Po wybuchu wstajemy i idziemy dalej, ale na środku ulicy leży w

kałuży krwi czapka niemieckiej piechoty i zupełnie pokrzywiona rosyjska szabla.

Po dwóch dniach pełnienia warty w gmachu GPU zostajemy zmienieni po to, by nas wysłać do koszar piechoty, a Porta zostaje mianowany starszym Unteroffizierem.

- Niemożliwe! - Woła Unteroffizier Franz Krupka, wskazując rękaw Porty. - Ty starszym Unteroffizierem? To, mój stary, jest droga do stopnia marszałka, ale nowe galony trzeba oblać!

- Niczego bardziej nie pragnę - odpowiada kwaśno Porta - ale czy możesz mi powiedzieć czym? Tu jest tylko radziecki śnieg.

Obaj kumple znają się od lat, byli w tej samej klasie i mieszkali na tym samym przedmieściu Berlina. Krupka ocenił Portę spojrzeniem i roztarł swój odmrożony, ale wyleczony nos. Dawniej nie był śliczniutki, ale teraz jest okropny.

- Posłuchaj! Wiem, gdzie znaleźć co trzeba by ochrzcić twe naszywki, ale jeśli się wygadasz, to krewa.

Porta podniósł trzy palce.

- Wypluj to, krowo, przysięgam.

- No więc ta świnią Wilke ma cztery skrzynki krymskiej wódki, które zwinął w kantynie.

- Wielki Boże! Z tym można wygrać wojnę! Lecę do niego. Zobaczymy, kogo się zaprosi - dodał, siadając spokojnie na niewybuchu pocisku 420 mm. W zamyśleniu zaczął ssać ogryzek ołówka. - Najpierw mnie. I oczywiście ciebie, to normalne. Następnie Starego i Gregora. Małego obowiązkowo, choć gdy się napije, zaczyna się zachowywać jak Turek w sraczu. Heidego wolałbym nie, on psuje wygląd stołu, ale nie ma sposobu, by go wykluczyć. Trzeba mu będzie wlać piwa do wódki i w pięć minut uwolnimy się od niego. A dalej Svena i Legionistę. Nikogo więcej. Hej, to mi przypomina, że ten pół-Francuz jest mi winien paczkę papierosów opiumowych; jest tak goły, że pierdzi pleśnią. Z dłużnikami tego typu nic się nie da zrobić. Jak widzisz, w drużynach frontowych brak księgowych. Możesz być pewien, że gdy Żydzi zaczną się bić, zaraz taki się pojawi!

- Prawdę mówisz. Nie dalej jak wczoraj byłem w 7. Kompanii, by zainkasować trzy paczki narkotyzowanych papierosów. Był mi je winien Feldwebel Pinsky, ta świnią, i uwierzysz, na co sobie pozwolił? Dał się rozstrzelać nie oddawszy mi ich! Ma mnie teraz w dupie, leżąc w rowie! Próbowałem oczywiście, by mi zapłaciła jego drużyna, ale kazali mi się wypchać moją należnością! Teraz nic już nie pożyczam nawet na 100 procent!

- A naprawdę są ludzie, którzy tyle płacą? - Zapytał z wielkim zainteresowaniem Porta.

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale to byłoby uczciwe, biorąc pod uwagę ponoszone ryzyko. Pomyśl tylko, miałem dług u pewnego oficera, dziedzica z piechoty. Już to samo powinno było dać mi do zastanowienia, ale pięknym panom się ufa. Gwizdać na nich! Ten wygalonowany rzucił się na czołg T 34, by dostać Krzyż Żelazny! I co powiesz o takim kutasie? Oczywiście czołg go rozjechał. Dostałem nauczkę!

- Dla ludzi interesu czasy są ciężkie - jęknął Porta. - No to leceć. Dziś wieczorem o ósmej, sala 23.

Śpiewając na całe gardło poszedł ulicą i stanął na baczność przed jakimś majorem, nie przestając myśleć o wódce. Idąc dalej zaszalował całkiem przepisowo drzewu, na którego gałęzi kołysał się jakiś Oberleutnant i w końcu złapał Wilkego, pochłoniętego gotowaniem zupy.

- Powiedz no Wilke, znasz ostatnie wiadomości? - Spytał Porta, wyciągając papierosnicę z masywnego złota, spadek po pewnym zabitym na froncie generale.

- Och, daj spokój nowinom, imbecyłu. Wiadomości mam aż po gardło. Wolę myśleć o hotelu, który zbuduję sobie po wojnie.

- Hotelu? Chyba śnisz. Właśnie rzuciłem okiem na ściśle tajną wiadomość. Bijcie się do ostatniego żołnierza i ostatniego naboju, taki jest rozkaz Führera. Będziesz wyęźał wszystkie siły w kopalni ołowiu na Kółmie myśląc o hotelu! - Chichotał Porta, pozerając pochwyconą zręcznie kielbasę. - Wilke, bądźmy poważni. Co byś powiedział na dyskretną ucieczkę samolotem?

- Bzdury! - Warknął parzygnat. - Ależ pomysł!

- Posłuchaj - rzekł Porta zniżając głos. - Wczoraj byłem u naczelnego dowódcy i podano mi interesującą wiadomość. My starsi Unteroffizierowie mamy wszędzie znajomych. Wolę ci to opowiedzieć. Najpierw nie zwracałem większej uwagi, a potem pomyślałem o przyjaciółach kuchcikach; to dotyczyło ich wszystkich w Stalingradzie.

- Co ty mi tu opowiadasz?

- Jeśli chcesz, możesz mi nie wierzyć. Był to rozkaz głównej intendencji, by mianować kucharza o najwyższych kwalifikacjach, aby szkolił innych w Kucharskiej Szkole Wojskowej w Szczecinie.

- Porta spojrział zezem na Wilkego, którego zainteresowanie zaczęło rosnać. - Natychmiast pomyślałem o tobie, sam rozumiesz, jesteście starymi kumplami. Pamiętasz ten dzień, kiedy cię uchroniłem jak prawdziwy przyjaciel, gdy miałem skontrolować racje osobiste w Paderborn i gdy odkryłem, że wynoszą połowę przepisanej wagi? Gdybym wykonał mój obowiązek, to by dla ciebie oznaczało Torgau, gdzie by cię udusił przyjaciel

Gustaw.

- Ach, nie przypominaj tego! Czy nie kazałeś mi za to zapłacić? Prawdziwy lichwiarz i szantażysta, oto kim jesteś!

- Dobra, dobra, na tym padole płaci się za wszystko. Ale wracając do naszej sprawy, co byś powiedział, żeby dać nogę, by zostać profesorem w Szczecinie?

Unteroffizier otarł czoło dłonią i nieufnie spojrzał na Portę. Porta wielokrotnie go wykołował, ale biorąc wszystko pod uwagę? Być może stanął wobec życiowej szansy?

- Powiedz no - zaczął ostrożnie - wiesz, że jestem żonaty i mam dwójkę dzieci... Ta sprawa ze szkołą kucharską, o której opowiadasz, to prawda?

- Ogromnie żałuję, że nie jestem parzygnatem - oświadczył uroczyście Porta, natychmiast otwierając papierosnicę zmarłego generała. - Gdy zobaczyłem żądanie głównej intendentury, skierowane do 6. Armii, natychmiast pomyślałem o tobie i szepnąłem słówko mojemu przyjacielowi, który o wszystkim decyduje w dziale personalnym. Starszemu Unteroffizierowi, takiemu jak ja - dodał dumnie. - Zdarzyła ci się życiowa okazja!

- Gratis? - Spytał nadal nieufny kuchmistrz.

- Mój stary, co na tym świecie jest gratisowe? Mój przyjaciel z działu personalnego żąda kartonu wódki i to wszystko. Ale ja, jako twój przyjaciel, nie żądam nic. Taki już jestem!

Kucharz zamyślił się głęboko. Już słyszał warkot silnika transportowego Ju 52.

- Trzeba tylko dobrze się porozumieć - kontynuował Porta, siadając na ciepłej pokrywie kotła. - To ściśle tajne, nie? Jeśli miaukniesz jedno słowo, jestem ugotowany! Morale jest niskie, nawet bardzo niskie i nagle Adolf zdał sobie sprawę, że kucharze są podczas wojny bardzo ważni. Teraz szuka się wykwalifikowanych kuchmistrzów, by wytresować tych z SS, którzy są osłami.

- No to czemu nie szukają ich po prostu w Szczecinie? - Odpalił jak najbardziej rozsądnie i sceptycznie gruby Wilke. - Tam wiedzą wszystko o kucharzeniu!

- Posłuchaj! Mam robotę i brak mi czasu do stracenia. Po prostu chciałem ci zrobić przysługę. Jeśli nie jesteś zainteresowany, to powiedz to wprost, wtedy przekażę tę poufną informację kucharzowi z Siedemdziesiątego Szóstego, zapłaci drożej, niż ty.

- Zapłacić! Przecież powiedziałeś, że to przyjacielska przysługa! W ramach rewanżu!

- Co do mnie, to tak, ale co do mego kumpla, to możesz sobie wsadzić twój rewanż w dupę, aż znów wyjdzie kiedy pierdniesz. A wiesz, co jeszcze mi powiedział? Z powodu strat, jakieśmy tu ponieśli, wszyscy kalecy zostaną wysłani na pierwszą linię. Nadchodzą przeraźliwe czasy, tutaj, w kotle. Na twoim miejscu wolałbym grzać sobie tyłek w Ju 52.

Gruby kucharz przesunął dłonią po łysej czaszce. Mówiono, że utracił włosy rozmyślając, jak zmniejszyć racje, bo wszyscy wiedzieli, że jest największym złodziejem w promieniu 20 kilometrów.

- Powiem ci wszystko - kontynuował bezlitośnie Porta. - Wszyscy kucharze kompanijni mają zostać przeniesieni do linii, a kompanie same zajmą się kucharzeniem. Ale dla ciebie to zapewne będzie gorzej, bo jako Unteroffizier, zostaniesz mianowany dowódcą drużyny karabinów maszynowych. Dobra! Teraz mi się spieszy, Herbert, obowiązek mnie wzywa. Jak widzisz zostałem mianowany starszym Unteroffizierem, to wymaga nowych usług dla Wielkiej Rzeszy. Tak czy nie, Szczecin cię interesuje?

- Oczywiście, to mnie interesuje! Jeśli nie, byłbym kretyńcem!

- Wobec tego zaraz o tym powiem memu kumpłowi, ale pomyśl o skrzynce wódki. Posłuchaj, Herbert, trzeba rozumieć jak się rzeczy mają - rzekł Porta widząc, jak twarz kucharza nabiera szkarłatnej barwy.

- A skąd ty wiesz, że mam wódkę? Oszust! Bandyta!

- Nie podniecaj się tak. Jest wielu ludzi, którzy gryzą sobie palce za to, że mnie obrazili. Ale ja nie mam ci za złe. Wybacz, że ci przeszkodziłem i do widzenia!

Podniósł swe długie ciało i poszedł spacerkiem w stronę koszar.

Kulka gwizdząc nadleciała.

Przeznaczona dla mnie czy dla ciebie? Podśpiewywał Porta nie zwalniając kroku, lecz usłyszał, że ktoś za nim goni.

- Zaczekaj chwilkę - zawołał Wilke. - Chyba znasz się na żartach!

- Dostyc gadania. Odpowiedz krótko i po wojskowemu: jesteś zainteresowany, czy nie?

- Ależ oczywiście! - Odparł z wściekłością Unteroffizier. - Chodź, dam ci wódkę.

W pięć minut Wilke wyciągnął karton ukryty pod plandeką. Liczba butelek zgadzała się, a rozemocjonowany kucharz podał Porcie jeszcze jedną dodatkową.

- A reszta zapasów jest twoja w chwili, gdy moja dupa znajdzie się w samolocie.

Uścisk kucharza. Skrzynka bezpiecznie spoczywa na ramieniu Porty, a dwie butelki uśmiechają się z jego kieszeni. W 3. Kompanii Franz Krupka nie chciał wierzyć własnym oczom.

- Przecież nie groziłeś mu pistoletem maszynowym! Od dwóch miesięcy próbowałem położyć łapę na tej wódce!

- Idiota! Czy aby włamać się do banku bierze się rewolwer? Wojna psychologiczna, kolego, to sprawa oleju w czaszce.

Wieczorem Porta przybył do nas ubrany we frak i białą krawatę barona rumuńskiego,

z monoklem w oku. Był to wspaniały ochlaj! Krupka wpadł pod stół pierwszy, następny był Gregor. Mały, stojąc na tym samym stole, upierał się, że nam pokaże swe talenty ratownika i w tym celu zdjął nawet buty piechura.

- Krzyczcie o ratunek - powiedział - a ja przybędę lotem szybowca skacząc z wysokości mostu, by was ocalić!

- Ratunku! To było wycie.

- Przybywam, koledzy! - Skoczył i wylądował z hukiem wybuchającej pięcotonowej ciężarówki. - Czemu nie powiedzieliście mi, że woda jest zamrznięta? Nie jestem lodołamaczem!

Stary uniósł siekierę nad głowę Heidego, który zaskomlał z przerażenia. Porta, rozłożony na stole, trzymając się za boki, wspominał dobry kawał, który zrobił Wilkemu i próbował opróżnić lufę karabinową, napełnioną mieszanką oleju, prochu, wódki i jeszcze czegoś, znalezionego w kuchni i wziął sobie za punkt honoru, by nie zwymiotować tej okropnej mikstury. Legionista tytułuje go Unteroffizierem z Bożej łaski, a Porta pochlipuje z rozczulenia.

- Jesteś moim przyjacielem, prawdziwym przyjacielem, mruczy pijany w trupa Heide, całując stołową nogę.

Stary chce wyjść, potrzebuje świeżego powietrza i gdy tylko znalazł się na dworze, pomyślał, że jest w niebie. Natomiast Legionista zażądał od generała, znajdującego się w piecu, by natychmiast wysłał go do Sidibel-Abbes i padł na kolana, by modlić się do Allaha.

Tylko kot Porty nie jest pijany i siedzi na tyłku, przyglądając się nam wszystkim z najwyższą pogardą.

Obergruppenführer Heydrich wszedł do Himmlera, który gestem pokazał mu krzesło, stojące przed nim.

- Obergruppemführerze - zaczął bez wstępów Himmler - mówi się, że masz teczki wszystkich członków Partii, SS i Armii. Mówi się też, że określasz te teczki jako materiał wybuchowy. Czy tak jest?

- Bezwzględnie tak, Reichsführerze. Jako odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne jest moim obowiązkiem wiedzieć wszystko o wszystkich.

- Interesujące - oświadczył Himmler z lodowatym uśmiechem. - Czy przypadkiem masz także wśród swych materiałów wybuchowych teczkę dotyczącą mnie?

- To możliwe, Reichsführerze, ale nie miałem czasu, by osobiście przejrzeć każdą teczkę. Robię to tylko, gdy trzeba tak zrobić. To zresztą mój odpowiednik w Moskwie naprowadził mnie na ten pomysł!

- Wspaniały pomysł - zgodził się Himmler kwaśnym tonem. - Dobrze, ale dajmy temu spokój. Co nowego w Watykanie, Obergruppenführerze?

- Reichsführer jest z pewnością lepiej poinformowany na ten temat niż ja - odpowiedział Heydrich z miłym uśmiechem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie rozumiem!

- Czy generał Bocchini, szef włoskiej policji, nie jest jednym z bliskich przyjaciół Reichsführera?

- Jesteś jak zwykle dobrze poinformowany - mruknął ze złością Himmler, który wcale sobie nie życzył, by jego kontakt z generałem Bocchinim stał się oficjalnie wiadomy.

- Trzy tygodnie temu Reichsführer wysłał generałowi Bocchiniemu kawał starego drewna.

Himmler wyprostował się ze złością, a jego wargi zacisnęły się jeszcze bardziej.

- Posuwasz się za daleko, Obergruppenführer! To „stare drewno” było kawałkiem dębu Wotana. Moi eksperci długo go szukali i wysłałem kawałek świętego dębu generałowi Bocchiniemu na znak naszej przyjaźni.

- Rozumiem bardzo dobrze, Reichsführerze, ale na nieszczęście jego Ekscelencja wsadziła święty dąb do swego kominka w Rzymie - rzekł z uśmiechem Heydrich. - Mówiono mi, że szef włoskiej policji sądził, że ze strony Reichsführera jest to dobry żart. Wkrótce otrzymasz kawałek łóżka Romulusa jako prezent od Jego Ekscelencji.

Himmler pobladł, a jego dłonie zacisnęły się z wściekłości. - Ta włoska świnia! - Warknął. - Dąb Wotana jako polano w kominku! - Upadł ciężko na fotel. - Obergruppenführer, masz teczkę o tej włoskiej świni?

- *Mam je o wszystkich.*
- *Dobrze, Heydrich. Załatw, by te informacje otrzymał bezpośrednio Duce, szczególnie, by nie podejrzewano, że to wyszło od nas.*
- *Zrozumiałem w zupełności - odparł Heydrich z niebezpiecznym uśmiechem.*

Rozdział 5

Młody Oberleutnant

Porta i ja obsługiwaliliśmy karabin maszynowy. Przez dwa dni mieliśmy mniej więcej spokój, nawet snajperzy pracowali tylko rankiem i wszyscy pragnęli tylko jednego: aby to trwało!

- Zastanawiam się, co tam Iwan smaży na wolnym ogniu - mruknął Stary, rzucając się na ziemię koło nas. - Tam coś dziwnie trzeszczy. Ile mamy naboju?

- Pięć tysięcy, nie licząc smugowych. Wystarczy na zniszczenie całego pułku.

- Pod warunkiem, że wkrótce nas stąd wyciągną - odparł Stary, nieufnie spoglądając na linie nieprzyjacielskie.

- A kto mówi, że po nas przyjdą? - Zauważył Porta. - Tylko my mamy na to nadzieję i nikt więcej. Widzisz, absolutnie nie wierzę bardziej, że tamci będą mieli zamiar po nas przyjść, jeśli tego nie zrobili już dawno. Czy nie zauważyliście, że przybywa coraz mniej samolotów transportowych?

- Chyba zwariowałeś! - Krzyknął Gregor. - Pozwolić na okrążenie całej armii! Przecież Niemcy nie mogą sobie na to pozwolić! Milion ludzi, to przecież coś! Adolf byłby obląkany!

- A kto mówi, że nie jest? - Odparł

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, że teraz jest nas ledwie paręset tysięcy, a większość żołnierzy nie jest nic warta. Adolf to dobrze rozumie. 6. Armia nie jest już warta złamanego szeląga, a Paulus zawsze był defetystą. Robiąc z tego prezent Iwanowi niewiele się ryzykuje. Ja to już dawno zrozumiałem. Tu w Stalingradzie zrobiono z nas wszystkich bohaterów Wagnerowskich i za pięćdziesiąt lat to będzie bardzo ładnie wyglądało w podręcznikach historii. Cała armia poświęcająca się za Führera, wyobrażacie sobie? Książki, oczywiście ze złoconymi brzegami, z obrazkami. Nie każda głowa państwa może to o sobie powiedzieć!

- Zamknij się - szepnął Stary, wyglądając przez skarpe okopu. - U Iwana coś się dzieje.

- To zmiana - powiedział spokojnie Porta.

- Nic dobrego - mruknął Stary. - Mój nos nigdy się nie myli. Iwan przygotowuje jakieś świństwo. - Zaniepokojony zapalił papierosa opiumowego i wciągnął do płuc wielki haust dymu. - Nie robi się tyle zamieszania przy zmianie. Gregor, idź do dowódcy kompanii, trzeba go powiadomić.

- Spokojnie! - Odezwał się Porta. - Zaczekaj trochę. Jest prawie 10.30, Iwan nigdy nie

przychodzi tak wcześnie.

Dokładnie o 13.00 ziemia zadrżała od ognia przynajmniej tysiąca baterii, rozmieszczonych za liniami rosyjskimi.

- Tym razem to wygląda poważnie! - Zawołał Gregor, w panice skacząc do bunkra.

Porta i ja zostaliśmy w okopie z karabinem maszynowym, jest tam równie bezpiecznie, jak w bunkrze, ale trzeba panować nad nerwami i nie dać się poddać gorączce okopowej, tej dziwnej psychozie, która kosztowała życie wielu żołnierzy. Porta uśmiechnął się, by mnie uspokoić. Kot przytula się do niego, zna się na atakach i boi się ich tak samo jak my.

Pierwszy wielki granat z haubicy upadł przed okopem, zasypując nas ziemią i stałą. Powietrze zabrzmiało jak dzwon, następna salwa była już w drodze. Dowódca kompanii chwycił telefon i zaczął mówić łamiącym się głosem.

- Tu Hauptmann Schwan, 5. Kompania. Zapora ogniowa na naszej pozycji. Pociski z pięćdziesiątek dwójek padają przed moim bunkrem, przewiduję wielkie natarcie i proszę o wsparcie artyleryjskie.

Oberst Hinka odpowiedział ze swym zwykłym spokojem.

- To lekka przesada, mój drogi Schwan, nie trać głowy z powodu odrobiny ostrzału artyleryjskiego. Jeśli się pogorszy, przyślę wam baterię dział samobieżnych.

Schwan cisnął słuchawkę z przekleństwem, chwycił rewolwer, wsadził za cholewę nóż okopowy i pobiegł wzdłuż linii telefonicznej. W bunkrach ludzie czekali. Kiedy tamci przyjdą? Nikt nic nie mówi, wszyscy wyglądają przez strzelnice, trzymając broń w gotowości. Czekać... Czekać... To jest najokropniejsze pod ostrzałem na zniszczenie i potrafi złamać najsilniejszych. Mały gra na harmonijce, jak zawsze w takich chwilach, wielką stopą wybija rytm, ale nikt nie słyszy jego grania. Stary opiera się o mur, nerwowo paląc swą starą fajkę z przykrywką, Legionista gryzie zapalnik.

Wybuch, od którego pękają bębny! Cały bunkier się trzęsie. To celne trafienie. Koledzy wariują i biją głowami o mur.

Nagle ostrzał milknie. W jednej chwili! A tym razem to cisza staje się nie do wytrzymania, jest prawie bolesna. Stary skacze na nogi, chwyta granaty ręczne i swój pistolet maszynowy, rozpychając tych, którzy stoją jeszcze osłupiali od tego straszliwego ostrzału.

- 2. Drużyna, za mną!

W mgnieniu oka już leżymy w okopie, który nim nie jest, a przypomina pejzaż księżycowy. Przeorana ziemia to tylko kratery.

Są! Nadchodzą zwartymi falami, z wielkimi bagnietami trzymanymi poziomo przed sobą. Mur radzieckich żołnierzy, wrzeszczących za stalową bronią. Dla nas, siedzących w

zniszczonym okopie, to wizja piekła.

Rozlega się gwizdek kapitana Schwana. Wszystkie karabiny maszynowe trzeszczą równocześnie, Sybiracy padają jak szeregi kręgli, ale następni bez litości przechodzą po poszarpanych ciałach, skręcających się na śniegu. Rzucają trupy na druty kolczaste, używają ich jako kładek. Odór siarki ogarnia wszystko i pali płuca. Maski, maski! Porta strzela z karabinu maszynowego z regularnością mechanizmu, przesuwa serie z lewa na prawo, z prawa na lewo, na wysokości brzuchów. Leci na nas, obracając się, granat ręczny, chwytam go w powietrzu i odrzucam przed siebie. Ale karabin maszynowy ma trudności, nabój więźnie w zamku. Porta cofa zamek, wyrywa nabój bagnetem, bo specjalne narzędzia dawno temu zostały sprzedane jak wszystko inne. Cekaem wznawia ogień i nawet nie zauważam, że lufę ma rozpaloną.

- Uwaga, Porta. Zostało tylko 1500 strzałów.

Kładziemy przed nami stos granatów, ale Sybiracy już wdarli się do okopu, który oczyszczają, nadchodząc z prawej. Porta każe mi wziąć trójnog na ramię, a to wcale nie zabawne trzymać głowę poniżej lufy karabinu maszynowego. Wsuwam się pod trójnog i biegnę wzdłuż okopu, podczas gdy Porta kosi wszystko, co się przed nami pokazuje.

Jeszcze raz broń się zacina. Rzucam ją na ziemię i wsuwam bagnet do lufy; mam rosyjski karabin do walki wręcz, o wiele lepszy od naszych przestarzałych Mauserów wzór 98. Porta macha łopatką piechoty i ścina uderzeniem w kark Rosjanina, który wyrasta przed nami. Mały bije się jak dzika bestia, chwytając dwóch Sybiraków za szyje i zderza ich głowami tak długo, aż te pękają. To rzeź nie do opisanego, wszędzie krew, jęki, szaleńcze wrzaski, płacze - cały oblęd walki wręcz w zniszczonym okopie.

Po paru godzinach atak słabnie. Czemu? Nikt nie potrafi powiedzieć. Sybiracy cofają się do swoich linii. Wraca do nas spokój, ale ziemia niczyja jeszcze dymi i rozbrzmiewa rozdzierającymi wezwaniami o pomoc.

Zrywamy maski, łykamy śnieg, by uśmierzyć palące nas straszliwe pragnienie i rzucamy się skrajnie wyczerpani na dno okopu, który nie zasługuje na tę nazwę, między trupy, umierających, wrzeszczących rannych. Leżą wszędzie, ale co to nas obchodzi? Na wojnie myśli się tylko o sobie. Porta podaje mi manierkę i dwa narkotyzowane papierosy. Bogu niech będą dzięki, że je mamy, inaczej nikt by nie wytrzymał. Pojawia się Gregor i Legionista, skąpany we krwi.

- Kto cię tak poderżnął? - Pyta Porta. - Kąpałeś się u rzeźnika?

- To był jakiś kapitan, który się na mnie nadział. Co za gówno!

Nasza drużyna jest cała, ale Hauptmann Schwan znikł. W kilka godzin później zostaje

znaleziony w jakiejś dziurze z rozdartym brzuchem i poszarpanymi wnętrznościami. Okropność! Jest także kumpel Porty, Unteroffizier Franz Krupka z głową rozwaloną ciosem łopatką. Trzeba wszystkich pochować”, Rosjan i Niemców pomieszanych bezładnie, a na zasypanym grobie stawia się karabiny z hełmami zawieszonymi na lufach.

Pułk zostaje zmieniony w celu reorganizacji, sama nasza kompania straciła 68 ludzi. Ale mijając kuchnię polową widzimy nowego kucharza, na którego Porta patrzy ze zdumieniem.

- Hej, kolego! Gdzie się podział Unteroffizier Wilke?

- Dziś rano odleciał samolotem wraz z generałem Hube.

Porcie wypada z ust jego opiumowy papieros.

- Przecież to niemożliwe!

- Jest tak, jak ci powiedziałem. Nie nazywasz się przypadkiem Joseph Porta? Mam dla ciebie paczkę i pozdrowienia od Wilkego. Powiedział, że jesteś najlepszym kumplem na świecie!

Po raz pierwszy w życiu widzę Portę z rozdziawionymi ustami. Wracamy do naszego miejsca zakwaterowania, by spróbować zasnąć, ale Portę tak zdumiała wiadomość, że wrócił do kuchni polowej dla czystego sumienia, a przede wszystkim by poszukać prezentu od tego, który stanowczo uwierzył, że Porta uratował mu życie. Nowy kuchmistrz wiedział niewiele, zdaje się, że Wilke poszedł na lotnisko w Gumrak na podstawie rozkazu pułkowego, a Porta wrócił do koszar kręcąc głową, ale z cenną skrzynką wódki na ramieniu.

Po drodze natknął się na bardzo młodego Oberleutnanta, przybyłego do naszego piekła z kilkoma rezerwistami. Przez chwilę obaj spoglądali na siebie we wrogiej ciszy. Oberleutnant wyraźnie oczekiwał jakiejś reakcji od młodszego stopniem, a w niebieskich oczach Porty widać było tylko pobłażanie.

- Hej tam, starszy Unteroffizier, nie znacie rozkazów Führera?

Porta się wyprostował.

- Zawiadamiam Herr Oberleutnanta, że nasz dowódca kompanii nie wydał nam żadnych rozkazów od chwili, gdy Iwan obił nam mordę wczoraj wieczorem.

- Zwariowaliście, Unteroffizier? Obrażacie Führera!

Porta stuknął obcasami i dwukrotnie zsalutował.

- Herr Oberleutnant pozwoli mi powiedzieć, że nie umiałbym nikogo obrazić. Uważałem, że Herr Oberleutnant mówi o moim dowódcy kompanii. To on wydaje mi rozkazy i nikt inny.

Młodego Oberleutnanta zatkało.

- Jaka jest wasza funkcja w kompanii, Unteroffizier?
- Wszystkiego po trochu. W tej chwili jestem dowódcą 3. Drużyny.
- Niech Bóg chroni Niemcy! Co za wariat mianował was dowódcą drużyny?

- Herr Oberleutnant, nie zrobiło mi to żadnej przyjemności, ale rozkaz to rozkaz. Poza tym mówi się, że potrzeba więcej mózgu, by zostać starszym Unteroffizierem niż marszałkiem, a na podstawie doświadczeń wojennych uważam, że to prawda. My, podoficerowie jesteśmy kręgosłupem Armii, a oficerowie to tylko dodatek.

- Bezczelna świnia! - Zawył Oberleutnant. - Nasz Führer Adolf Hitler powiedział... Stań na baczność gdy mówię o Führerze!

- Herr Oberleutnant, proszę o pozwolenie zauważenia, że stosuję się do regulaminu najlepiej, jak potrafię.

Nowo przybyły wpadł w taką wściekłość, że nawet nie słuchał Porty, lecz poszukiwał w swej pamięci tego, co mówił i powtarzał członkom Hitlerjugend w czasie musztry.

- Żołnierzu! Krew powinna wrzeć ci w żyłach z dumy! To obowiązek każdego obywatela niemieckiego, mężczyzny i kobiety. Rozumiesz, świnio jedna? Ale poczekaj tylko, to ja obejmę dowództwo waszej kompanii i oczyszczę tę stajnię Augiasza. Wymagam porządku i dyscypliny. Każdy człowiek musi zostać zahartowany jak stal Kruppa! A teraz znikajcie mi z oczu!

Młody Oberleutnant odszedł, przeżywając smak swej zemsty, ale okazało się, że był to dla niego feralny dzień. Ze zszarpanymi nerwami znalazł się na swe nieszczęście na drodze Małego, który niósł wiadra wody do kuchni polowej i gdy się zderzyli, wstrząs rozchlapał wodę na błyszczące buty Oberleutnanta. Mały tego nie zauważył i zamierzał iść dalej swą drogą, gdy usłyszał za sobą grzmiący głos.

- Hej, dzikusie! Nie salutujecie oficerowi?

- Jeszcze jeden przysłany z tyłów, który wyobraża sobie, że wojnę wygrywa się salutując - powiedział sobie pełen litości olbrzym. - Ale w końcu mnie to nie dotyczy. Aby przeżyć, jak mawia Porta, trzeba usprawiedliwiać wszystkie ich głupoty. - I podążył swą drogą do kuchni.

- To do ciebie mówię, gorylu z wiadrami! - Ryknął trzęsący się ze złości Oberleutnant. - Gdzie ja tu jestem?

- Herr Oberleutnant - zatrąbił Mały - jest pan w 27. Pułku, 5. Kompanii, w Stalingradzie!

- I tu nie salutuje się oficerom Wielkich Niemiec? - Spytał, fioletowiejąc, Oberleutnant. - Wasz stopień, orangutanie?

- Starszy szeregowiec Creutzfeldt - odpowiedział regulaminowo olbrzym - ale dla kumpli Mały, niewątpliwie dlatego, że jestem taki duży.

- I nie salutujesz oficerom?

- Herr Oberleutnant, nie mogę zrobić dwóch rzeczy na raz: przynieść wody, aby panowie oficerowie dostali zupy, gdyż w Stalingradzie brak wody, a równocześnie wszystkim salutować!

- Wszystkim! Oto nieroztropne wyrażenie! Żołnierzu - oświadczył posiniały z wściekłości Oberleutnant, próbując spoglądać twardym wzrokiem w naiwne, błękitne oczy - zameldujecie się o 13.00 u mnie w stroju marszowym, a ja was nauczę jak się zachowywać w obecności oficera. Zrozumiano?

- Zawiadamiam Herr Oberleutnanta, że nie jest to możliwe. Herr Oberst rozkazał, bym był o niego o 12.30. Nie wiem, czy Herr Oberleutnant zna Obersta Hinkę, ale jest on ostatnim człowiekiem, któremu chciałbym sprawić przykrość. A Oberst jest wyższy stopniem, niż Oberleutnant, tak napisano w regulaminie.

- Bardzo dobrze. Wobec tego jutro o 8.00 przede mną i przejdzie ci ochota wyśmiewania się ze mnie.

- Dzień dobry, Oberleutnancie Pirch. Spokojny głos dał się słyszeć za plecami młodego, pijanego złością oficera. Po odbyciu czteroletniej służby instruktora na tyłach, młody Oberleutnant poprosił, by móc z bliska obejrzeć jak wyglądają ci nędzni Sowietci, więc wysłano go prosto na front w Stalingradzie.

- Miło mi, że uczy się pan jak wygląda 5. Kompania.

Oberleutnant zadrzał. Miał przed sobą Obersta z pustym jednym rękawem, dowódcę 27. Pułku Czołgów, Hinkę.

- Heil Hitler, Herr Oberst!

- W porządku, w porządku - odparł z uśmiechem Oberst. - Ty, Creutzfeldt, zmykaj. Z pewnością brakuje wody.

Mały głośno strzelił obcasami.

- Zum Befehl, Herr Oberst! Wody brakuje. Lecę!

- A więc ma się pan zająć 5. Kompanią, Oberleutnant Pirch? - Rzekł spoglądając chłodnym wzrokiem na młodego oficera. - Uprzedzam pana z góry: proszę nie zaszkodzić tej kompanii. Wskazówka dla pana: front to nie koszary. Tutaj nie trzyma się palców na szwie spodni, lecz na spuście karabinu. Mam nadzieję, że się jasno wyraziłem, zrozumiano, Oberleutnancie?

I odszedł nie czekając na odpowiedź.

- Co za banda! - Pomyślał Oberleutnant Pirch, który już przeklinał dzień, w którym w przystępie odwagi poprosił o wysłanie na front.

Związek arystokracji niemieckiej oświadcza za pośrednictwem swego przewodniczącego i Marszałka Szlachty, księcia von Bentheim und Tecklenburg, że zgadza się z Narodowym Socjalizmem i żąda najściślejszych dowodów aryjskości od swych członków od roku 1750.

19.01.1935

Czarny kabriolet Mercedes powoli przesuwiał się wzdłuż spokojnych willi dzielnicy Berlin Dahlem. Wóz zatrzymał się, kierowca w mundurze SS wyskoczył i otworzył drzwiczki przed Obergruppenführerem Reinhardem Heydrichem, który wysiadł i dobrze utrzymaną ścieżką podążył do domu.

Była to dwupiętrowa, biała willa, nieco cofnięta od ulicy. Kwiaty i drzewa owocowe pachniały przyjemnie. Heydrich obciągnął swój szary mundur i nie dzwoniąc pchnął furtkę.

Właściciel domu, admirał Canaris, szef wywiadu wojskowego, leżał wyciągnięty na wielkim szezlongu pośrodku trawnika i rozmawiał ze swą żoną, ładną szatynką o inteligentnym spojrzeniu.

- Mój Boże, czego on chce! - Mruknął zdumiony admirał na widok idącego przez ogród człowieka.

- Masz kłopoty z Heydrichem?

- Z Heydrichem ma się tylko kłopoty.

Pani Canaris podeszła, by powitać groźną osobistość, która grzecznie ucałowała podaną jej dłoń. Admirał, ogarnięty pewną nerwowością, wstał.

- Dzień dobry, Herr Obergruppenführer - powiedziała pani Canaris, wskazując krzesło. - Czy mogę poczęstować pana koniakiem?

- Dziękuję - powiedział Heydrich, przyjmując podany kieliszek.

Zapadło milczenie. Upał był przytłaczający, znak zbliżającej się burzy.

- Taka pogoda musi być dla pana męcząca - szepnęła pani Canaris.

- Całkiem brak mi czasu, by o tym pomyśleć, mam zbyt wiele pracy, a także zbyt wiele kłopotów. - Obergruppenführer spojrzał admirałowi w oczy. - Zdarzyło nam się coś w Düsseldorfie, sprawa diabelnie irytująca. - Odczekał chwilę, ale twarz admirała pozostała nieruchoma. - Moi ludzie mieli aresztować niejakiego hrabiego Osterburga...

Pani Canaris mimowolnie drgnęła i z ukosa rzuciła spojrzenie w stronę męża, który z opuszczonym wzrokiem bawił się kieliszkiem. Zbliżało się niebezpieczeństwo. Heydrich nie przyszedł tu z wizytą grzecznościową.

- I pańscy ludzie nie znaleźli hrabiego? - Rzekła z uśmiechem pani Canaris.

- Skąd pani o tym wie? - Spytał natychmiast niegrzecznym tonem Heydrich.

- Domyślam się - odparła pani Canaris z nerwowym śmiechem. - Właśnie opowiedział pan o jakiejś irytującej sprawie.

- Rzeczywiście, tak powiedziałem. - Odwrócił się do admirała. - Ale najbardziej mnie zaskoczyło, że ten hrabia Osterburg pojawił się w Rzymie. Widuje się go codziennie w towarzystwie niejakiego Angela Ritano i zdaje mi się, że ten Ritano należy do pańskiej służby, admirale, czy też się może mylę?

- To bardzo możliwe - odparł admirał Canaris nie podnosząc oczu. - Zarządę śledztwo, jeśli pan sobie tego życzy.

- Mogę sam to zrobić.

- To aż takie pilne?

Heydrich wstał i włożył rękawiczki.

- U mnie wszystko jest zawsze pilne - oświadczył. - Proszę mi wybaczyć tę krótką wizytę, mam ważne spotkanie z szefem Gestapo.

I odszedł równie cicho, jak przyszedł.

Rozdział 6

Ewakuacja Obersta Hinki

Pewnego ranka, przy morderczym mrozie, któremu towarzyszyła burza śnieżna, Porta i ja mieliśmy przetransportować ciężko rannego Obersta Hinkę na lotnisko w Gumraku. On jeden zdołał wydostać się ze swego płonącego czołgu.

Na lotnisku setki rannych czekały na ewakuację z piekła Stalingradu. Były tam trzy samoloty z obracającymi się śmigłami. Wśród zasypanych śniegiem noszy przechadzał się naczelnny lekarz, udzielając zezwoleń na transport i chwilę potem anulując je. Tak dwa razy zdarzyło się z Oberstem Hinką, ale Porta poczuł, jak ogarnia go wściekłość.

- Trzeba silnych środków, a ja ich użyję. Te kutasy jeszcze nie znają Josepha Porty. Mam kumpla z kontaktami wśród grubych ryb. Poczekajcie na mnie.

W kwadrans później wrócił w towarzystwie Feldwebela w mundurze pilota.

- Co do papierów, które ci dałem, nie ma oficera z gwiazdkami, który ośmieliłby się ich dotknąć - zapewnił lotnik. - Ale niech Bóg ma nad tobą litość, jeśli mnie sprzedasz! Odnajdę cię nawet w Finlandii! Pamiętaj, dla kogo pracuję!

- Nie zapomnę kolego, ale przestań grozić, to mnie denerwuje. Lepiej, abyśmy my dwaj pozostali przyjaciółmi, bo gdybym zaczął gadać, ty byś także miał się z pyszna, więc z nami kwita. Otrzymasz sałatę w godzinę po tym, jak nasz pułkownik będzie bezpieczny. Ale nie zapomnij o tym w dniu, w którym zostaniesz oficerem!

Wsadził tajemnicze papiery pod płaszcz Obersta Hinki i zmienił numer dywizji na inny, który mu przyczepił do nadgarstka. Naczelnny lekarz nadszedł wielkimi krokami, z grupką sanitariuszy za sobą.

- Powiedziałem wam, byście się zmyli! Znikajcie z tymi diabelskimi noszami i zanieście go do sali opatrunkowej!

- Herr Hauptstabsarzt - oświadczył stając na baczność Porta - nasz ranny Oberst ma zostać ewakuowany na rozkaz Armii.

- Tutaj to ja wydaję rozkazy! - Wybuchnął lekarz. - Sam Führer nie ma tu nic do gadania.

- Zum Befehl, Herr Hauptstabsarzt - odpowiedział spokojnie Porta, wyciągając z kieszeni notesik.

- Którą mamy godzinę? - Zapytał mnie.

- Jest 10.32.

- Co wy wyrabiacie? - Wrzasnął wściekły lekarz.

- Gdy wrócę z moim rannym Oberstem, muszę podać o której godzinie był sabotowany rozkaz Armii i przez kogo.

- Pokażcie mi ten rozkaz Armii!

Lekarz chwycił papiery i uspokoił się natychmiast. - No wsadźcie nosze do samolotu, ale strzeżcie się, jeśli mnie oszukaliście! Nigdy nie wybaczam.

Gdy nosze zostały wniesione do samolotu gotowego do startu, zapytałem z pewnym niepokojem:

- Co jeśli ten łajdak zasięgnie języka? To będzie kosztować głowę.

- Nie będzie o nic pytał, kretynie - odrzekł bez troski Porta - ale nawet wtedy coś się wymyśli.

Kiedyś opowiedziałem, że Heydrich jest wujem mojej matki. Trzeba było widzieć, jak wszyscy wokół mnie tańczyli! Dostałem benzynę dla całego pułku! Jeszcze nie pojąłeś, że u nas bardziej boją się szefów, niż Sybiraków?

W tym momencie ujrzeliśmy zadyszanego Oberstleutnanta, wymachującego jakimś papierem.

- Miejsce w samolocie! - Zawołał. - Oto rozkaz, wydany przez Sztab Główny Führera!

- Niestety, Herr Oberst - powiedział z uśmiechem pilot, mnąc w dłoni rozkaz wyjazdu.

- Te papiery zostały anulowane trzy dni temu, aby uniemożliwić dezercję ze strefy walki.

- Ja! Dezenter! Obrażacie niemieckiego oficera! Porta schylił się i podniósł upuszczony w śnieg papier.

- To prawda, Gustav - powiedział. - W ten sposób nie traktuje się Obersta. Jako starszy Unteroffizier służby czynnej mam obowiązek zawiadomić żandarmów i to natychmiast.

- Dobry pomysł - odrzekł z szerokim uśmiechem pilot. - Poszukaj więc psów gończych. Ciekawi mnie co powiedzą na rozkaz, pochodzący od Führera.

Oberstleutnant nagle bardzo się zaniepokoił. Uczepił się Porty i szepnął pilotowi, że da mu dwadzieścia tysięcy reichsmarek za miejsce w aparacie.

- Spierdalaj, śmieciu! - Warknął lotnik. - Śmierdzisz!

Porta chwycił Oberstleutnanta za kołnierz i dał mu takiego kopniaka, że tamten potoczył się w śnieg. Dokładnie w tej samej chwili pojawili się żandarmi.

- Żołnierzu! Koniec z tobą! Napadłeś na oficera!

- Bynajmniej, jeśli idzie o dezentera! zaproponował pilotowi dwadzieścia tysięcy marek za umieszczenie swej dupy w taksówce!

Oberstleutnant, który już się podniósł, otrząpywał śnieg ze swego długiego płaszcza.

- Aresztujcie tego człowieka! - Krzyknął, pokazując palcem Portę. - Napadł na niemieckiego oficera!

- Książeczki wojskowe! - Rozkazał jeden z psów gończych, wyciągając rewolwer. - I stańcie na baczność, gdy zwraca się do was officer. Zrozumiano?

Porta z niewzruszoną miną wyciągnął pognieciony papier i podał go żandarmowi.

- Najpierw aresztujcie tego tchórza w mundurze oficerskim. Miał dość tupetu, by twierdzić, że ten przeterminowany paperek pochodzi z kwatery głównej Führera!

Żandarm, do którego zwrócił się Porta, przebiegł spojrzeniem po wręczonym mu rozkazie.

- Herr Oberst, - oświadczył - z wielkim żalem muszę pana zatrzymać jako podejrzanego o dezercję i uprzedzam, że przy najmniejszej próbie ucieczki zrobię użytek z broni.

Officer, blady jak śmierć i gwałtownie protestujący, oddalił się z dwoma żandarmami po bokach.

- I na tym koniec! - Stwierdził Porta z gestem umywania rąk.

Pilot pomógł nam wciągnąć nosze z Hinką, którego owinęliśmy kocami, bo w samolocie też można było zamarznąć.

- Dostać miejsce tam w środku! - Szepnąłem. - Ze Stalingradu nie wydostaniemy się żywi.

- Trzeba chwytać okazje, gdy się nadarzają - odparł Porta wzruszając ramionami. - Przy odrobinie szczęścia i ruszając mózgiem może się z tego mimo wszystko wykręcimy.

Cały tłum rannych, kulejąc, a nawet pełzając krążył wokół samolotów. Żandarmi, niewrażliwi na krzyki i błagania, musieli odpychać tych nieszczęśników bijąc ich kolbami. Miejsce w samolocie oznaczało ocalenie życia. Ze wszystkich stron pojawiały się wychudłe postacie, Dziedziniec Cudów wśród śniegu. Chwytały się drzwi, kadłubów samolotów, nawet pilotów. Ale daremnie. Samoloty już były przeciążone, pełne zakrwawionych ludzi. Wyrzucono jeszcze skrzynki amunicji, opatrunków i radia, by móc przyjąć ciężko rannych. Między innymi młodego Oberleutnanta, który zamiast nóg miał tylko dwa szkarłatne kikuty.

Samolot wiozący Hinkę już toczył się po pasie startowym, a kumpel Porty żegnał nas szerokimi gestami; wyraźnie widać było jego wielkie, białe rękawice. Aparat zawrócił, ryknęły jego trzy silniki.

- Oby mógł wystartować! Ma dwa razy za ciężki ładunek.

Pilot dodał gazu, ciężki Ju 52 uniósł się z trudem, wznosząc chmurę śniegu, a jego koła prawie musnęły dach hangaru. Ale nabrał wysokości, położył się na skrzydło, przeleciał

nad nami po raz ostatni i znikł w chmurach.

- On nie ma radia ani nic w ogóle, jak da sobie radę?

- Przestań ciągle popierdywać! - Mruknął przez zęby Porta. - Gustav zna swoją robotę, doleci jak trzeba.

Teraz wystartował następny Ju. Właśnie miał oderwać się od ziemi, gdy stanął dęba i spadł do tyłu. Straszliwa eksplozja i wszystko znikło w morzu płomieni.

Trzeci z kolei samolot oderwał się od ziemi z szybkością pocisku armatniego. Wyszedł z pasa, zawrócił o 180 stopni i na pełnej szybkości poleciał w stronę płotu z drutów kolczastych, Spodziewaliśmy się katastrofy, ale tuż przed płotem samolot nabrawł wysokości, skręcił na zachód i na koniec znikł.

Amfibia, którą przyjechaliśmy tutaj, czekała na nas, by ją zabrać w drogę powrotną. Ale ku naszemu wielkiemu zdziwieniu leżała koło niej kupa czegoś szarego, na zrudziałym śniegu. Był to Oberstleutnant od 20 tysięcy marek.

- Kurwa mać! - Wykrzyknął Porta. - Sąd wojenny jest w Stalingradzie bardzo szybki! Ten tutaj wy dostał się z piekła, ale nie w taki sposób, jak chciał! Oczywiście jest, że łatwo być oficerem w czasie pokoju, ale w czasie wojny nie ma nic skuteczniejszego, by wpaść w gówno.

- Zastanawiam się, ilu rozstrzelano tutaj, w tej strefie?

- Z pewnością wielu. Feldwebel strzelców alpejskich powiedział mi, że sama jego kompania zlikwidowała 850 takich, którzy się do niczego nie nadawali. Ilu ich załatwiły sądy wojenne, nie dowiemy się nigdy, to najściślej tajne.

Pojechaliśmy ulicą Litwinowa, by skrótem dostać się na Plac Czerwony, gdzie w piwnicy mieścił się prowizoryczny szpital. Wydano nam rozkaz przywiezienia do pułku skrzyni opatrunków. Powitał nas straszliwy odór krwi, ekskrementów i zgnilizny. Rannych z trudem można było zauważyć w półmroku, rozjaśnianym tylko przez słabo świecące ogarki. Potknąłem się o czyjeś zwłoki i przewróciłem na nieszczęśnika, który zawył z bólu.

- Chyba nie widzisz, że nie ma tu miejsca! - Wrzasnął jakiś ranny Feldwebel. - Spierdalajcie obaj!

- Jesteście ranni? - Spytał przez maskę jeden z lekarzy.

- Nie - odpowiadam, wręczając mu rozkaz od pułku - przyjechaliśmy po opatrunki.

- Czwarte drzwi na prawo, ale nie zapomnijcie stanąć na baczność. Tu się nie żartuje.

Sanitatshauptfeldwebel, przeczytawszy nasze zapotrzebowanie, przyjrzał się nam z dziwną miną.

- Opatrunki? Jeśli chcecie, dam wam gazety, tylko tego od czterech dni używamy. I

jeszcze morfina? Czemu nie sala operacyjna z dwutlenkiem węgla i wszystkim innym? - Powiedział, podnosząc coraz bardziej głos. - Jak myślicie, kutasy jedne, gdzie się znajdujecie? Jeszcze nie wiecie, że jesteście w Stalingradzie? Popatrzcie tylko na tych dwóch idiotów! Przyszli zawracać mi głowę, gdy mam tyle roboty! Zapotrzebowanie? Wzięli mnie za świętego Mikołaja?

Z wściekłością rozdarł zapotrzebowanie i dał każdemu z nas połowę. - Zeżryjcie je sobie i wbijcie sobie do głów: tu w Stalingradzie nie ma nici i go już nie otrzymamy! Wykreślono nas z Armii, już nie istniejemy! I idźcie się podetrzeć waszym zapotrzebowaniem!

Wyrzuceni ze „szpitala”, zostaliśmy zatrzymani za miastem przez majora w białym kozuchu i z karabinem przewieszonym przez pierś.

- Dokąd idziecie? - Zawołał Oberleutnant z pyskiem buldoga.

- Herr Oberleutnant, wracamy do naszego pułku po odtransportowaniu do Gumrak naszego rannego Obersta.

- Książeczki wojskowe! - Rozkazał. - Dobrze. Teraz zostajecie tutaj. Wepchnijcie wasz wóz tam pod drzewa, dostaniecie granaty ręczne i staniecie tutaj, na drodze, z nami wszystkimi.

Dano nam granaty ręczne i włączono do drużyny, oddając pod rozkazy Feltwebla żandarmerii z jeszcze gorszym pyskiem.

- Co tu się robi? - Zapytałem cichutko jakiegoś artylerzystę.

- Ślepy jesteś? Nie widzisz, że jesteśmy oddziałem dyspozycyjnym sądu wojennego? Popatrz tylko do rowu za tobą, a to jest robota za ledwie tego ranka. Jestem w tej parszywej jednostce dopiero od dwóch dni. Chcecie dobrej rady? Dajcie nogę przy pierwszej okazji.

W tym momencie pojawił się batalion strzelców alpejskich. Wspaniale wyposażony, miał wszystko, nawet dwie wielkie ciężarówki-cysterny.

- Dokąd idziecie? - Spytał major w białym kozuchu.

- Mamy rozkaz stawienia się w zakolu Donu - odparł z ważną miną Oberleutnant.

- Rozkaz anulowany. Zajmiecie pozycję tutaj, miejsce wam zostanie wskazane.

- Niestety, drogi kolego - odparł z widoczną pogardą oficer strzelców. - Mam rozkaz zajęcia pozycji w zakolu Donu i wykonuję rozkazy.

Major wyciągnął rewolwer i wycelował w Oberleutnanta.

- Pozycję zajmiecie tutaj, albo każę pana powiesić jako dezertera. Ja podlegam rozkazom Naczelnego Dowództwa.

Oberleutnant zbladł, utracił swą arogancję i powoli wysiadł ze swej tankietki.

- Helmer, pokaż Oberleutnantowi miejsce, gdzie ma się okopać - rzucił pogardliwie major.

- Kolego - wybełkotał Oberleutnant - trzeba zrozumieć...

- Doskonale rozumiem. Zakopcie się, zanim was zmiażdży któryś T 34. Zakole Donu nigdzie nie prowadzi.

Przez sześć godzin pozostawaliśmy na miejscu, zatrzymując rzekę uciekinierów ze wszystkich rodzajów broni. Każdy z nich miał tylko jedną myśl: uciec z kotła stalingradzkiego, daleko od nacierających T 34 i od piechoty syberyjskiej. Niektórzy, gdy ich się zatrzymuje, grożą wszelkimi rodzajami zemsty, wrzeszczą, że mają „specjalne zadanie”. Inni uciekają się do błagań, ale żandarmeria nie ma litości. Papiery, rozkazy są bezużyteczne, a jeśli się zanadto rozrabia, oznacza to pluton egzekucyjny...

Po pewnym czasie Porta i ja zdołaliśmy wydostać się z pazurów majora, nie dzięki jego szczególnej łasce, ale z powodu umiejętności przewidywania Porty, który zaopatrzył się w rozkazy z pieczętką Naczelnego Dowódcy. Ten podpis spowodował, że ugięły się nawet najbardziej krwiożercze z psów gończych.

Porta gwizdał sobie beztrąsko, podczas gdy amfibia wesoło toczyła się po szosie do Kuperossnoje. Mróz był trzaskający. Drzemałem, naciągnawszy płaszcz na głowę, gdy wjechaliśmy w burzę śnieżną. Dwukrotnie samochód zakopał się w śniegu i trzeba go było uwalniać łopatą. Na drodze nikogo, ani żywej duszy, a miejscami zasy były tak wysokie, że sięgały wyżej słupów telegraficznych.

Dość daleko od Kuperossnoje musieliśmy wyminąć kolumny kawalerii, której rżące konie z wielkim trudem posuwały się po gołoledzi.

- Skąd mogą iść te szkapy? - Zapytał bardzo zdziwiony Porta. - Ślinka mi leci na widok tylu żywych befsztyków; uwielbiam koninę.

Z koni buchały kłęby pary, pachniało mokrą skórą. Nagle dwa konie stanęły dęba zagradzając drogę i pojawił się truchtem oficer, wrzeszcząc coś niezrozumiałego. Za kawalerią nadjechały haubice, ich krótkie lufy wycelowane były w mknące chmury śniegowe. Następne były kolumny saperów ze spychaczami i koparkami. Wszystko to kierowało się w stronę, z której przybyliśmy.

- To niemożliwe! - Zawołał Porta. - Przysyłają nam posiłki. Widziałeś to wyposażenie? Nowiutkie! Można by pomyśleć, że to Rumuni.

Przez dwie godziny musieliśmy jechać wzdłuż tych ogromnych kolumn, co najmniej pełnej dywizji, a Porta wesoło machał ręką do strzelców-narciarzy, których pojazdy jeżyły się od nart.

Nagle zahamował tak ostro, że samochód poślizgiem na oblodzonej drodze zawrócił o 180 stopni.

- Nie zwariowałeś? - Krzyknąłem, chwytając się tablicy przyrządów.

Na środku drogi stał oficer, trzymając tablicę STOP. Porta zgiął się nad kierownicą i samochód pomknął w kierunku przeciwnym.

- To Rosjanie! - Wrzasnął Porta.

- *Słój! Słój!* - Rozległy się krzyki, za nami gruchnęły strzały. Porta kierował jak szalony, robiąc slalom między drzewami wzdłuż wąskiej, leśnej drogi. W końcu zatrzymał się, ze skrzynki narzędziowej wyciągnął dwie futrzane rosyjskie czapki i odezwał się ciężko dysząc.

- Lepiej ukryć hitlerowskie uczesanie. Mieliśmy szczęście, że zauważyłem tego ruskiego oficera, inaczej byłoby to nasze ostatnie pierdnięcie!

- Uciekajmy! - Powiedziałem, oglądając się z przerażeniem do tyłu.

Powiesiliśmy sobie na piersiach rosyjskie pepesze, podnieśli kołnierze, futrzane czapki z czerwonymi gwiazdami nasunęliśmy na czoło. Prawdziwi rosyjscy żołnierze, ale podczas jazdy przez las granaty w zasięgu ręki. Wkrótce potem odnaleźliśmy szosę, ciągle pełną maszerujących kolumn. Porta skręcił w poprzeczną drogę i nagle silnik zakaszłał, a potem zatrzymał się o kilka metrów od szosy.

Łobuz spokojnie wysiadł i w najbardziej naturalny sposób podniósł maskę silnika. Drogą jechała ze śpiewem na ustach kozacka dywizja. Niezwykle romantyczni są ci śpiewający kozacy i te rżące konie, ale w tamtej chwili ów romantyzm przejmował mnie lodowatym przerażeniem. Z dłonią na rewolwerze patrzyłem, jak Porta wyciera świecę, bada gaźnik i zapłon w czasie, gdy ja odrywałem trupa główkę z klapy mej kurtki i deptałem ją. Te kawałki blaszki były przyczyną śmierci wielu żołnierzy broni pancernej. Zawsze brano nas za esesmanów z dywizji „Totenkopf” Eickego.

- Boisz się Iwana? - Zapytał szyderczo Porta. - Oderwanie tego szpeja nic nie pomoże. Jeśli wpadniemy do niewoli, zlikwidują nas z powodu naszych ruskich czapek i peemów. A jeśli się nie mylę, twój bagnet jest zębaty. Za to rozstrzeliwano żołnierzy już podczas pierwszej wojny światowej. Tylko podstępem możemy się z tego wydostać, a nie jesteśmy głupszy, niż te skośnookie dzikusy.

Z podszycia lasu wynurzył się brygadier artylerii i podszedł do nas.

- *Zdrawstwujcie.*

- *Zdrawstwujcie* - odpowiedzieliśmy pospiesznie.

Z wyrazem zainteresowania obszedł w kółko nasz pojazd.

- *Hitler maszyna* - stwierdził z szerokim uśmiechem, równocześnie kopiąc w przednie koło.

- *Da.*

- *Choroszaja?*

- *Da.*

Brygadier wybuchnął śmiechem i dał kuksańca Porcie, schylając się nad silnikiem. Porta stuknął go po palcach trzymanym w dłoni kluczem, by mu przeszkodzić w zdemontowaniu dekla.

- *Żalowka* - powiedział Rosjanin, wycierając umazane olejem palce w swój długi, artyleryjski płaszcz.

Gada jak sroka, a my mu odpowiadamy na chybił-trafił *da* albo *niet*. Porta częstuje go narkotycznym papierosem, na co tamten aż podskakuje z radości. Skąd je dostaliśmy?

- *Iz Jenisiejska* - odpowiada Porta nie zastanawiając się, gdzie znajduje się to miasto.

- Ja jestem z Czyty - wyjaśnia brygadier i nienawidzę Moskali. Po rosyjsku mówią jak świnię. Was, ludzi z *Jenisiejka*, trudno zrozumieć, ale dzielni z was ludzie, nie tacy zarozumiałcy jak oni. Powinno się było wszystkich ich powybijać podczas rewolucji.

Porcie udało się wreszcie uruchomić brykę. Odetchnąłem z ulgą. Ale co za nieszczęście! Nie zrobiliśmy nawet 10 metrów, gdy ugrzęzła w zaspie.

- W porze śniegów lepiej poruszać się na koniu! - Zażartował brygadier.

Wszyscy trzej, zapierając się nogami i popychając amfibię barkami, nie daliśmy rady, do tego stopnia szosa zmieniła się w lodowisko.

- Zaczekajcie! - Zawołał brygadier, znikając wśród drzew.

- Czego on jeszcze chce? - Spytałem, skrajnie zdenerwowany.

- Poszukać koleśków do pomocy - stwierdził ironicznym tonem Porta. - Ruscy zawsze uchodzą za tak przyjacielskich, że bardziej się nie da.

- Zostawmy tu ten wóz i weźmy nogi za pas!

- Trochę spokojniej, do kurwy nędzy! Bierz karabin maszynowy, a jeśli tamci będą robić jakieś kawały, to ich skosisz. Przecież on nie wróci z całą Armią Czerwoną!

- Zrozumiałeś wszystko co opowiadał?

- Oczywiście nie. Nas on też nie rozumiał, ale co w tym dziwnego? Rosja jest ogromna. Jest tu wiele dialektów, a małe republiki nienawidzą się wzajemnie. Mieliśmy szczęście nie powiedziawszy, że jesteśmy z Czyty! Byłem gotów to właśnie mu powiedzieć.

- Gdzie jest Jenisiejek?

- Nie mam najbliższego pojęcia, ale ten komisarz, któregośmy niedawno rozwalili, był

stamtąd, wobec tego to jest w Rosji.

Brygadier wrócił z trzema ludźmi.

- *Dawaj! Dawaj!* - Krzyczał z zapalem.

W mgnieniu oka wóz wydostał się z zasy.

- *Do swidanija!* - Wołali chórem, my zaś uciekaliśmy w milczeniu.

Jeszcze jedna kolumna rosyjskich piechurów, a po tym dano nam znak, byśmy zjechali na pobocze, aby przepuścić samochód sztabowy. Na skrzyżowaniu jakiś generał-lejtnant obserwował przechodzące przed nim oddziały.

- Pójdźmy dalej piechotą - zaproponowałem bardzo zdenerwowany. - Nie zwróć na nas uwagi. Bo jeśli nie, to przeczuwam, że wdamy się w awanturę.

- Przestań opowiadać pierdoły. Kto uwierzy, że dwaj niemieccy bohaterowie zwariowali do tego stopnia, że odbywają sobie wycieczkę Volkswagenem w samym środku linii nieprzyjacielskich? Biorą nas za dwóch Ruskich, którzy ukradli saneczki Hitlerowi.

Pojechaliśmy wąwozem Boliowa, próbując umknąć z głównej szosy małą, poprzeczną drogą, ale żandarmi wściekłymi gestami kazali nam wracać na miejsce. Nie dało się zrobić nic innego, jak kontynuować jazdę.

Na Wołdze zobaczyliśmy dwa wielkie, przewrócone promy. W końcu udało nam się wskoczyć na poprzeczną drogę, w akompaniamencie ochrypłych krzyków mnóstwa żołnierzy.

- Co oni tam pyskują? - Spytałem przerażony.

- Abyśmy uważali. Ona, wyobraź sobie, prowadzi do Niemców.

Porta z ulgą zdjął rosyjską czapkę i rzucił ją na podłogę samochodu.

- Lepiej będzie zmienić pokrywkę!

W końcu zatrzymała nas niemiecka zapora drogowa. Zdumieni kanonierzy pytali nas, skąd żeśmy się wzięli, a nasze wyjaśnienia tak mało były dla nich przekonujące, że zaprowadzili nas do dowódcy kompanii. Potrzeba było dwóch godzin gadaniny, by na koniec dostać zezwolenie dołączenia do naszego pułku.

Przybywszy tam ujrzeliśmy, że wszędzie panuje panika. Krążyły najstraszniejsze wiadomości. Opowiadano, że Rosjanie w wielu miejscach przełamali front.

Zdobądźmy władzę. Nigdy jej nie oddamy, bez względu na to, jakich środków trzeba będzie użyć dla jej zachowania.

*Joseph Goebbels, Minister Propagandy
do Ernesta Thaelmanna, 03.01.1932*

Dwóch jeźdźców szybko klusowało alejami Tiergartenu, który o tej porze był bezludny. Nie wybiła jeszcze szósta rano. Byli to: Obergruppenführer Heydrich i Admiral Canaris.

- Pomysł, by wsadzić paru więźniów w polskie mundury i zorganizować zamach na radiostację w Gliwicach jest znakomity - powiedział Heydrich. - Da nam to bardzo dobry powód do zaatakowania Polski.

- Tak, słyszałem, że o tym się mówi - odparł Canaris z kamienną twarzą. - Ale jestem przeciwnego zdania, i nie sądzę, by udało się zachować w tajemnicy tak obrzydliwy podstęp.

- Och, proszę się nie obawiać! Żaden z więźniów nie przeżyje operacji! - Zachichotał Heydrich.

- Przecież obiecano wolność tym, którzy wyjdą z tego cało, bo wszyscy są ochotnikami.

- Bardzo możliwe, ale nie da się dotrzymać tej obietnicy. Zresztą wie pan o tym więcej niż ja, Admirale. Wedle tego co nam powiedział jeden z naszych bliskich współpracowników z 2. Oddziału, pomysł pochodzi od pańskiej służby. Wobec tego to pan będzie realizował tę niemiłą sprawę. - Spojrzał triumfalnie na małego, pochmurnego admirała.

Admirał wstrzymał konia do stępa, poklepał go po szyi i powoli odwrócił się do groźnego szefa RSHA.

- Nie, Obergruppenführerze, moja służba nie zajmowała się tą sprawą.

Heydrich zmienił front. Słysząc było, jak coś ostrego puka w pień drzewa. Hitlerowiec postukał się szpicrutą po butach i przyjrzał się swemu towarzyszowi wzrokiem drapieżnego ptaka.

- A można wiedzieć czemu? Fuhrer pochwalił ten pomysł.

- Oczywiście. Dlatego, że nie pochodził ode mnie - odpowiedział sucho admirał. - Został właśnie podrzucony jednej z moich służb bez mojej wiedzy.

- Ale mimo wszystko będzie to pana dotyczyło - rzekł ironicznie Heydrich. - Jest pan odpowiedzialny za to, co wymyślą pańscy podwładni. Nawet wczoraj rozmawiałem o tym z Reichsführerem i Reichsmarschallem i obaj się ze mną zgodzili. Ta sprawa dotyczy wyłącznie pana.

Canaris powoli zapalił papierosa, obserwując cynicznego szefa bezpieczeństwa Rzeszy.

- *Może pan na tym położyć krzyżyk, panie Heydrich. Niech pan poważnie weźmie pod uwagę, że od dawna obawiałem się, iż może mi zostać przypisane to działanie. Niech pan sobie wyobrazi, że ja też jestem dobrze poinformowany i dlatego, bardzo niedawno, miałem szczerą rozmowę z Führerem, który przyznał mi całkowicie rację. Ta metoda, bardzo... Niemila, nie dotyczy w żadnym stopniu kontrwywiadu wojskowego i wywołałaby oburzenie całej Armii. Führer zgodził się ze mną w zupełności. Ta sprawa dotyczy tylko RSHA, to znaczy pana, Obergruppenführer.*

Przez pewien czas klusowali w milczeniu, po czym Heydrich pochylił się w stronę Admirala.

- *Admirale Canaris, jest pan chytrym lisem. Podziwiam pana, słowo daję! Lecz niech nie będzie pan tak pewny siebie. Zdarza się, że nawet lisa można upolować.*

I oddalił się galopem w stronę czarnego mercedesa, który czekał na niego w jednej z alejek.

Rozdział 7

Latający sąd wojenny

Pewnej nocy samolot Heinkel 111 wylądował na polu koło Stalingradu i nikt w 6. Armii nie miał wątpliwości, jaki pasażer został przywieziony.

Lądowanie było nie mniej tajne. Asystowało przy nim tylko kilku wyższych oficerów pułku spadochroniarzy MATUK. Aparat, natychmiast zamaskowany, był niemal niewidoczny na tym miejscu, a otaczający go spadochroniarze otrzymali rozkaz strzelania do każdego, kto się zbliży.

Pierwszy wysiadający pasażer był osobnikiem wysokim i chudym. Teodor Eicke, najwyższy komendant obozów koncentracyjnych, był też dowódcą 3. Dywizji Pancерnej „Totenkopf”. Bezcelność i brutalność tej osobistości drażniła wszystkich, aż do samego Führera do tego stopnia, że esesmanom z dywizji „Totenkopf” nie udzielano urlopów przez cały okres wojny. Tuż za Eickem ukazała się drużyna SS, specjalistów od likwidacji. Eicke i jego zbiry wsiedli na sanie motorowe pułku spadochroniarzy. Stały kierowca san został zmuszony do ustąpienia miejsca Oberscharführerowi Henzelowi, „Mordercy”, jak go nazywano w Dachau.

W chmurze dymu sanie ze swymi złowrogimi pasażerami pomknęły do Stalingradu, by złożyć wizytę sztabowi Armii w piwnicy, niegdyś należącej do NKWD. Litera WL - Wehrmacht Luftwaffe - na pojeździe zastąpiono symbolem SS. Eicke niczego nie robił połowicznie. Mogli o tym zaświadczyć więźniowie Dachau, od kanclerza austriackiego Kurta von Schuschnigga, znajdującego się w bunkrze dla „specjalnych”, aż do ostatniego z Żydów, wyciągniętego z berlińskiej dzielnicy nędzy.

Nieoczekiwana wizyta Eickego wywołała panikę w sztabie głównym 6. Armii. Jej dowódca, generał Paulus, który zajmował gabinet dawnego strażnika więziennego NKWD, podniósł się zaniepokojony, ale uprzejmie wyciągnął dłoń do Eickego, stojącego na rozstawionych nogach w drzwiach pokoju. Eicke zignorował wyciągniętą rękę i wyniośle spojrzął na głównodowodzącego generała, okrytego dwoma płaszczami bez pasów. Nazista był regulaminowo ubrany w nieprzemakalną pelerynę z czarnej skóry na dobrze skrojonym, szarym płaszczu.

- Kim u diabła pan jesteś? - Zapytał pogardliwie Eicke, zapalając długie cygaro.
- Generał armii Paulus. Z kim mam zaszczyt rozmawiać?
- Zaszczyc! Zaiste tak jest - zachichotał Eicke.

- Generale, jestem Obergruppenführer SS Teodor Eicke, przybyły tutaj jako reprezentant Führera, by zobaczyć co pan tu kombinuje. Prowadzi pan wojnę czy jest pan na zimowych wakacjach?

Generał Paulus, człowiek o delikatnych dłoniach chirurga, o nienagannyh manierach, nie wierzył własnym uszom.

- Gdy pana ujrzałem, generale, wydawało mi się że widzę bolszewickiego jeńca, grzejącego swe stare kości pod niemiecką kapotą! Zupełnie pan nie wygląda na żołnierza Rzeszy! Co pan tu zrobił z dyscypliny? Ze smutkiem będę musiał zameldować Fuhrerowi, że wyrzekł się pan zwyciężania.

- Nie przyjmuję do wiadomości tego tonu! - Wybuchł Paulus, któremu zatrzęsły się dłonie.

Nie był człowiekiem wojowniczym jak generał Schmidt, szef sztabu 6. Armii. Ten był oficerem w żadnej mierze niepodobnym do generała Paulusa, twardym i pewnym siebie.

- Gruppenführerze SS, narusza pan dyscyplinę! Złożę skargę!

- Skarżyć się każdy ma prawo - zarzął Eicke - ale do kogo? Jeśli do Führera, należy poskarżyć się mnie, reprezentuję go w Stalingradzie.

Wyciągnął z kieszeni dokument, który ze złym uśmiechem rzucił na stół. Było to nieograniczone pełnomocnictwo, podpisane: Adolf Hitler, udzielające Teodorowi Eickemu wszelkiej władzy dla powoływania sądów wojennych w kotle stalingradzkim.

- Co pragnie wiedzieć Führer? - Spytał Paulus tonem suchym, przez który jednak przebijał niepokój. - Otrzymuje moje meldunki telegraficzne o wszystkim, co się tu dzieje. Zaproponowałem mu przebicie się wszystkimi siłami jakimi dysponujemy. Generał Schmidt opracował doskonały plan, oczekujemy tylko na upoważnienie od Führera, by móc jeszcze ocalić ponad połowę 6. Armii.

Eicke, który nienawidził Armii i całego korpusu oficerskiego cieszył się w duchu jawnym przerażeniem, jakie wywoływał.

- Führer pragnie, abyście zwyciężyli i to wszystko. Dano panu na to dość czasu, daję słowo! Gdyby była tutaj moja dywizja, cała ta sprawa byłaby dawno zakończona! Nie ma mowy o przebijaniu się, to są tylko słowa kamuflujące porażkę. Nie ucieka się przed radzieckimi małpoludami, niszczy się je. Führer pragnie, aby pan zlikwidował te hordy tu, na brzegu Wołgi. Jak? To pańska sprawa, po to pana mianowano Generałem Armii.

- Ma pan jakąś propozycję? - Spytał Schmidt, patrząc z obrzydzeniem na ohydneho osobnika.

- Najdokładniej: wypędźcie bolszewików z Europy. 6. Armia składa się z 25 czynnych

dywizji, czyli 600 000 ludzi i 800 czołgów, czego więcej u diabła chcecie? Z taką potęgą można wygrać pięć wojen światowych! Oczywiście jeśli się chce.

Generał Huber, którego jeden rękaw zwisał pusty, podniósł się z wściekłością.

- Wypraszam sobie pańską bezczelność! Nie znajduje się pan tutaj w obozie koncentracyjnym, lecz w obliczu generałów!

Esesman uśmiechnął się z wysokości swoich dwóch metrów. Powoli wydmuchnął dym cygara w twarz słynnego, jednorękiego generała piechoty.

- Może jest pan generałem Huberem? Oto co przekazuje panu generał Burgdorf, szef działu personalnego Armii.

Generał Huber zbladł. Eicke podał mu rozkaz udania się do kwatery głównej Führera, kryjówki w Prusach Wschodnich. Co to miało znaczyć? Odbierano mu dowództwo 16. Dywizji Pancerniej. Czy oznaczało to egzekucję, unicestwienie całej rodziny, czy wręcz przeciwnie, awans? W niepewności spojrzał na triumfującego esesmana i ciężko usiadł na miejscu, już nie biorąc dalej udziału w rozmowie. Zresztą po co popierać obecnych tu generałów? 6. Armia miała już tylko generałów martwych, nawet jeśli niektórzy jeszcze oddychali. Rzeczywistość była po stronie tego nazisty z białymi klapami kurtki mundurowej, z nieograniczonym pełnomocnictwem od Führera w kieszeni.

Generał Paulus zamilkł. Był człowiekiem, który pragnął tylko jednego: mieć dobre stosunki ze wszystkimi; uwielbiał swe książki, swych klasycznych autorów: Schopenhauera, Kanta; a jeszcze bardziej swego psa. Eicke wobec tego bez trudności udał się do miejscowości Caryca, do 71. Dywizji, której dowódca, generał Alexander von Hartmann, został już o tym uprzedzony. Znali się z Eickem jeszcze od czasów pierwszej wojny światowej. Von Hartmann był wówczas dowódcą kompanii, zaś Eicke kasjerem. Właśnie Hartmann wykrył jego pierwsze oszustwo i wysłał go na rozminowywanie do Szampanii, czego Eicke nigdy mu nie zapomniał.

- No i co, zmęczeni bohaterowie! - Wrzasnął Eicke, wchodząc hałaśliwie do bunkra sztabowego. - Wygląda, że trudno jest postarać się o zwycięstwo?

Von Hartmann nawet nie drgnął.

- Ach, znamy się od bardzo dawna - odezwał się uprzejmie Eicke. - Nie zapomniałem losu, jaki niegdyś pan mi zgotował. - Nagłym ruchem wziął pod pachę swą laseczkę z masywnego złota z trupa główką, prezent od Führera i rozpiął płaszcz na piersiach, ozdobionych tęczą odznaczeń. - Fuhrer przysłał mnie tutaj bym zobaczył co wy kombinujecie. Tymi niedorozwiniętymi Ruskimi nie zamierzam się jednak zajmować, chcę dokonać inspekcji pańskiej dywizji, generale von Hartmann.

Ucieszony z pozbycia się natręta von Hartmann posłał go do 191. Pułku, który był pod rozkazami Hauptmanna Weinkopfa. Eicke zażądał objazdu w saniach motorowych, ale oficer ordynansowy, Oberleutnant piechoty, stanowczo mu tego odradził.

- Czyżby się pan bał, Oberleutnancie? - Spytał ironicznie nazista, wskakując do sań.

Oberleutnant wzruszył ramionami. Jeśli Eicke był zmęczony istnieniem, to jego sprawa; natomiast on sam od dawna nie miał już nadziei, że wyjdzie żywy z tego piekła. Będzie to jutro czy pojutrze, i co z tego? Cała jego rodzina była pogrzebana pod ruinami Kolonii, miał tylko swój wojskowy ekwipunek, a w dodatku i to nie było jego własnością, lecz Hitlera.

Sanie nie przejechały nawet kilku metrów, gdy wokół nich zaczęły się podnosić bryzgi śniegu.

- Rosyjskie granaty - oświadczył z uśmiechem Oberleutnant. - Wkrótce otworzy ogień artyleria polowa.

Ledwie skończył mówić, gdy powietrze zaczęło gwizdać i ryczeć. Eicke zadrzał i zapiął swą pelerynę by ukryć białe klapy munduru, które zdawały się przyciągać pociski.

- Co za zimno! - Mruknął, by dodać sobie pewności siebie.

- Dziś nie tak duże - stwierdził Oberleutnant. - Rano słyhać było nawet gile, a one przylatują tylko przy łagodnej pogodzie. Widzi pan ten wąwóz, tam koło pagórków? - Kontynuował. - No więc uprzedzam pana, że kiedy się wyjeżdża, Iwan ma zwyczaj pozdrawiać nas z Organów Stalina.

- Proszę kontynuować - powiedział spocony Eicke.

Ledwie wyjechali z wąwozu, wyglądało jakby niebo miało się na nich zawalić. Dziesięć wyrzutni zagrzmiało równocześnie. Eicke wyskoczył z sań i rzucił się na ziemię. Oberleutnant wysiadł ostatni i zaczął przyglądać się rozciągniętemu na śniegu esesmanowi.

- Czy oni zawsze tak strzelają? - Spytał Eicke z zawstydzonym uśmiechem.

- Och, dziś, to nic szczególnego. Niedawno oszaleli: zmiażdżyli cały batalion w ciągu dwóch minut. To było tego dnia, gdy Hauptmann objął 14. Pułk.

- Hauptmann dowódcą pułku!

- To był oficer najwyższy stopniem - odrzekł spokojnie Oberleutnant. - Organy załatwiły wszystkich innych.

Poszli dalej pieszo w milczeniu. Znalezione Hauptmanna, który grał w karty z paru żołnierzami pod trzema płaszczami spiętymi razem i rozwieszonymi na rosyjskich karabinach. Jako stół służyły kanistry benzyny.

- Przybyłem na inspekcję pańskiego pułku jako przedstawiciel Führera - oświadczył

szorstko Eicke, daremnie oczekując, by Hauptmann mu zsalutował.

- Bardzo proszę - odparł oficer. - Ludzie są tam w dziurach, ale proszę uważać, panie Obergruppenführerze SS, moi chłopcy są zdenerwowani. Strzelają do wszystkiego, co się rusza.

- Może pan sobie wsadzić tego „pana” tam, gdzie myślę! - Wrzasnął Eicke. - Tego rodzaju burżuazyjne wyrażenie zniesiliśmy w SS, proszę to sobie zapamiętać!

- Bardzo możliwe - odparł obojętnie Hauptmann. - Nic mi nie wiadomo o SS. Jestem w Armii.

- Tak! I mając zwycięstwo w garści tylko gra się w karty! A ty - zapytał jednego z żołnierzy - co robisz w pułku?

- Rozwalam czołgi - warknął żołnierz, nie wspominając, że zaledwie wczoraj zniszczył tuzin T 34 granatami ręcznymi i minami.

Miał zaledwie dziewiętnaście lat, lecz był ekspertem walki z czołgami. Nie nauczono go niczego innego, więc nie znajdzie zatrudnienia w czasie pokoju.

- Powtarzam, proszę się strzec strzelców wyborowych, Gruppenführerze! - Zawołał złośliwie Hauptmann, widząc, że Eicke oddała się w otoczeniu swych zbirów. - Zabijają każdego, kto się pokaże. Wczoraj był to pewien Major.

Eicke na czworakach popęzł do pierwszych dziur. Wznowiono ostrzał. Oberscharführerowi Willmerowi odłamek oderwał twarz, Scharführer Dwinger padł z dziurą między oczami tuż pod krawędzią helmu, jeden z żołnierzy spoglądał na swą oderwaną nogę i niczego nie rozumiał, bo to go nawet nie bolało. Z rozdartego kikuta tryskała krew.

- Jezu! - Krzyknął mimo woli Eicke.

Kat Żydów w Dachau wezwał pomocy od Żyda, ale przeszedł nad umierającym nawet na niego nie spojrzawszy. Jaki może być użytek z żołnierza, który ma tylko jedną nogę? Burza z Kazachstanu posłuży mu za całun. Eicke pada obok grupy obsługującej cekaem. Strzelcem jest Unteroffizier służby czynnej z 41. Pułku Piechoty, którego zaniepokoił widok białych klap munduru esesmana.

- Uwaga - powiedział - wczoraj rąbnięto tu pewnego generała, który wysunął się trochę za daleko.

Eicke, dość zaniepokojony, dotarł do dziury, w której okopał się młody Oberleutnant o twarzy starca.

- Obergruppenführerze, nie mieliśmy nic ciepłego do jedzenia co najmniej od ośmiu dni. Intendentura nas sabotuje.

- Nic ciepłego od ośmiu dni! Gdzie są wasze kuchnie polowe?

- Kuchnie polowe! - Oberleutnant zaśmiał się gorzko. - W kompanii od czasu do czasu zabija się jakieś zwierzę, w ten sposób daje się przeżyć!

- Gratwohl! - Wrzeszczy Eicke do jednego ze swych zbirów - postaraj się, aby intendent dywizji został powieszony! Ja zrobię porządek w kuchniach polowych.

- Herr Oberleutnant! - Woła jeden z podoficerów - masowe natarcie Ruskich!

Oberleutnant naciąga hełm, chwytając swój pistolet maszynowy, odbezpiecza granaty. Natarcie zostaje powstrzymane, ale Eickego ogarnia zdumienie. Nigdy nie widział wojny z takiej perspektywy. Młody Oberleutnant przysiadł w kryjówce i studiuje rozłożoną na ziemi mapę.

- Oberleutnant, czy możesz utrzymać te pozycje?

- Nie wiem, Obergruppenführer, wojna jest przegrana, ale nie złożę broni, póki nie otrzymam takiego rozkazu.

- Mogę kazać cię rozstrzelać za defetyzm! - Ryczy Eicke. - Wojna nie jest przegrana, zapamiętaj to sobie, Oberleutnant!

- Och - odpowiada młody oficer ze zmęczonym uśmiechem - Führer powiedział, że będziemy walczyć z podludźmi, ale jak dotąd widziałem tylko groźnych specjalistów! Führer nie docenił Rosjan i powtarzam, że wojna jest przegrana.

Rozległy się trzy strzały rewolwerowe i młody człowiek padł u stóp Eickego. Nazista kontynuując swą inspekcję dotarł do 9. Pułku Czołgów.

- Gdzie są wasze kuchnie polowe? - Zapytał Eicke. - Nie można prowadzić wojny bez kuchni polowych.

StabsFeltwebel mu wyjaśnił, że wysłała się oddziały zaopatrzeniowe. Te napadają na kolumny intendencji, zabijają konie i robią z nich potrawkę.

- Od czasu do czasu jada się też ludzką wątrobę, nie jest zła.

Obergruppenführerowi odebrało oddech i więcej nie mówił już o kuchniach polowych. Żołnierze Stalingradu stali się kanibalami.

- Czemu nie atakujecie? - Zawył do starego Majora, dowódcy batalionu, który wyraźnie nie mógł już nic zrobić.

- Atakować gdzie? - Krzyknął Major. - Rosjanie są wszędzie. Dowodzę batalionem, którego efektywność wynosi ledwie kompanię.

- Sabotażyści z Armii! - Ryczał Eicke, plując z wściekłości.

Major został przywiązany do drzewa i natychmiast rozstrzelany. Jakiś dowódca saperów kazał wysadzić w powietrze swój park pionierów nie otrzymawszy co do tego rozkazu, ponieważ Sybiracy nadpływali na pontonach. Został rozstrzelany za sabotaż. I

polowanie trwało nadal. Oberst Jenck z 9. Pułku Piechoty opuścił swą pozycję bez rozkazu. Został powieszony na skrzydłach wiatraka. W piwnicy prowizorycznego szpitala zerwano na chybił-trafił opatrunki 200 rannych. Z tej liczby nic nie dolegało 197, w większości oficerom intendentury. Zlikwidowani natychmiast. A polowanie trwało dalej. Rozstrzeliwuje się lekarzy, oficerów, wieszają kryminalistów, liczne kobiety, kradnące żywność żołnierzom.

Elitarny włoski pułk „Savoia” okazuje się nieoczekiwaną zwierzyną: 68 oficerów dostaje kulę w potylicę za rabowanie magazynów niemieckich po to, aby ich własni żołnierze nie umarli z głodu. Niemcy nie dają im nawet skórki od chleba.

Wiatr z piekła rodem wstrząsa kotłem stalingradzkim.

Generał-major strzelców Blome przyznaje, że ukrył benzynę dla własnego samochodu. Polewa się go benzyną i generał pali się jak pochodnia. Na stacji kolejowej Caryca rumuńskie dzieci zebrzą o chleb. Rozkaz pozabijania dzieci uderzeniami kolb i żołnierze rumuńscy to wykonują. Są równie okrutni wobec słabych, co płaszczący się jak flądry przed potężnymi. Dowódca jednego ze szwadronów rumuńskich służalczo salutuje Eickemu, co nie przeszkadza temu, że w chwilę później kołysze się na drzewie.

- Co za banda! - Chichocze Eicke. - Wszyscy, co do jednego. Co za szczęście, żeśmy przyjechali.

Kapelan Roske z 44. Dywizji miał trzy dni wcześniej kazanie o Jezusie z Nazaretu. Jezusie Żydzio! Nazarecie, punkcie oporu Żydów! Nieszczęsny ksiądz zostaje zadenuncjowany. Zostaje powieszony za nogi i zarżnięty jak w rzeźni. Przez pięć dni kołysał się ze swym krzyżem zawieszonym na fioletowym sznurze. Posługiwano się nim jako drogowskazem: - Gdy dojdiesz tam, gdzie się kołysze ksiądz, skreć na prawo, a potem idź całkiem prosto.

Wszędzie gdzie pojawiał się Eicke, śmierć wchodziła razem z nim.

Major piechoty na własną odpowiedzialność wycofał batalion by ocalić resztę swych ludzi i Majora z amputowanymi obiema nogami ewakuowano samolotem. Wskutek telegramu Eickego major został wysłany do Torgau i rozstrzelany przywiązany do swych noszy.

Hitler w całości zaaprobował raport swego przedstawiciela i dyskutował o 6. Armii popijając ze szklanki mleko. Führer nie znał alkoholu, a życie prowadził spartańskie.

Bardzo daleko od niego, w Stalingradzie, cała jedna armia szybko zbliżała się do całkowitego unicestwienia.

Bóg zesłał Adolfa Hitlera, by mógł dopomóc narodowi niemieckiemu w zaprowadzeniu porządku w Europie.

August Wilhelm, Książę Prus, na bankiecie wydanym przez Związek Oficerów, 26 czerwca 1936

20 grudnia, podczas przerażającej burzy śnieżnej, szeregowiec Blatt i strzelec Wenck zostali wysłani do Gumrak by przywieźć żywność dla swego batalionu. Racja żywnościowa w połowie grudnia wynosiła na głowę 10 gramów chleba, 10 gramów marmolady i ćwierć litra wodnistej zupy na końskich kościach.

Strzelec Paul Wenck, lat osiemnaście, zawsze miał ogromny apetyt i nigdy nie potrafił zaspokoić głodu. Do tego czasu wymieniał swą rację papierosów na chleb, ale pod Stalingradem stało się to niemożliwe. Nikt już nie sprzedawał chleba, nie było też już wcale papierosów.

Po godzinnym oczekiwaniu dwaj żołnierze otrzymali dla swego batalionu 225 bochenków wojskowego chleba.

- 225 - powiedział Blatt, powierzając Wenckowi pieczę nad drogocennym ładunkiem. - Liczba się zgadza, uważaj. - By wrócić do batalionu potrzebowali ośmiu godzin; wygłodzone konie nieustannie potykały się na drodze. Wreszcie o świcie dotarli do Carycy.

Kwatermistrz batalionu przyjął ładunek i zajął się przeliczaniem bochenków. Znalaziono ich 224, choć powinno być 225. Obaj młodzi żołnierze uparcie przeczyli, by cokolwiek ukradli. Podczas rewizji osobistej niczego przy nich nie znaleziono, ale w wozie odkryto jeden bochenek, zawinięty w kurtkę maskującą Wencka, ukrytą na dnie skrzynki narzędziowej, do której on jeden miał klucz.

Sąd wojenny zasiadał w jakiejś piwnicy. Zrozpaczony chłopak, chory i blady jak ściana, stanął przed sędziami. Oskarżenie było wystarczające, by skazać go zgodnie z instrukcją generała Paulusa z 9 grudnia 1942.

- Dlaczego ukradłeś ten chleb? - Zapytał przewodniczący, nie patrząc na chłopca, na którym mundur wisiał jak na kiju.

- Byłem głodny. Nie miałem nic do jedzenia od trzech dni i byłem strasznie głodny.

- W Stalingradzie wszyscy jesteśmy głodni, ale nie kradniemy chleba z tego powodu.

Sędziowie oddalili się na naradę. Czyn piechura Wencka podpadał pod artykuł instrukcji z 9 grudnia, stwierdzający: - „Płądrujących należy natychmiast rozstrzeliwać”. Ale Wenck nie płądrował i był tylko osiemnastoletnim wygłodzonym żołnierzem, stojącym między dwoma żandarmami o wiele lepiej odżywionymi i nie miał wątpliwości, że będzie musiał

zapłacić za bochenek żołnierskiego chleba, wart 35fenigów, tym, co ma najcenniejsze: swoim życiem.

Sędziowie powrócili. - „W imieniu narodu niemieckiego piechur Paul Wenck zostaje skazany na rozstrzelanie za kradzież żywności Armii”.

Przez kilka sekund w sali panowała śmiertelna cisza, a potem biedny chłopiec zaczął wyć, błagać, jęczeć. Uderzenie kolbą uciszyło go. Nazajutrz, 4 grudnia, zaciągnięto go do rowu i rozstrzelano. Do plutonu egzekucyjnego należał szeregowiec Blatt. Ponieważ ziemia była twarda jak kamień, ciało po prostu zasypano śniegiem, aby zaś nie marnować amunicji, zdecydowano, że od 25 grudnia złodzieje nie będą rozstrzeliwani, lecz wieszani.

Rozdział 8

Spacer z marszałkami

Właśnie graliśmy w karty talią Starego. Były brudne, ale uczciwe, bo Stary nigdy nie oszukuje, wszyscy o tym wiedzą. Porta i Legionista tym razem zgrywali się do naga, podczas gdy Mały wygrywał w czasie, gdy piwnica trzęsła się pod ogniem ciężkiej artylerii. Przez cały dzień grzmiały Organy Stalina.

- Co za kurestwo! - Wściekał się Mały. - Gdybyż te dupy przerwały swą muzykę! Nie można się skupić, by zagrać właściwą kartę!

- Znacie nowe wiadomości? - Spytał nagle Heide. - Wczoraj rozstrzelano generała-majora, który chciał wywiesić białą szmatę z całą swą kompanią. Oczywiście wpadł na zaporę, ten kretyn. Był to najpiękniejszy pluton egzekucyjny, jaki od dawna widziałem. Biblia, bębny. Oberleutnant z szablą u boku dowodzący plutonem. Nie ma co gadać, to robiło wielkie wrażenie!

- Och - powiedział Gregor - na mnie generałowie nie robią żadnego wrażenia. Widziałem ich na pęczki. Byłem kierowcą Generalfeldmarschalla von Kluge. Trzeba było widzieć, jak spiskowali. Zamach na Hitlera i takie rzeczy. Dzielili posady ministrów, mały włos, a zaproponowaliby i mnie.

- I nie doniosłeś na nich do SD? - Spytał, marszcząc brwi, Heide.

- Nie zwariowałem! Mówisz, że miałem ich zadenuncjować. Gdyby mi nie ufali, to przewodniczący sądu wojennego też jest generałem, mój chłopczyku.

- Ucięto by ci głowę - stwierdził Porta. - Ja też znam nie mało zrad głównych, ale wolę zajmować się pożyczaniem pieniędzy. Kiedy biedak miesza się do tego, co go nie dotyczy, to on ryzykuje.

- To dlatego, że wszyscy jesteście cykorami! - Orzekł z obrzydzeniem Heide.

- Odkryłeś to? - Zachichotał z ironią Porta.

- Mnie wystarczyły tylko dwa dni marszu pod pełnymi honoru i chwały sztandarami Adolfa, by wiedzieć, że pień dębu Wotana jest wypróchniały w środku!

- I co dalej? - Zapytał niecierpliwie Stary. - Co się stało u Klugego?

- A więc oni wymyślali wszelkie możliwe sposoby na Adolfa, od zastrzelenia z rewolweru do wsadzenia mu bomby pod dupę. Był nawet jeden świrowaty, von Boselager, Oberstleutnant kawalerii, który zaproponował, że rzuci się z wyciągniętą szablą na Adolfa na czele swego pułku. Trudność polegała na potajemnym przetransportowaniu 8 000 silników na

owies z Rumunii aż do kryjówki w Prusach Wschodnich. Drobiazg! Ten ekspert chciał zamaskować 8 000 chabet tuż pod nosem najlepszej na świecie tajnej policji, wyobrażacie sobie? Mój generał powiedział jedyną sensowną rzecz, że za żadną cenę nie weźmie w tym udziału. Wolał też pozostać wierny Adolfowi, przyrzekając równocześnie zachowanie tajemnicy, ale ci panowie nie mogą na niego liczyć. Oczywiście dał słowo, że będzie milczał, ale w kilka dni później o mały włos, a znalazłby się w tym samym cholernym gównie, co spiskowcy. Gdybym miał jakiegokolwiek podejrzenia, zgłosiłbym się jako chory. A więc tego samego dnia mój generał i ja mknęliśmy po autostradzie do Kijowa, jednej z porażek Stalina. Rosjanie nie wiedzą jeszcze, jak budować przyzwoite szosy. Znaćcie ją? Tuż przed skrzyżowaniem Diubeniewa znajduje się morderczy zakręt. Zakręt śmierci, jak się u nas mówi. Wszyscy cieszą się jak dzieci z powodu tego zakrętu. W niedzielę siada się w rowie i wystarczy poczekać. Nigdy żadnego rozczarowania, cała masa komisarzy roztrzaskała tam sobie mordy zanim przybyli niemieccy turyści.

Mój Generalfeldmarschall był roztrzęsiony jak wszyscy wówczas. Bez przerwy stukał swą buławą marszałkowską w dzielącą nas szybę, abym dodał więcej gazu. Nie miałem wątpliwości, że chce wywołać wypadek po tym, jak dał słowo, które na nim wymuszono, ale że to może mnie kosztować życie, miał w dupie! Wobec tego prując sto sześćdziesiątką wpadamy na zakręt śmierci. Możecie mi nie wierzyć jeśli chcecie, ale ten drań się śmiał! W sekundę później szesnastocylindrowy wóz zmienił się w puszkę konserw. Ocknąłem się w szpitalu za murem z gipsu, pod opieką cudownej dziewczyny, tyle tylko wam powiem. W dwa miesiące później wyszedłem ze szpitala i zameldowałem się w Sztapie Głównym, ale powiedziano mi, że mam dziesięć minut na to, by zniknąć. Mój Generalfeldmarschall był ciągle jeszcze obmurowany gipsem, przynajmniej taką mam nadzieję. Wtedy dostałem się pod komendę Generalobersta Lindemanna, specjalisty od egzekucji. Spacerowałem w mundurze spadochroniarza, z odznaką na piersi. Pewien Feldwebel, który dobrze znał Lindemanna, opowiedział mi taką historię: W 1936 odbyła się wielka parada nowej Armii Niemieckiej. Kiedy korpus, którym niegdyś dowodził generał przedefilował przed nim, Lindemann zaczął płakać pomyślawszy o wszystkich, którzy padli pod Verdun i nad Sommą. Wyobraził sobie, że paradują przed nim trupy w szarych mundurach! Bardzo dziwni są ci wyżsi oficerowie. Trudno ich zrozumieć.

- Ja też byłem w Sztapie Głównym - zapewnił nagle Mały ku zdumieniu wszystkich obecnych.

- Może byłeś Szefem Sztabu Głównego? - Zapytał Porta wybuchając śmiechem.

- Chcesz poczuć moją pięść na pysku? Kiedy mówię, że byłem w Sztapie Głównym, to

jest prawda. Jako ordynans generała kawalerii Knochenhauera. Nie żyje, popełnił samobójstwo. Ale trzeba przyznać, że był odważny, ocalił mi skórę. Byłem wówczas w 15. Pułku Pancernym w Żaganiu. Pewnego dnia spadłem z czołgu i zaczepiłem się o gąsienicę. Rozcięło mi but na pół, następnego dnia poszedłem do lekarza i powiedziałem, że nie mam już stopy. Ten lekarz nie znosił chorych żołnierzy, opowiadano, że już dwóch facetów przez niego zdechło. Jeden powiedział, że ma dyfteryt, ale trzeba było wymyślić coś lepszego, by oszukać tego rzeźnika. Skończyło się na tym, że przez trzy dni męczył człowieka z dyfterytem dając mu lewatywy z oleju rycynowego. Gościu zgłosił się jako wyleczony, ale był tak uparty, że zdechł podczas musztry porannej. Drugi był wojskowym kutasem, który zgłosił się jako chory w poniedziałek rano. Równie prawdopodobne, jak twierdzenie, że można usmażyć jajka na gołych poślądkach, nawet mając 40 stopni gorączki! Wszyscy źle się czują w poniedziałek rano, nawet Rockefeller, nieprawdaż? A więc ten wojskowy kutas wybrał sobie zapalenie wyrostka robaczkowego. Grabarz mu wepchnął trzy termometry: jeden pod pachę, drugi w usta, trzeci do dziury w dupie. Ale ku wielkiemu rozczarowaniu lekarza chłop miał rzeczywiście gorączkę.

- Przyznaj się, ile zjadłeś kostek cukru z benzyną!

Żołnierz upierał się, że go boli. Wtedy lekarz wpadł we wściekłość i zagroził mu sądem wojennym. Ale symulator zachował się tak dobrze, że coś mu pękło w brzuchu i zdechł w obecności wszystkich.

Sanitariusz z izby opatrunkowej odradził mi odwiedziny z moją nogą u dostawcy krematorium; zaproponował, że ją zajodnuje i da mi trzy dni służby wewnątrz koszar z prawem do przedłużenia jeszcze o dwa. Ale tak mnie bolało i do tego stopa nabierała dziwnych kolorów, że wolałem pójść do rzeźnika. Ojej! Gdybym mógł przewidzieć skutek, nigdy bym mu nie pokazał mojego kopyta. Tego samego wieczoru siedziałem w areszcie z oskarżeniem o symulację, ale dwaj strażnicy z korytarza byli moimi kumplami pułkowymi i dali mi nielegalnie chleba. Następnie miałem tyle szczęścia, że mnie przydzielono do obierania ziemniaków; mając taką posadę można uniknąć udziału w trzech wojnach światowych! Na nieszczęście moja noga zaczęła robić się zdrowsza, a to było bardzo przykre, w dniu sądu wojennego nie miałem nic do pokazania. Wszystko poszło galopem! Wysłano mnie do Torgau, gdzie mnie umieszczono w błękitnym skrzydle, u „Żelaznego Gustawa”. W dniu, w którym jak sobie wyliczyłem, mieli mnie rozstrzelać, Gustaw wszedł do mojej celi i kazał mi pakować manatki. Zawieźli mnie do dowódcy armii, generała Knochenhauera, który siedział nadęty za biurkiem.

- Więc to ty jesteś tym typem, który sądzi, że można Armii płać figle? I nadal

twierdzisz, że noga cię bolała, czy też przyznajesz się, że to był kawał?

Powtórzyłem, że miałem stopę w połowie zmiądzoną.

- Naprawdę masz najtwardszą głowę, jaką w życiu widziałem, ale ponieważ chcesz grać spryciarza, pošlę cię na prześwietlenie. Wyłącznie, by się przekonać, że nic ci nie jest. Następnie zostaniesz rozstrzelany.

Wobec tego poszedłem do rentgenologa, który był bardzo miły i do tego w stopniu Hauptarza. Następnie odesłano mnie do kicia, ale w kilka dni później przybiegł jeden z kumpli.

- Jesteś wolny. Za godzinę masz się zameldować u dowódcy Armii w stroju polowym.

Zameldowałem się w kompanii sztabowej, gdzie adiutant obejrzał wszystkie moje butonierki, następnie w pułku, dalej w dywizji, gdzie jej szef sztabu, Oberst Badensky, obszukał mnie od stóp do głów. Nagle zauważył, że nie mam sznurka strzelca wyborowego, natomiast mam skarpetki SS z dwoma białymi prążkami u góry. Na skarpetkach Armii było ich trzy. Błyskawicznie zawrócono mnie do magazynu, gdzie wypożyczono parę skarpetek z trzema prążkami. Z dywizji przepędzono mnie do korpusu armijnego, gdzie generał Lubke znów obejrzał mnie od stóp do głów, krytykując wszystko, co ze mną zrobiono. Ale nie było już czasu, by cokolwiek zmienić. W końcu zameldowałem się generałowi Knochenhauerowi, strzelając obcasami z taką energią, że słyhać to było w całym 10. Korpusie Armijnym. I jak sądzicie, kto pojawił się we drzwiach? Miły Hauptarzt ze wszystkimi moimi portretami rentgenowskimi. Oświadczył, że miałem złamaną kość stopy i że nie byłem symulantem. Major, który mnie wysłał przed sąd wojenny, był już w drodze na front z naganą. Generał Knochenhauer wziął mnie jako ochroniarza i dał mi dwóch niewolników do grubszych robót. Mogę więc powiedzieć, że naprawdę ocalił mi skórę!

- Czy zauważyliście - powiedział Porta - że oficer zmienia się całkowicie po przejechaniu zakrętu na stopień majora? Gębę ma bardziej ściśniętą, jak damskie majtki numer 38 na dupie 46 i nastawia uszu jak rozzłoszczony koń. Następnie, gdy z pułkownika staje się generałem brygady i otrzymuje czerwone lampasy, staje się znów całkiem inny. Własna matka by go nie poznała! Jego oczy nie są już oczami, lecz lampami rentgenowskimi, a na śmierć skazuje tak, jakby mówił dzień dobry po zjedzeniu talerza kapusty kiszanej. Można się założyć, że srać chodzi też w inny sposób...

W tym momencie na całej pozycji rozległo się: - Alarm! Alarm! Ruscy nadchodzą!

Umiłowanie wolności nie zakiełkowało w Niemczech.

Pani de Stael - 1820

8 listopada 1942 ochryply i brutalny głos, powtarzany przez miliony głośników rozległ się w całej Europie. To Adolf Hitler przemawiał z Burgerbraukeller w Monachium.

- jeśli Stalin oczekiwał, że go zaatakuję w centrum frontu, to spotkało go wielkie rozczarowanie. Nigdy nie myślałem o ataku w centrum, chciałem dotrzeć do Wołgi i dotarłem. Zostało to dokonane w określonym miejscu, które przypadkowo nosi imię Stalina...

Głośniki bliskie były wybuchu od wściekłych okrzyków słuchaczy „Sieg Heill”, „Sieg Heill”. - Chciałem więc jakiegoś miasta na brzegu Wołgi. To miasto jest nasze. Nie pozostaje nam nic więcej, niż zdobyć parę enklaw.

Nowe ogłuszające oklaski. Ze wszystkich gardeł rozległy się dźwięki Deutschland uber alles. W dziesięć dni później naczelny dowódca 6. Armii otrzymał ze Sztabu Głównego następujący telegram:

„6. Armia otrzymuje rozkaz opuszczenia samego Stalingradu i okopania się w miejscu, które od tej chwili nosi nazwę „Forteca Stalingradzka”. Rozkazuję bić się do ostatniego człowieka i ostatniego naboju. Żadna kapitulacja nie wchodzi w grę. Ten, kto bez rozkazu skapitułuje lub opuści Fortecę zostanie uznany za zdrajcę. Oczekuję, że 6. Armia i jej dowódcy będą się bić jak Wagnerowscy bohaterowie

Adolf Hitler”

Rozdział 9

Zdrajcy

We wspaniałą styczniową niedzielę nad Stalingradem, tym zdumiewającym miastem, pół orientalnym i pół europejskim, stało błękitne niebo bez chmurki. Tysiące Niemców, Węgrów, Włochów, Rumunów oraz Słowaków tłoczyło się na ulicach z kobietami uczeponymi ich rąk. Wszędzie panował taki spokój, iż można było pomyśleć, że jest się w mieście garnizonowym. Walki szalały bardziej na północ, ale w samym Stalingradzie nic nie było słychać.

W domu naprzeciw wysp Sieroińskich odbywało się tajne zebranie oficerów. Byli to oficerowie dywizji wiedeńskiej, co do jednego Austriacy.

- Przeklęty niech będzie dzień, w którym najechali nas żołnierze Hitlera! Tęsknota ogarnia do starego Cesarstwa Austro-Węgierskiego! - Generał-major Lenz opróżnił dziesiąty kielich szampana. - Nigdy nie lubiłem Prusaków - oświadczył w dialekcie wiedeńskim.

On i jego towarzysze wyraźnie zapomnieli, jaki panował entuzjazm, gdy w 1938 r. zmieniali swe jasnoszare mundury austriackie na niemieckie feldgrau. Zapomnieli, że marzyli o nowym Państwie w Wielkich Niemczech. Nie kłopotali się też przypominaniem, z jakim rozbawieniem sporządzali listy ludzi, którzy nie mieli czystej rasy lub zdawali się politycznie wątpliwi. Ależ z całą pewnością robili to pod przymusem! Jakże inaczej mogliby to robić? Dlatego wszyscy w Austrii rzucili się, by pomagać zwycięzcom. Nawet czerwoni, którzy śpiewali:

Dziś należą do nas Niemcy, Jutro cały świat...

Generał Taurog rozłożył więc na stole mapę sztabową.

- Panowie, sytuacja w Stalingradzie jest rozpaczliwa. Armia Hocha, która miała nam pomóc, została pobita pod Kotelnikowem, wieści, dotyczące przybycia całej jednej armii SS są czystą fantazją. Oczekujemy, że wkrótce zostaną nam przyznane racje frontowe, a wtedy zacznie się głód. Jediną naszą nadzieją pozostają Rosjanie. - Uderzył pięścią w dwie teczki wypchane dokumentami. - Mam tu wszystkie plany naszych pozycji obronnych. Jeśli Rosjanie dostaną je do ręki, będzie im bardzo łatwo przełamać linie dzięki naszej współpracy. Można przewidywać, że nasz gest zapewni nam przyzwoite traktowanie i bardzo bym się dziwił, gdyby Rosjanie nie potrzebowali ludzi takich jak my przeciw zarazie hitlerowskiej.

Antynazistowskie nastroje Tauroga nie przeszkadzały mu w podpisywaniu od czasu do czasu paru rozkazów egzekucji dezertujących żołnierzy.

- Trzeba, by te papiery dotarły do generała Rokossowskiego! - Zawołał Generał-major Lenz. - Nie możemy dalej pozostawać w tym domu wariatów, gdzie rządzi czeski kapral. Ze swej strony dołączyłem do tych dokumentów listę tych, których znam jako zdeklarowanych wrogów Rosjan i zapewniam Rokossowskiego o naszej bezwzględnej współpracy.

Generał-major Lenz także zapomniał, że sam kazał w Sewastopolu zgromadzić 8 000 rosyjskich kobiet, by je wysłać do niemieckich obozów koncentracyjnych. Przemilczał także, że Taurog miał w swej posiadłości w Dolnej Austrii 35 polskich niewolników, kupowanych po 50 marek za sztukę. Kurs wynosił 35 marek za Rosjanina w dobrym stanie, ale trzeba było do tego doliczyć napiwek dla strażnika obozowego. Na koniec nie wspominało też, że Oberst Kurz z wiedeńskiej dywizji niedawno kazał rozstrzelać 476 jeńców rosyjskich w obozie w Karpowce za kradzież ziemniaków.

Ale ci panowie uważali się za zbyt dystygowanych, by osobiście wykonywać swą brudną robotę zdrajców, która miała kosztować życie tysięcy żołnierzy. Zadanie powierzono więc pewnemu Feltweblowi zandarmerii. Ten Judasz Stalingradu odjechał w eleganckim, czarnym mercedesie i został zaopatrzony w przepustkę, otwierającą mu wszelkie zapory na drodze.

Rzeczywiście, nikt nie podejrzewał wielkiej limuzyny sztabowej, ale o trzy kilometry na północ od Karszlińskiej, wpadli na drużynę zwiadu rosyjskiego, która pomimo białej flagi zaczęła rabować wszystko, co było do zrabowania w samochodzie, poczynając od zegarków.

W końcu pojawił się lejtnant mówiący po niemiecku i zaprowadził dwóch zdrajców do dywizji rosyjskiej w Łosnoj, gdzie zostali przesłuchani przez czterech oficerów sztabowych.

Pomimo dokumentów Rosjanie podejrzewali pułapkę. - Tego rodzaju sprawa - oświadczyli - kosztowałyby Niemców tysiące poległych.

- Trzeba koniecznie, aby jedni zapłacili za to, by inni mogli żyć - powiedział Austriak z uśmiechem tak cynicznym, że nawet rosyjscy oficerowie wstrząsnęli się z obrzydzenia.

Ale ten uśmiech równocześnie ich uspokoił. Ludzi takich, jak ten Feldwebel Braun, znali też wśród własnych.

Dopiero starannie zbadawszy dokumenty i porównawszy je z własnymi informacjami wysłali zdrajców do generała Rokossowskiego w Aleksandrownej, gdzie znajdował się także marszałek Jeremienko. Ustalono sygnał. Jeśli Rosjanie zgadzają się na transakcję, samolot wystrzeli zielone pociski smugowe. Oficerowie odpowiedzą dwiema rakietami, czerwoną i żółtą. Otrzymawszy taką odpowiedź Braun i jego akolita powrócili na linie niemieckie, gdzie Taurog powitał ich jak synów marnotrawnych.

Nazajutrz o godzinie 17.00 samolot Iliuszyn wysłał nad Stalingradem umówiony

sygnał i Rosjanie próbowali przełamać front na odcinku 3. Dywizji Zmotoryzowanej by natrzeć z flanki i zwinąć 24. Dywizję Pancerną i 60. Dywizję Zmotoryzowaną. Koło Dubowki generał Wasilewski zgromadził do natarcia 3 000 czołgów, za nimi miało pójść 60 000 Kozaków, gdyż oceniono, że zwykła piechota jest zbyt powolna. Dywizje zmotoryzowane 3. Armii Gwardyjskiej miały powstrzymać Niemców wzdłuż Wołgi. Sześć dywizji piechoty i jedna pancerna liczyły łącznie 100 000 ludzi.

W tym momencie zdrajcy dokonywali ostatnich posunięć swego planu. Generał Taurog zgromadził swych żandarmów, personel więzień, personel sanitarny oraz jeńców i wszystkich uzbrajał, aby strzelali w plecy oddziałom niemieckim, gdy nastąpi rosyjski atak. Ale przeznaczenie chciało, by wszystko potoczyło się inaczej. Oberstleutnant Hinze z 100. Dywizji Strzelców nagle poczuł takie wyrzuty sumienia, że poszedł się wypowiedzieć do kapelana. Ten, pełen przerażenia i wykonując tylko swój żołnierski obowiązek pospieszył do dowódcy 16. Dywizji Pancerniej, generała Lattmanna, który kazał aresztować Oberstleutnanta. Już przy pierwszym przesłuchaniu Hinze ujawnił nazwiska wszystkich swych współników.

Generał Taurog i generał Lenz zostali powieszani w bazylice w Aleksandrze, pozostałych rozstrzelano na środku ulicy i na każdym trupie przyczepiono wywieszkę: JESTEM ZDRAJCĄ, KTÓRY SPISKOWAŁ NA RZECZ ROSJAN.

Nazajutrz ofensywa rosyjska zaczęła się od artyleryjskiej zapory ogniowej o takiej sile, jakiej jeszcze nigdy nie widzieliśmy. Niebo, ziemia, rzeka, wszystko płonęło. 3. Dywizja Zmotoryzowana została zniszczona w ciągu jednej godziny, jeden z pułków piechoty wraz ze swą artylerią został zmieciony z powierzchni ziemi. Ludzie, powyrzucani eksplozjami z bunkrów i okopów, byli zamiatani po śniegu jak liście przez burzę. Niektórzy, straciwszy zmysły, wylali i łkali. Stal i dym dosłownie wyskakiwały z przeoranej ziemi. Trwało bombardowanie tak przeraźliwe, że wydawało się niemożliwe, by je przeżyć. A przecież byliśmy przy życiu, gdy nadeszły czołgi, a za nimi hordy Kozaków wyjących i wymachujących szablami.

16. Dywizja przeszkodziła okropnemu klinowi rosyjskiemu w przedostaniu się do Stalingradu. Porta, Mały i ja leżeliśmy w rowie wśród setek skrwawionych trupów, które żołnierze chowali w chwili, gdy natarcie się zaczęło. Przez całą noc leżeliśmy, słysząc skrzypiące gąsienice i galopujące konie. Nie było trudno upodobnić się do martwych, do tego stopnia trupy oblały nas krwią. Dopiero nazajutrz po południu, gdy znów zapanowała cisza, wróciliśmy na drogę do Stalingradu. Jeniec rosyjski, który udawał martwego równocześnie z nami, odmówił opuszczenia nas. Powiedzieliśmy mu, żeby zmykał do własnych linii, ale absolutnie nie chciał się na to zgodzić.

- Jeśli wrócę, rozstrzelają mnie! Jest zabronione dać się wziąć do niewoli, powiedział towarzyszc Stalin.

- On jest dupkiem - orzekł Porta. Rosjanin nie zaprzeczył.

Jak okiem sięgnąć zamarzniete trupy, porozbijane samochody, poprzewracane działa, zaopatrzenie spopielone, mundury, broń. W jednym z pospiesznie porzuconych biur znaleźliśmy maszyny do pisania w liczbie dostatecznej, by w nie zaopatrzyć załogę wielkiej fabryki. Było tam wszystko. Wszystko! Odzież zimowa, nowiuteńkie futra, filcowe buty, benzyna, broń... Nie wierzyliśmy własnym oczom. W tym okresie brak nam było nawet tego, co absolutnie niezbędne; prawie trzeba było prosić o zezwolenie na strzał z karabinu, a tutaj zaopatrzenia było po gardło... Przez głupotę.

Zawsze praktyczny Porta zamienił swą rojącą się od robactwa odzież na nową i na białe futro. Zaproponowaliśmy je także rosyjskiemu jeńcowi, ale jego morale upadło tak nisko, że wołał nieustannie jęczeć, że zostanie rozstrzelany przez swoich i że chciałby, aby Forteca Stalingradzka trzymała się jeszcze przez sto lat! Tego nie mogliśmy mu obiecać.

O zmroku wszyscy czterej daliśmy dyla, a Porta załatwił zapisanie nas do szpitala polowego tak napchanego, że nawet pułk Gestapo nie mógłby się tam połapać. Ale trzeciego dnia wszystko się popsuło. Porta został przyłapany na gorącym uczynku plądrowania i zamknięto go, w oczekiwaniu na sąd wojenny, w piwnicy strzeżonej przez starego sanitariusza.

Tej samej nocy Mały udusił głupiego sanitariusza, który próbował przeszkodzić Porcie w ucieczce, a my rzuciliśmy się do najbliższego lasu. Pewien współczujący kapelan zabrał nas do swojej amfibii, ale pogoń deptała nam po piętach i ksiądz, który nie potrafił dość szybko wysiąść, został zabity. W chwilę później zmotoryzowany patrol żandarmerii zatrzymał nas jako deztererów. Sprawy wyglądały z minuty na minutę gorzej. Zamknięto nas w stodole z pięćdziesięcioma innymi i powiedziano nam, że będziemy ofiarami pewnego słynnego sądu wojennego.

W ciągu dwóch minut, nie zwlekając, wymierzał karę śmierci. Feldwebel żandarmerii przypinał nam do mundurów czerwone kartki. Większość więźniów w stodole nosiła czerwone kartki, z wyjątkiem dwóch, którzy mieli zielone; ci mieli pójść do więzienia.

Wrota otwierały się co chwilę i wchodzili dwaj żandarmi, by zabrać jakiegoś gościa na egzekucję. Za każdym razem rozglądali się wokoło z uśmiechem, od którego cierpła skóra.

- Ty, tam dalej, wyglądasz na zmęczonego. No to chodź z nami!

Zabrali również jednego podoficera za to, że po prostu miał wesołą minę. Wrota zamykały się dla wszystkich w środku i wystarczyło policzyć do pięćdziesięciu, by usłyszeć

salwę. Jakiś wyprowadzany Oberfeldwebel rzucił się na schodach na dwóch psów gończych, zabił jednego z nich, ale sam został ciężko ranny. Rozstrzelano go leżącego.

Nasza kolej miała wkrótce nadejść.

Nagle rozległy się krótkie wystrzały armatnie i dobrze znany skrzyp gąsienic. Zaszczekał karabin maszynowy, po tym nastąpiła cisza. Mały wspinał się na wieżbę dachową i pozdejmował z dachu wiązki strzechy. Cała wieś płonęła, na ulicy widać było tylko porozrzucane trupy i galopujących Kozaków; jakiś oficer bez hełmu i płaszcza, wyraźnie szukający kryjówek, został powalony cięciem błyszczącej szabli.

- Nogi za pas! - Zarządził Porta. - To Iwan dokonuje czystki. Jeśli będziemy się ociągać, to krecha.

Nasz Mały i wielki Feldwebel artylerii wysadzili drzwi wejściowe i znaleźli u stóp schodów żandarma z kulą w głowie. Mały chwycił jego pistolet maszynowy i już mieliśmy wyskoczyć na dwór, gdy Feldwebel do nas zawołał: - Zaczekajcie, idioci! W ten sposób daleko nie zajdziecie. Nie macie już waszych papierów i łazicie sobie z kartkami skazanymi na śmierć na brzuchu! Głupszymi już być nie można. Pierwszy napotkany oddział postawi was pod murem.

Oczywiste było, że z jego ust przemawia rozsądek, w służbie wojskowej brak papierów to zguba.

- Chodźcie tędy! - Rozkazał twardym głosem, wskazując drzwi, które wyłamał kopnięciem.

Seria z peemu po całym pokoju i dwa psy gończe padają. I oto w szafie leżą wszystkie nasze książeczki wojskowe i dowody tożsamości! Feldwebel każe nam oblać pokój benzyną; wrzucamy do środka granat ręczny przywiązany do kanistra benzyny i wszystko staje w ogniu.

- Ocaleni! Jeśli zostaniemy złapani, nie ma przeciw nam dowodów.

- Pójdiesz z nami? - Pyta Porta. - Należymy do dobrej kompanii.

- Och nie, jestem stary, stary i mam dość wojny i wszystkiego. Ale idę do Ruskich, wolę skończyć w obozie jeńców. Tam nie może być gorzej, niż tutaj.

- Rozstrzelają cię, mój stary, albo będą cię ciągnąć za koniem, przywiązanego do ogona. Widziałem już, jak to robią.

- Trzeba trochę poczekać, aż się uspokoi. Życie jeńca zawsze jest podczas wojny miłym okresem.

- To twoja broszka - rzekł z namysłem Porta. - Ja też wyglądam okazji do ucieczki na zachód od Donu.

- Ależ to - zawołałem - wierz mi, nigdy nie nastąpi. Nim przejdą dwadzieścia cztery godziny zamarzniecie na stepie, nawet wilk teraz tam nie chodzi. Te bestie teraz wchodzi do wsi, by atakować ludzi jak zwierzynę i już to robią, chociaż zima jeszcze nie jest taka ostra. Ale poczekaj, aż mróz będzie minus 50 stopni i wtedy będziesz mógł mówić o zimnie! Więc nie mazgaj się na temat obozu jeńców, ja ci to mówię.

Nadeszła w największym nieporządku kompania żołnierzy rumuńskich. Po długiej gadaninie zdecydowali towarzyszyć Fedlweblowi do Rosjan. Z naszych tylko dwudziestka odmówiła i ujrzelśmy, jak tamci znikają za pagórkiem. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co się z nimi stało.

Wmieszani w masę uciekających żołnierzy, uzbrojonych lub nie, chorych lub rannych, natknęliśmy się w Rotokinie na znajome twarze. Nasza kompania tam była i w godzinę później trzeba było odpierać atak rosyjski na białą broń. Natarcie zostało odepchnięte, ale zaczął się gwałtowny ostrzał artyleryjski i wydano nam rozkaz opuszczenia zajętej pozycji, by się wycofać na południe od Kotłubanu.

Rząd musi baczyć, aby naród nie zginął, pijany bohaterstwem.

Adolf Hitler, Mein Kampf

Dowódca 71. Dywizji Piechoty generał von Hartmann wydał rozkaz zbudowania koło Carycy podziemnej wioski. Dzieło zostało dokonane dzięki batalionowi 579. Pułku Saperów. Dwa tysiące rosyjskich cywilów, po części kobiet i dzieci, zostało wziętych do niewoli przez żandarmerię dywizyjną i skierowanych do ciężkich robót. 75% z nich zmarło z głodu i przepracowania. Wsieć otrzymała nazwę Hartmannsdorf.

W całej 6. Armii krążyły najbardziej bezsensowne plotki na temat luksusowej wsi. Bunkier generała, który jak mówiono składał się z czterech pokoi, został, jak twierdzono, umeblowany drogocennymi dywanami, żyrandolami i obrazami, pochodzącymi w całości z muzeów Stalingradu. 71. Dywizja Piechoty, wchodząc do miasta jako pierwsza, miała okazję rabowania wszystkiego, czego chciała.

W podziemnej wsi można też było ujrzeć młyn z dwoma silosami na ziarno, gospodarstwo drobiarskie zawierające 6 000 kur, oborę z 1 235 krowami, mleczarnię i piekarnię. Prócz tego stajnię na 138 rosyjskich koni czystej krwi. Każdego ranka generał i jego sztab dosiadali koni na przejażdżkę w okolicach Carycy. Gdy żołnierze, ciężko ranni lub umierający z głodu i tyfusu docierali do miasta, nie wierzyli własnym oczom.

Taki stan rzeczy trwał do połowy stycznia 1943, ale do tej pory 71. Dywizja stopniała jak masło na patelni i to właśnie w tym momencie generał Hartmann zdecydował dokonać natarcia na pozycje rosyjskie. Nie jego obciążała odpowiedzialność za tylu zabitych, lecz rozkazy, które otrzymał z góry.

- Generał dywizji - oświadczył Hartmann - jest tylko pionkiem w wielkiej grze.

Rozdział 10

Samobójstwo generałów

Hauptmann Glaser dał im znak by podeszli, choć były rozkazy strzelania do parlamentarzysty rosyjskich. Major rosyjski z dwoma podoficerami po bokach był człowiekiem wysokim na dwa metry, żółte galony na jego piersi lśniły w zimowym słońcu, twarz zdawał się mieć stalową, a jego niebieskie oczy były równie bezlitosne, jak rosyjska zima. Jeden z podoficerów cisnął nam biały worek, wypełniony żywnością.

- Prezent od rosyjskiej 3. Gwardyjskiej Dywizji Pancерnej. Mam rozkaz, by zaproponować wam kapitulację. Ta propozycja ważna jest do godziny 18.00; w razie jej odrzucenia masowe natarcie, wspierane przez czołgi, nastąpi około północy. Rozumie pan, Herr Hauptmann, co to oznacza.

Nie tylko Hauptmann rozumiał sens tych słów, ale i my wszyscy. Zresztą nie było to zbyt trudne.

- Od wybicia północy nie będziemy już brali jeńców i nikt już nie będzie mógł mieć nadziei na poddanie się - dodał z uśmiechem major.

Hauptmann Glaser potrząsnął głową, on też rozumiał bardzo dobrze. Był to koniec Fortecy Stalingradzkiej w taki czy inny sposób.

- Jeśli propozycja kapitulacji zostanie przyjęta - kontynuował major - każdy żołnierz dostanie racje jednostek bojowych rosyjskich. Chorzy i ranni otrzymają pomoc. Wiemy, że brak wam wszystkiego.

Utworzyliśmy kółko wokół parlamentarzysty, a Porta już negocjował transakcję: papierosy narkotyczne za opium. Pewne pornozdjęcia zmieniły właścicieli, oczywiście zdjęcia pod gwarancją prywatne.

- My mamy wszystko - powiedział jeszcze Rosjanin. - Przyjmijcie propozycję, a będziecie traktowani jak żołnierze. A to nie jest takie złe, sami zobaczycie.

- Propozycja zostanie przekazana na szczebel dywizji.

- Miejmy nadzieję, że wasz generał von Hartmann okaże się rozsądny.

Rosjanie odeszli, a Hauptmann Glaser udał się do dywizji, koło linii kolejowej przed Orłówką. Wokół stołu z heblowanych desek zasiadała grupa generałów: generał Pfeffer, generał von Hartmann dowodzący 71. Dywizją Piechoty, popędliwy generał Stempel dowodzący 176. Dywizją Piechoty, i Oberst Crome, szef sztabu 4. Korpusu Armijnego.

- W moim przekonaniu - oświadczył generał von Hartmann - my, oficerowie

niemieccy, mamy tylko jeden obowiązek: trwać aż do końca, a potem popełnić samobójstwo. To byłby bardzo piękny koniec.

- A co z żołnierzami, za których jesteśmy odpowiedzialni? - Zapytał Oberst Crome, który mając osiemnaście lat zdobył gwiazdki Oberleutnanta pod Arras, na czele drużyny szturmowej.

Miał na szyi wstęgę Pour je Merite, a cztery szeregi odznaczeń zdobyły mu pierś.

- A nasi żołnierze? - Pytał uparcie.

Gdyby obecni tam generałowie mieli jakieś wątpliwości co do jego myśli, powinien być zostać na miejscu rozstrzelany.

- Crome - odezwał się generał Pfeffer - my, dowódcy nie mamy prawa myśleć o żołnierzach, ale jestem przeciw samobójstwu. Nie pomylcie się, to nie ze strachu. Proponuję coś wręcz przeciwnego: zaatakujmy na bagnety na czele piechoty. To wzbudzi podziw przyszłych pokoleń. W Niemczech nie ma ani jednego pomnika ku czci generałów szarżujących z bagnetami na broni, my będziemy pierwsi i ten pomnik zostanie wzniesiony dla nas.

- Znakomicie! - Wykrzyknął generał Stempel. - Taki koniec powinien nas spotkać i wydam odpowiednie do tego rozkazy. Pójdziemy z obnażonymi szablami za dobozami i trębaczami. Panowie, proponuję, abyśmy włożyli nasze paradne mundury, te same, które przywieźliśmy tu na obchody zwycięstwa. Ponieważ Bóg nam odmawia tego zwycięstwa, te mundury będą naszymi całunami chwały.

Dokładnie w tej chwili przybył Hauptmann Glaser. Któryś Feldwebel rzucił na stół worek żywności, podarowanej przez Rosjan.

- Generał Woronow z 3. Gwardyjskiej Dywizji Pancерnej proponuje honorową kapitulację - powiedział. - Rosjanie pragną powstrzymać ten daremny rozlew krwi. Stąd wynika propozycja honorowej kapitulacji. Oficerowie zachowają broń boczną, ranni i chorzy otrzymają pomoc zgodnie z przepisami rosyjskiej służby medycznej.

- Co zawiera ten worek? - Spytał z obrzydzeniem generał Stempel.

- Kielbasy i chleb. Parlamentariusz rosyjski prosił mnie, bym poinformował dowódców Armii, że warunki kapitulacji pozostają w mocy do godziny 18.00. Około północy trzeba więc będzie oczekiwać masowego natarcia, a Rosjanie nie będą brać jeńców.

W bunkrze zapanowała śmiertelna cisza. Następnie generał Pfeffer walnął w stół swą trzcinką dowódcy i ryknął na całe gardło: - Jak śmie pan przekazywać nam takie propozycje! Kapitulacja! 4. Korpus otrzymał rozkaz utrzymania odcinka południowo-zachodniego i będzie go utrzymywał póki jestem przy życiu! Będziemy się bić do ostatniego człowieka i

ostatniego naboju! - Ryczał z oczami nabiegłymi krwią.

Von Hartmann diabelskim wzrokiem przyglądał się Hauptmannowi Glaserowi.

- Kapitulacja! - Syknął przez zęby. - Ośmiela się pan kapitulować przed tymi rosyjskimi podludźmi!

- Nie wchodzi w rachubę - oświadczył dumnie Stempel. - Jesteśmy pruskimi oficerami, nawet jeśli chwilowo dowodzi czeski kapral. Nie poddamy się, raczej śmierć. - Uderzył Hauptmanna Glasera trzcinką w pierś. - A poza tym jak to się stało, że miał pan śmiałość przyjęcia rosyjskich parlamentariuszy? Czyżby nie znał pan rozkazów Naczelnego Dowództwa? Strzelać do wszystkich parlamentariuszy nieprzyjacielskich?

- Tak, Herr General, to prawda - wybełkotał Hauptmann Glaser - ale myślałem...

- Pan myślał? Pańskim obowiązkiem oficera jest wykonywać rozkazy? Zrozumiano? A więc mamy do czynienia z sabotowaniem rozkazu. Przyjął pan parlamentariuszy nieprzyjacielskich i wbrew rozkazom nie strzelał pan do nich.

Generał Pfeffer pochylił się nad stołem i przyjrzał się złośliwym wzrokiem Hauptmannowi Glaserowi.

- Dobrze. Rozumie pan, co to oznacza. Hauptmann! Bacność! - Generał włożył swą wygalonowaną złotem czapkę. - W imieniu Führera i w imieniu narodu niemieckiego zostaje pan skazany na rozstrzelanie za sabotowanie rozkazów, ponieważ nie strzelał pan do nieprzyjacielskich parlamentariuszy.

Generałowie zaszalutowali. Takie były przepisy. Żelazna dyscyplina, żadnej czułości. Stara tradycja pruska w duchu Fryderyka Wielkiego. Oberst Crome rozbija Hauptmanna Glasera, wezwano straż. Mija kilka minut... Trzaska salwa. Na brudny śnieg pada trup podziurawiony kulami, nad którym czuwa błydy księżyc. Grupa żołnierzy zmęczonych i wygłodzonych obojętnie wraca, brnąc w śniegu. Są zbyt zmordowani, by przejmować się śmiercią. Zabija się, by nie zostać zabitym.

- Ale mimo wszystko trzeba coś zrobić - mówi Oberst Crome, bębniąc po stole.

- Oczywiście. Trzeba coś zrobić.

Generał Stempel chwyta aparat telefoniczny i wydaje swej dywizji rozkaz natarcia na pozycje rosyjskie.

- Atakujcie Rosjan za wszelką cenę! - Krzyczy do mikrofonu.

- Jeśli chcesz zaatakować Iwana, zrób to sam, dupo jedna! - Odpowiada kwaśny głos i ktoś przerywa połączenie.

Stempel jeszcze nie zdał sobie sprawy, że jego dywizja liczy teraz 60 ludzi, dowodzonych przez Oberleutnanta. Głos należał do Feldwebela służby czynnej, który rok

później był majorem Armii Czerwonej.

Stempel zbladł jak trup i zataczając się wyszedł z bunkra. Jego ordynansi pomogli mu włożyć paradny mundur: perłowo-szare spodnie z lampasami barwy krwawej czerwieni, kurtka zielona ze złotymi galonami. Dał się posadzić na swym łóżku i przywołał dwóch oficerów ordynansowych, którym podyktował ostatnie linijki swego dziennika.

„Moja dywizja mnie zdradziła, wybieram więc śmierć. Nie ma innego wyjścia. Niech żyje Führer, niech żyją Wielkie Niemcy. Wiem, że nie na darmo zginiemy w Stalingradzie. Historia odda nam sprawiedliwość”.

Włożył do ust lufę rewolweru i nacisnął spust. Oficerowie ordonansowi zasalutowali ze łzami w oczach.

W dwie godziny później grupa generałów posuwała się po stepie pokrytym śniegiem; błyszcząca złota pasmanteria, szerokie, czerwone otoki odcinały się ostro na ogromie bieli.

- Idzie o to, by wziąć się w garść - orzekł Porta dostrzegłszy oficerów. - Rezerwy wchodzą do linii. Jeśli Iwan zda sobie sprawę, że ci wygalonowani imbecyle atakują, ładnie zacznijcie nas polewać!

- Nic dobrego z tego nie wyniknie - mruknął Stary. - Nigdy nie wiadomo, gdzie się znajdzie z waźniakami.

Oberleutnant Keit, świeży absolwent Szkoły Wojennej, stuknął obcasami przed generałem von Hartmannem.

- Herr General, 71. Dywizja Piechoty 3 oficerów, 18 podoficerów, 209 szeregowych.

- Dziękuję, przyjacielu, dziękuję - przerwał mu generał von Hartmann. - Pan i pańscy ludzie teraz postarajcie się zginąć jak prawdziwi niemieccy bohaterowie.

- Zum Befehl, Herr General - odparł Oberleutnant, prostując się dumnie.

Generałowie weszli na środek ziemi niczyjej zupełnie nie troszcząc się o niebezpieczeństwo.

- Ześwirowali! - Mruknął Porta. - Czy nie wiedzą, że tu się roi od strzelców wyborowych? Mimo wszystko powinni sobie z tego zdawać sprawę, choć zawsze siedzą zakopani w swoich norach.

Generał von Hartmann opuścił karabin, który trzymał na ramieniu jak fuzję myśliwską. Jego brutalna twarz nie zdradzała najmniejszego niepokoju. Ze wszystkich stron widać było żołnierzy, ostrożnie podnoszących głowy; trzeba było przyznać, że scena nie była banalna. Generałowie na pierwszej linii!

- Ukryjcie się wszyscy! - Rozkazał generał. - To my się bijemy.

Załadował swój karabin i wystrzelił stojąc. Rosyjski żołnierz podskoczył do góry. W

ciągu pięciu minut generał von Hartmann uzyskał pięć trafień ze zwykłego karabinu.

- No to brawo! - Skomentował Porta tonem konesera. - Całkiem nie wiedziałem, że wyżsi oficerowie tak dobrze strzelają z broni dla prostych żołdaków!

U boków von Hartmanna trzymali się generał Pfeffer i generał Wultz, dowódca artylerii. Strzelali do wszystkiego, co się pokazywało; widziano nawet jak Wultz wybucha śmiechem kładąc trupem rosyjskiego żołnierza.

Ale wokół generałów śnieg zaczął podskakiwać od serii maszynowych; tylko oni zdawali się niczego nie zauważać i dyskutowali o kolejnych trafieniach tak spokojnie, jak na polowaniu. Von Hartmann miał już na swym rozkładzie 26 ofiar, Wultz 9, przodował Pfeffer z 31.

Od ponad miesiąca radio niemieckie twierdziło, że generałowie biją się ramię w ramię z żołnierzami. Bóg jeden wie, jakeśmy się z tego naśmiewali! I oto okazało się to prawdą... Co za sensacyjna nowina!

Generał von Hartmann pierwszy padł z jękiem, podniósł się z trudem, oparł karabin o udo i wystrzelił. Trafił jeszcze swą ostatnią ofiarę, ale granat wybuchł tuż przed nim i odrzucił go w tył jak zwiniętą w kłębek szarą masę.

Generał Pfeffer padł do przodu jak deska, z głową spoczywającą na skarpie okopu, ale jego wygalonowana złotem czapka potoczyła się daleko przed niego i podniósł ją jakiś Rosjanin końcem bagnetu. Nie co dzień zdobywało się czapkę generalską. Trzeba było pójść po śmiertelnie ранego generała Wultza, co kosztowało kulkę w udo szeregowca Borchy. Oberleutnant Keit poprosił o dwóch ochotników do przyniesienia ciał pozostałych generałów, nikt się nie zgłosił.

Po co ryzykować własną skórę dla martwego ważniaka? Od dawna nikt się na to nie nabiera. A jeśli nazwą nas tchórzami, to nam obojętne. Oberleutnant musiał więc to zrobić osobiście wraz z jednym Feldweblem. Pocisk karabinowy powalił Feidwebla i w nocy poszliśmy po jego ciało.

Rano nastąpił zapowiedziany przez parlamentarzysty atak.

T 34 nadeszły w zwartym szyku i obróciły naszą pozycję w proch. Za czołgami mur piechurów z bagnetami na karabinach i z pistoletami maszynowymi. Z 16. Dywizji Panczernej zostały tylko strzepy, z jedynej dywizji 4. Korpusu jeszcze istniejącej. A nowe jednostki rosyjskie nie przestawały przekraczać linii kolejowej.

Nieliczni ocaleni, do których i my należeliśmy, skakali od dziury do dziury ociekając potem, załamując się ze zmęczenia pod ciężarem uzbrojenia. Granaty zdawały się ważyć tonę, rzemienie piłowały zbolące ramiona. Z rozpachy rzucam się na ziemię, straciłem stalowy hełm

zmiażdżony gąsienicami. Zanurzam twarz w śniegu.

- Jazda, wstawaj! - Potrząsa mną Gregor. - Zmęczyło cię życie? Wstawaj, powtarzam!

Przez kawałek drogi niosę karabin maszynowy, moje nogi idą same automatycznym ruchem. Zajmujemy miejsce za wydumą śniegową, odrzut broni boleśnie uderza nas w ramiona, ale Sybiracy wahają się przez chwilę.

- Zmywajmy się! - Ryczy Gregor, bijąc mnie po plecach.

Za nami ryczą T 34, armaty grzmia, wybuchy granatów rozrzucają oderwane kończyny. Wskakujemy do pierwszej lepszej dziury, ale jeden z białych potworów zbliża się z ogromną szybkością... Zatrzymuje się, armata obraca, strzela, czujemy powiew pocisku... Ale potwór nadal porusza się ku nam! Czy ja płaczę? Czy ja krzyczę? Nic już nie wiem. Strach mnie paraliżuje. Spod szerokich gąsienic tryska śnieg, zmrożona ziemia drży pod tonami stali, zbliżającej się z szaloną szybkością. Trzeba by wyskoczyć z dziury, ale jesteśmy tak skamieniali, że wpatrujemy się błędnym wzrokiem w potwora, który robi z nas papkę.

Gregor ściska mi dłoń i przytulamy się do siebie jak dwójka przerażonych dzieci. Tym razem to koniec. Czołg jest ledwie o dziesięć kroków i w tej samej chwili słońce znika w zimowym mroku. Gryzę sobie wargi aż do krwi patrząc na brzuch czołgu. Przerażające krzyki rozlegają się z sąsiedniej dziury. Ten brzuch zbliża się powoli. Tym razem to nasza kolej. W ułamku sekundy odrywam od mego pasa minę magnetyczną, a Gregor rzuca nią w brzuch potwora, tuż koło siedzenia kierowcy. Kulimy się na dnie dziury, zaciskając dłonie na uszach i prosząc Boga, aby mina przywarła... Gąsienice zdają się zagłębiać coraz bardziej i nagle ogłuszająca eksplozja, morze płomieni! 26 ton stali zostaje wyrzucone w powietrze i spada deszczem szczątków.

Następny T 34. Mija nas. Ale jest tak blisko, że prawie możemy go dotknąć. Nogi w khaki biegną za nim, to rosyjska piechota. Para nóg zatrzymuje się koło nas i dostaję bolesne kopnięcie w brzuch. Ale nie ruszam się bardziej niż jakiś trup; podkuta podeszwa przechodzi po karku Gregora, którego głowa wbija się w śnieg.

- *Czort wozmi!* - Ryczy rosyjski żołnierz i galopem odbiega.

Ale co nam szkodzą najgorsze przekleństwa? Ogarnia mnie szaleństwo, szaleństwo, które Gregor uspokaja uderzeniami pięści. W Stalingradzie atak nerwowy nie jest na miejscu. Wszędzie krępe postacie, szerokie twarze, skośne oczy, Sybiracy. Gdy jeden z naszych podnosi rękę, pluje pistolet maszynowy.

„Nie będzie brać się jeńców”.

Generałowie, którzy mogli nas ocalić, nie żyją, nie wiedzą co to zimno, co to szarpiący wnętrzości głód, nie wiedzą o gąsienicy T 34 nad głową, o zimnie odbierającym oddech,

ostrym jak stal, palącym płuca, o strasliwym bólu odmrożonej nogi, pożeranej gangreną.

To ludzie z Syberii biegną ku nam i dobrze ich widzimy: watowane mundury, wielkie czapki z brązowego futra nad twarzami sinymi od mrozu. Biegną ciężkimi krokami, jakby chłopi siejący zimą, ale to, co trzymają w rękach, to nie torby z ziarnem, to pistolety maszynowe, których lufy groźnie błyszczą. W ich uszach brzmi jeszcze okrzyk Ilii Erenburga: „Zabijajcie, czerwonogwardziści! Żaden Niemiec nie jest niewinny, ani ten, co żyje, ani ten, co ma się narodzić. Zniszczcie na zawsze tę fanatyczną rasę. Zabijajcie, czerwonogwardziści! Do ataku!”

Jak oszalały rozstawiam mój karabin maszynowy, strzelam, strzelam... Broń szybko połyka długą taśmę. Ale niewysocy, smagli ludzie zatrzymują się jak wryci, z oczami okrągłymi z osłupienia. Nie myśleli, że będą umierać w samym środku zwycięstwa.

Największy nawet wróg Hitlera nie może mu zaprzeczyć korzyści, jakie już odniosła odnowiona cywilizacja.

„The Times”, Londyn, 24.7.1933

Jak człowiek śmiertelnie pijany, Oberstleutnant, zataczał się idąc, rzadkie, siwe włosy zwisały mu kosmykami na czole, z rany na twarzy płynęła krew, jeden z jego złotych naramienników znikł, a ręce miał związane za plecami drutem kolczastym. Za nim szli: jeden Oberleutnant, jeden Major i jeden oficer-płatnik z podobnie związanymi rękami.

Grupa esesmanów z karabinami pod pachą lajała skazańców, a na ich furazerkach światło księżycy wysrebrzało ponurą trupią główkę. Na środku placu wznosił się dąb, a pod dębem, gdzie ustawiono cztery krzesła, paru sennych żołnierzy wyciągniętych z chat tworzyło dwa szeregi.

Sturmbannführer SS zwrócił się do czterech oficerów, którzy mieli umrzeć.

- Tchorze, jeśli macie cokolwiek do powiedzenia, róbcie to szybko, nam się spieszy. Oberstleutnant drżał jak gałzka podczas burzy.

- Jestem niewinny, wierzcie mi! Wykonywałem tylko mój obowiązek i nigdy nie chciałem nic innego, jak wykonywać go należycie.

- Z pewnością! - Zadrwił esesman. - Należycie dla siebie, ale nie dla Führera. A ty, salonowy wojownik - zwrócił się do Majora, który wpatrywał się w niego z zimną nienawiścią w niebieskich oczach - ty również wykonywałeś twoje obowiązki?

- Potwory! - Syknął Major. - To wy, bandyci, jesteście prawdziwymi wrogami Niemiec, bando morderców!

- Gotowi! - Ryknął esesman, pobladłszy jak ściana.

Zmuszono skazańców by weszli na krzesła, doświadczone dłonie założyły im na szyje pętle, a potem sznury naciągnięto. Wysoki na dwa metry Oberscharführer poprzewracał krzesła kopnięciami, cofnął się o krok i z satysfakcją przyjrzał się swemu dziełu. Ten Gustaw Kleinkampf był słynnym katem, który chlubił się światowym rekordem w wieszaniu. Był to najlepszy ze „Specjalnych” w oddziałach strażników obozów koncentracyjnych Gruppenführera SS Teodora Eicke, geniusza w sprawach egzekucji. Kazał napisać na pojazdach swej dywizji „Nie chcemy więźniów, chcemy trupów”, zdanie, które zachwyciło Eickego, ale nie jego naczelnego dowódcę generała Modela, który zażądał, aby zdanie natychmiast starto.

Model był jedynym generałem, przed którym Eicke odczuwał śmiertelny strach. W całej 3. Armii Panczernej krążyły pogłoski, że pewnego dnia Eicke, cierpiąc jakoby na

zwężenie jelita, dolegliwość, którego żaden lekarz nie zdołał wykryć, udał się do sztabu Modela. Pięć minut rozmowy z małym generałem o wielkim monoklu wystarczyły, aby pozbyć się sławetnego zwężenia.

- Oto więc nasz dowódca i jego sztab powieszeni jako zdrajcy! - Krzyczał Sturmbannführer do sennych piechurów. - Taki los czeka wszystkich, którzy nie będą walczyć o każdy centymetr kwadratowy terenu zgodnie z rozkazem Führera! Zrozumiano?

W wielkiej ciężarówce, która zatrzymała się na miejscu egzekucji, można było dostrzec sylwetkę Teodora Eickego z 2. Korpusu Pancernego SS. Dnia 26 maja 1940 popełnił swą pierwszą zbrodnię wojenną, kazawszy rozstrzelać 100 brytyjskich jeńców wojennych na pewnej farmie w Belgii. Generalfeldmarschall Busch zrobił mu straszliwą scenę za to fatalne złamanie Prawa Narodów i postawił potwora przed sądem wojennym. Ale wmieszał się Himmler. Choć nie czuł żadnej sympatii do dowódcy swej ochrony, nie chciał, aby honor SS został splamiony.

- Boże! - Zawołał - taka awantura o tych Anglików! A poza tym co oni robili na froncie? Powinni byli zostać na swej wyspie.

Rozdział 11

Pewnego 25 grudnia

Od pięciu dni nad Wołgą szalała burza śnieżna. Była to straszliwa burza, wiejąca od Kazachstanu. Nadleciała z bardzo daleka, z serca Azji, a przelatując nad stepem wiatr nabierał szalonej szybkości. Ten wiatr pracował dla Rosjan, a kazachstańska burza niosła śmierć.

Kuliliśmy się w bunkrze na brzegu Wołgi słuchając burzy: twarze szare i wymęczone pod pomalowanymi na biało stalowymi hełmami. Byliśmy głodni. Od bardzo dawna.

Marszałek Goering obiecał Hitlerowi, że 6. Armię będą zaopatrywać samoloty, ale mówił o samolotach, które już nie istniały. Czy miał nadzieję, że aniołowie mu pomogą? To była jedyna pomoc, na którą mógł liczyć, ale w tej chwili Bóg zdawał się być po stronie Czerwonych, a zacięty antykomunista z Londynu, Churchill, przyjaźnił się z ludźmi z Kremla po to, aby wyciągali kasztany z ognia, a nie jego rodacy.

„STALINGRAD JEST ZBIOROWYM GROBEM. CO MINUTĘ UMIERA JEDEN ŻOŁNIERZ NIEMIECKI” ryczały wzdłuż całego frontu radzieckie megafony. Owszem, umierano, ale nie w boju. Umierało się nędznie z głodu i z zimna, padało się trupem wlokąc jakąś drogą; chowało się w jakiejś dziurze na stepie mruczając jakieś niezrozumiałe słowa i umierało; opierało się o zmrożoną lufę czołgu bez benzyny i umierało, wślizgiwało się do bunkra, by ukryć się przed burzą i umierało. Dowódca kompanii, oparty o przedpiersie okopu, wydawał ostatnie rozkazy i umierał.

„STALINGRAD JEST ZBIOROWYM GROBEM. CO MINUTĘ UMIERA JEDEN ŻOŁNIERZ NIEMIECKI”. Krąży wskazówka sekundnika. Stalingrad jest zbiorowym grobem, co minutę umiera jeden żołnierz niemiecki.

Gdy nasza umierająca z głodu grupa była bliska załamania, Porta zarzucił na ramię rosyjski karabin z bagnetem, dawał znak Małemu, wciskał pod pachę stary, jutowy worek i widzieliśmy, jak bez hałasu znikają na zoranej ziemi niczyjej. Wystarczająco sprytni, by uniknąć żandarmów, szukających zwierzyny do rozstrzelania, zawsze wracali z czymś w worku. Często z trochę nadgniętymi końskimi gnatami, ale jeśli umie się takie rzeczy przygotowywać, robi się z nich zupę, pozwalającą przetrwać. Pewnej nocy wrócili z 37 puszkami konserw i połową kaczki, zwędzonymi Ruskim. Oczywiście nie zamierzali iść do nich po zaopatrzenie, ale przypadek zaprowadził ich do domu w Spartakowie i ten posiłek kosztował nas dwóch zmarłych - ci padli od niestrawności.

- Śmieszne życie - filozofował Porta. - Albo wyciąga się kopyta, ponieważ nie ma

niczego, by sobie wsadzić do brzucha, albo kopie się w kalendarz, bo wsadziło się za dużo!

Nasz bunkier trząsał się od strasznego ostrzału artyleryjskiego. Śmierć zmiatała wszystkie pozycje niemieckie wzdłuż frontu na Woldze. Kota 102, zmieniona w wulkan, ulotniła się w płomieniach i dymie, ci zaś, którzy nie zdołali znaleźć schronienia, zostali wyrzuceni z dziur i okopów jak suche liście. Większość udusiło ciśnienie powietrza, inni prostowali się, majaczyli i padali jak śmiertelnie pijani. Jeszcze inni wariowali i pod deszczem granatów biegali w swych długich płaszczach, śmiejąc się jak szaleni.

Nie byliśmy już pułkiem, ledwie kompanią, ostatnim odpadkiem frontu, nieopisaną mieszaniną wszystkich rodzajów broni.

Od niedawna przyłączył się do nas Unterscharführer SS i wyczerpany rzucił się na łóżko, co doprowadziło Portę do wściekłości. To łóżko było jego osobistą własnością, znalazł je pewnego dnia w opuszczonej willi i od tej pory nosiliśmy je wszędzie. Porta wynajmował je na godziny.

- To moje łóżko, braciszku i nie zdaje mi się, byś je wynajął! Zdejmij go stamtąd - powiedział do Małego, który podniósł esesmana jak piórko i rzucił na ziemię.

Unterscharführer spojrział nienawistnym wzrokiem, zwinął się w kłębek na ziemi i natychmiast zasnął, z rewolwerem w dłoni.

Nagle drzwi naszego schronienia ktoś otworzył gwałtownym kopnięciem. Ukazał się generał SS w długiej pelerynie, z pistoletem maszynowym pod pachą. Twarz sina pod futrzaną czapką, nogi rozstawione pośrodku pomieszczenia, wpatrywał się w każdego z nas po kolei. Potem znów kopnął, tym razem stalowy hełm, który posłał w stronę czyjejs głowy.

- A więc, fajtlapy jedne? Chyba nie wyobrażacie sobie, że będziecie żyć wiecznie? Kto jest najwyższy stopniem?

- Brigadenführer! Oberfeldwebel Beier z 27. Pułku Pancernego - powiedział Stary. - Obecni: 1 Oberfeldwebel, 7 podoficerów, 43 szeregowych. Uzbrojenie: 1 granatnik, 2 cekaemy, 6 elkaemów, 1 miotacz ognia. Ilość amunicji niewiadoma.

- Nie wiecie więc, że ilość amunicji musi być w każdej chwili wiadoma? - Nie czekając na odpowiedź Starego, generał kontynuował: - I jak to się dzieje, że jesteście tutaj? Gdzie jest wasz pułk?

- Brigadenführer, pułk już nie istnieje - odpowiedział Stary. - Został całkowicie zniszczony. Ci, którzy nie są martwi, są jeńcami.

- Skąd przyszedł ten Unterscharführer SS? - Spytał generał, pokazując esesmana.

- Brigadenführer, melduje się Unterscharführer Krahl z wyborowego pułku pionierów.

- Więc wracajcie do swego batalionu, tu nie macie nic do roboty.

- Musi się pan mylić, Brigadenführer - zaśmiał się szyderczo esesman, robiąc wymowny gest na gardle. - Nasze towarzystwo bohaterów dało się okrążyć tam, gdzie Rynok i kolesiom z naprzeciwka wystarczyło pół godziny, by je zlikwidować. Ja udawałem trupa i jestem ostatni z oddziału.

- Podnieście się, Unterscharführer, gdy mówicie do oficera! W jaki sposób uciekliście z waszej drużyny, zdecyduje sąd wojenny. Na razie zostajecie ze mną, wy i inne świnię, do których przyłączyliście się. Informuję, że pierwszy, który będzie chciał zwiać, zostanie powieszony na najbliższej gałęzi. Książeczki wojskowe! - Rozkazał, wyjmując z kieszeni wielkie, czarne cygaro.

Julius Heide służalczo pospieszył, by mu podać ogień.

- Gdzie opuściliście wasze pozycje? - Spytał generał, który śledził spojrzeniem Starego, równocześnie rozkładając mapę na łóżku Porty.

- Koło Kotłubania, Brigadenführer.

- Kotłubania! - Mruknął generał. - Zaznaczył kilka punktów na mapie. - Oberfeldwebel, tu jest Kotłubań, a tu jest radziecki pułk gwardyjski. Wasz pułk znajdował się koło Lasu Tatarskiego, plecami do Wołgi, tak?

- Jawohl, Herr General. Należeliśmy do 16. Dywizji Pancerniej, której pozycja kończyła się na północnym narożniku Kotłubania.

- Zaiste - oświadczył bardzo sceptycznie esesman. - Wobec tego zechcicie mi wyjaśnić, w jaki sposób zdołaliście przejść przez pozycje pułku gwardyjskiego, bo nie przypuszczam, byście mieli specjalne paszporty, podpisane przez radzieckiego generała? Czy nie wynika z tego natychmiast wniosek, że wasi ludzie dali dęba?

- Brigadenführer - odrzekł Stary, zagryzając wargi - u nas nikt nie daje dęba. To zostawiamy panom oficerom. Nasz dowódca plutonu, Oberleutnant Reiniger z 79. Dywizji Piechoty, który otrzymał dowództwo naszego pułku, jest jedynym, który dał dęba. Uciekł do Rosjan, ujawniając nasze pozycje komisarzowi 736. Pułku Syberyjskiego, i wiemy, że...

- Milczeć! - Ryknął generał, wymierzając Staremu policzek rękawiczką.

Unterscharführer SS, pijany wściekłością, rzucił się na generała z wymierzonym bagnetem.

- Drań! - Krzyczał, owładnięty nagłym szałem.

Chwytem judo generał posłał go na ziemię, wyciągnął rewolwer i zabił go dwoma strzałami.

- Czy są tu jeszcze inni, którym życie zbrzydło? Niech wystąpią!

W naszych oczach błyszczał mord, nienawiść nas dławiła, ale od zbyt dawna byliśmy

pruskimi niewolnikami, by działać. To był generał, bóg, który mógł robić z nami wszystko, czego zechciał.

- Wziąć broń! Gęsiego za mną!

Zajęliśmy pozycję wzdłuż linii kolejowej Stalingrad-Pitomnok. Bez żadnych formalności generał SS podporządkował sobie baterię 88 mm, z której trzej ostatni ocaleni zostali wcieleni do naszej grupy, a potem zaczęło się czekanie... Czekanie... Mróz był straszliwy, ale generał nas beształ nieustannie; uszy ukrył sobie w kołnierzu z nerek.

O zmroku były! T 34... Wspinały się na nasyp jak wielkie, białe pluskwy, a potem przekroczyły linię kolejową nie napotykając oporu. Nasi piechurzy uciekli ze swych dziur i teraz wyglądali, jak małe, szare punkciki na niepokalanym śniegu. Ale pluskwy na gąsienicach rycząc doganiały ich i miażdżyły, wielkie lufy armatnie kiwały się jak palce, wystające z niskich wieżyczek, podobnych do zaciśniętych pięści. Łańcuchy zgrzytały. W chmurze śniegu czołgi zjeżdżały w zwartym szyku z torowiska.

Skuleni za naszymi zamaskowanymi armatami 88 mm czekaliśmy. Pierwsze czołgi są od nas o 800 metrów i zadają sobie wiele trudu, by rozjeżdżać kilku nieszczęsnych, rozproszonych piechurów. Oczekiwanie w chwili natarcia czołgów jest czymś przerażającym. Trzeba mieć stalowe nerwy, by wytrzymać za baterią przeciwczołgową. Jeśli nie trafi się w cel, to bez żadnego gadania śmierć. W otwartych kłapach wieżyczek widać wychylających się dowódców czołgów, którzy wyraźnie nie oczekują żadnego oporu.

- Ognia! - Komenderuje Stary.

Cztery armaty ryczą jednocześnie. Pierwsze T 34 podskakują z gromowym hukiem i teraz strach, przeraźliwy strach już znikł. Już nie czuje się zimna, ruchy powtarzane tysiąc razy stają się automatyczne, armaty grzmia, czołgi cofają się, płomienie wytryskują z wieżyczek, stopiony metal tryska kulami ognia w niebo, ludzie zmieniają się w czarne mumie. Taka jest śmierć żołnierza czołgisty. 19 nadjeżdżających T 34 pada w ten sposób ofiarami płomieni i w szare niebo wznosi się ogromny grzyb, czarny jak atrament.

Chwila wytchnienia. A potem nadchodzi nowa fala T 34, tym razem prosto na baterię. Nasze armaty strzelają z rozpaczliwą energią, teraz to oni albo my, ale amunicja się wyczerpuje.

Tym razem Rosjanie wytropili baterię i posuwają się wolno, w deszczu pocisków, pojedynek na śmierć i życie osiągnął punkt szczytowy. Siedemnastoletni artylerzysta skręca się na śniegu, trafiony w kręgosłup, a krzyki jego bólu niemal zagłuszają odgłosy wystrzałów, ale nikt już nikomu nie przychodzi z pomocą. Nie ma na to czasu! Raz po raz język żółtych płomieni oznacza, że któryś olbrzym nadal jest w stanie nam szkodzić i potwory znów

przekraczają nasyp.

Nasi piechurzy uciekają, kładą się za baterią, gdzie jak sądzą są bezpieczni. Nieszczęśni! Uciekają z jednego piekła do drugiego. Tutaj pociski artyleryjskie padają z najwyższą dokładnością. Pojedynek staje się coraz gwałtowniejszy. Nie jesteśmy już ludźmi, lecz maszynami, automatycznie wykonującymi swe piekielne zadanie. Wrzaski rannych mieszają się z ochrypłymi rykami esesmanów.

Gruby Paul z Kolonii pada z przebitą piersią; Obergefreiter Duval z Sauerlandu wali się na śnieg, mając oderwaną rękę; Unteroffizier Scheibe z Wuppertalu ma dwie nogi odcięte na wysokości kolan; granat artyleryjski zmienia strzelca Weissa z Wrocławia na nieopisaną papkę. A czołgi zbliżają się bez przerwy.

Bezpośrednie trafienie w armatę Gregora rozwała ją, długa lufa wylatując w powietrze odcina głowę ładownicemu, którego ciało jeszcze przez chwilę stoi wyprostowane, z krwią tryskająca jak z fontanny. Gregorowi puszczają nerwy. Śmieje się, śmieje się jak wariat, ocierając zalaną krwią twarz, a potem pada na kolana i całym jego ciałem wstrząsa łkanie.

Nagle czołgi skręcają na południe, ich ryk oddala się, własnym oczom nie wierzymy! Czemu odjeżdżają? Bitwa prawie się skończyła, a my zostajemy na miejscu, milczący, osłupiali, nadal żywi! Pośród skrwawionych trupów, które już sztywnieją w przeraźliwym zimnie.

Wszystko wokół mnie się kręci, dymy saletry palą płuca i, nie mogąc nawet ruszyć palcem, przyglądam się żołnierzowi piechoty morskiej, bandażującemu Legionistę, który oberwał w czoło odłamkiem granatu. Niezwykłe szczęście! Tym razem wyjątkowo miał na głowie hełm, gdyby nie to, zostałby oskalpowany.

Ale widzimy podbiegającego generała SS, przedzierającego się przez śnieg wraz z paru milczącymi żołnierzami.

- Wysadźcie armaty w powietrze. Zbiórka tam, w wąwozie.

Zakładamy ładunki dynamitu. Porta zapala lont i maszerujemy na punkt zborny. Z pewnej odległości słyszymy grzmot potwornej eksplozji, bateria znika i za kilka godzin śnieg wszystko przykryje.

Jest 38 stopni poniżej zera, morderczy wiatr zamiata śnieg i policzkuje nas kryształkami lodu. Gdziekolwiek spojrzeć, widać tylko zeszywniałe ciała, z rękami i nogami uniesionymi ku czarnemu niebu. Przed naszą żalostną kolumną maszeruje generał milczący i zły. Gdy wiatr unosi połę jego długiego płaszcza, ukazują się białe klapy munduru SS. Był obłąkany Już od dawna zdaliśmy sobie z tego sprawę: to szaleniec, który szuka śmierci w boju i wyraźnie chce zabrać ze sobą w śmierć największą liczbę żołnierzy, jaką zdoła.

Wchodzimy do okopu przed zakolem Wołgi, u stóp pagórków, tworzących coś w rodzaju trójkąta. Ale z naszego miejsca widać długie, maszerujące kolumny, idące przez zamarzną rzekę i nazajutrz zaczyna się bombardowanie przez ciężką artylerię. Cztery razy podmuch wyrzuca mnie z okopu; za ostatnim razem Porta przychodzi, by mnie podnieść, jestem do takiego stopnia w szoku, że nie mogę już utrzymać się na nogach.

Drużynę sąsiadującą z naszą polewa deszcz granatów ze sprężonym powietrzem, których skutki są niewyobrażalne. Nawet ruiny znów wybuchają płomieniem.

- Niesłychane, że to się może jeszcze palić - mówi marynarz, kuląc się na dnie okopu.

Nadal nosi swój okrągły beret z powiewającymi z tyłu wstążkami.

Wcisnąłem się pod jakieś bloki betonu i ustawiłem mój karabin maszynowy w wąskiej szparze, znalezionej instynktem frontowego żołnierza.

W milczeniu dzielimy się kawałkiem suchego chleba. Trzeba być od dawna głodnym, by docenić smak suchego chleba!

Mgła z nad Wołgi wznosi się ku nam równocześnie z maszerującymi kolumnami. I nagle natarcie! Sybiracy, demony zrodzone w lodzie i śniegu, podobni są w swych watawanych mundurach do małych niedźwiedzi.

- *Hurra Stalin!*

Z drugiej strony naszej pozycji okop jest zburzony, zostaniemy otoczeni! Przez szparę w betonie widzimy biegnące filcowe walonki, karabin maszynowy trzeszczy. Padają całymi szeregami, uciekają przez pagórki, depcząc rannych i zabitych.

- Bagnet na broń! - Komenderuje generał. - Naprzód!

Biegnie pierwszy, szarżując jak dzikie zwierzę i kosząc wszystko swym pistoletem maszynowym. Tym razem to wśród Sybiraków wybucha panika.

- Allah akbar! Niech żyje Legia! Niech żyje śmierć! - Wyje mały Legionista, mknąc śladem generała.

Pijani krwią depczemy rannych, rozpruwamy brzuchy, dusimy w walce wręcz tak przeraźliwej, że sam diabeł musiałby zadrzeć. Rosjanie, poganiani przez swych komisarzy politycznych, kontratakują i padają setkami. Ich pozycje zostają zajęte, zniszczone, ich bunkry wzięte. Żywność! Dzięki Bogu! Porta jak szalony pożera wszystko co może, Mały łyka gigantyczny kawał słoniny. Rabujemy wszystko co nam wpada w ręce i uciekamy, gdyż Rosjanie wracają, rzucając granatami. Generał, w asyście jakiegoś nieznanego Oberleutnanta, kładzie się za cekaemem. Jest obłąkany, lecz z pewnością nie jest tchórzem. Ale oto znaleźliśmy się w ruinie, z której nie możemy wyjść, bo Sybiracy są już za naszymi plecami. Zbliżają się powoli, uzbrojeni w miotacze ognia. Na ten widok dostajemy gęziej

skórki. Nagle Heide podnosi się, pełźnie przez bloki muru, znajduje się z tyłu za Sybirakami i polewa ich ze swego miotacza ognia. Jeszcze dziesięć minut i już by nas nie było.

Zza Wołgi słyhać nagle grzmot ciężkich baterii, grzmot długi i przerażający, od którego drżą całe kilometry ziemi. Strzelają do nas straszliwymi granatami ze sprężonym powietrzem, które rozdzierają płuca.

Uciekać! Uciekać! A przede wszystkim skulić się na dnie jakiejś dziury! Spadam na Portę, ogarnia nas śmiertcionośny podmuch; tym, którzy nie umieją się ukryć dostatecznie szybko, płuca wychodzą ustami. Wszystko, co znajduje się na powierzchni ziemi, wyparowuje w tym powiewie śmierci. Trzeba się zsunąć i stłoczyć na dnie krateru, pozostać nieruchomo, wbić zęby w kolbę karabinu i będzie się miało jakąś szansę uratowania życia. Nawet nasze naturalne potrzeby należy zaspokajać na leżąco, lepiej narznąć w spodnie niż poczuć, jak pękają płuca.

A trwa to przez całą noc. Nikt nawet przez moment nie wątpi, że przegraliśmy wojnę, ale nikt też nie wspomina, by odmówić walki. Nawet w tej bezdennej niedoli życie stało się dla nas drogocenne, nigdy nie rozmawiamy o przeszłości, zawsze o przyszłości! I do tego nie wierząc w nią... Dla nas życie stało się tak krótkie, że każdą jego minutę wypełnia niewyobrażalna intensywność. Umieramy z zimna, z głodu, z lęku; ale ciągle jeszcze potrafimy cieszyć się z widoku bażanta, biegnącego po skrwawionych polach. Nikt do niego nie strzela. To by było morderstwo i chociaż w każdej chwili zarzynamy ludzi, żaden z nas nie uważa, by był zabójcą z przekonania.

Nagle z zachodu pojawiają się trzy Ju 52 i lecą nisko w chmurach, szukając nas bez żadnej wątpiwości. Zataczają wielkie koła, obojętne na rosyjski ostrzał i oto pojawiają się żółte spadochrony, pod którymi kołyszą się wielkie kontenery zaopatrzenia. Ten widok doprowadza nas do szaleństwa! By po nie pójść trzeba ryzykować życie, ale biegną wszyscy. Co jest w kontenerach? Wszystkim ślinka cieknie do ust.

- Co powiedzielibyście na prosię pieczone z różną? - Jęczy umierający z głodu Porta.

- Nigdy więcej nie powiem złego słowa o naszym lotnictwie - uroczyście obiecuje marynarz.

Drżącymi rękami rozszarpujemy opakowania aluminiowych kontenerów, z których każdy może zawierać dość, by wyżywić całą kompanię. Dzieci, odkrywające świąteczną choinkę po całym miesiącu oczekiwania nie są szczęśliwsze od nas.

Ale wielkie skrzynie nie zawierają ani prosiąt, ani drobiu, ani ziemniaków, nawet kawałeczka chleba. Każda z nich jest wypchana proszkiem na wszy, papierem listowym i całą masą kolorowych fotografii Hitlera, Goeringa, Goebbelsa... Można sobie wyobrazić nasze

rozczarowanie.

Nazistowskie fotografie rzucamy na wiatr burzy, który je niesie do Czerwonych.

- Do waszych sraczy! - Ryczy rozwścieczony Porta. - Podcierajcie nimi dupy!

Po obrazkach kolej na proszek owadobójczy. Proszek zatruwa wszystko, całe jego kilogramy rozsypują się jak chmura nad Wołgą wraz z przekleństwami. Tym razem miarka się przepełniła dla wszystkich, także Małego, który pluje nienawiścią.

- Oby Bóg ukarał Adolfa!

Tak, oby Bóg ukarał Adolfa. O świcie, podczas burzy śnieżnej, która ma przynajmniej tę zaletę, że ukrywa nas przed oczami nieprzyjaciela, opuszczamy pozycję. Potrzeba będzie wielu godzin, by odkryć, że już nas tu nie ma. Na drodze obwodowej Ołówki generał wystawia zaporę, by zatrzymać uciekinierów, którzy całymi bandami wylewają się z fabryki traktorów. Wrzaski oburzenia, ale zupełnie bezskuteczne. Działają oddziały pościgowe, a generał SS nie zna litości. Dwóch opornych oficerów pada z kulą w potylicę, Hauptmann artylerii zostaje zatłuczony na śmierć i w takim stanie zostawiony na miejscu.

Wyruszamy o zmroku, tym razem kolumną jak należy. O dwadzieścia kilometrów stamtąd, w zagłębieniu terenu, odkrywamy cały pułk... Ale trupów. Zamarznięte kości wystają ze śniegu, kraczące kruki dziobią czaszki. To widok, którego nie da się opisać. „Stalingrad jest zbiorowym grobem... W każdej minucie umiera jeden żołnierz niemiecki”.

Wielki, wykuty w skale bunkier służy nam za schronienie. Na stole stoi jeszcze lampka karbidowa, którą Stary zapala. Rozlewa się światło jaskrawe i żywe... Trupy, znowu trupy. Z wykrzywionymi twarzami, leżą kupą jeden na drugim. Na krześle jakiś Oberstleutnant z głową odrzuconą do tyłu i dziurą od kuli w potylicy. Przed nami byli tu enkawudziści. Na stole operacyjnym leży z poderżniętym gardłem lekarz, w kącie dwie pielęgniarki z gołymi brzuchami.

- Głęboka orka - stwierdza Porta, który mimo wszystko odwrócił oba ciała.

Azjaci, którzy tędy przeszli, ściśle zastosowali się do wezwania Ilii Erenburga: - „Zabijajcie ich tam, gdzie ich napotkacie, nawet w łonie ich matek”.

Rzuciliśmy się wyczerpani na sienniki okrwawione i śmierdzące, chcąc tylko jednego - spać. Generał zwałił się na krzywy taboret, oparty o skalną ścianę. Obejrzał swój pistolet maszynowy, zamyślony spojrzał na trupy, a potem głowa opadła mu na piersi, dłonie otworzyły się, broń wypadła na ziemię. Zasnął jak my wszyscy.

Nagle budzimy się podskakując. Ile czasu przespaliśmy? Nie wie nikt. Bunkier drży, na dnie zagłębienia terenu warczą silniki, brzęczą gąsienice. Czy nerwy nam puszczą? To czołgi.

Stary nagle gasi karbidówkę i w przerażeniu tulimy się do siebie w ciemności. Toczą się tu, tuż koło nas.

- W drogę! - Woła generał, popychając nas swoim pistoletem maszynowym.

Opuszczamy bunkier, by się zagrzebać na północny zachód od linii kolejowej, kilka kilometrów od Piestianki. W dali wzbija się w niebo rakietą i wkrótce po tym nowe natarcie zwartych szeregów, maszerujących jak na paradzie, pluton za plutonem, z bagnietami na lufach, umocowanymi w ten szczególny, rosyjski sposób. Poganiani przez swych komisarzy politycznych padają przecież jak kręgle, ale rzucają trupy na druty kolczaste i używają jako kładki.

Schowałem się w dziurze w śniegu pod szczątkami amerykańskiego spychacza; naprzeciw mnie nadchodzi syberyjski strzelec, którego doskonale widzę. Szeroka twarz sina z zimna, nad nią futrzana czapka z czerwoną gwiazdą. Mam muszkę mej broni tuż poniżej gwiazdy, strzał klaszcze złośliwie i na twarzy Rosjanina pojawia się jakieś zdumienie. Ten sierżant z którejś syberyjskiej wsi nie rozumie dobrze, dlaczego trzeba umierać nad Wołgą, rzeką, której nazwy prawie nie zna. On też wolałby wrócić do swych krów i do swych koni, ale oto leży rozciągnięty na śniegu, wśród ryku kazachstańskiej burzy. Na wiosnę, gdy zniknie biały całun, spychacz zepchnie go wraz ze stu tysiącami innych do wspólnego grobu, gdzie będzie leżał zmieszany ze wszystkimi odpadkami republik radzieckich.

Cofnęliśmy się jeszcze wzdłuż drogi. Z leja po pocisku woła o pomoc oficer, bardzo młody człowiek z twarzą starca. Nim go przeskoczyłem, rzuciłem okiem na jego nogi: krwawa masa, nic nie można dla niego zrobić.

- Zabierzcie mnie! - Błaga - nie porzucajcie mnie! Zabierzcie mnie, kolego!

- Herr Hauptmann, proszę się pospieszyć z umieraniem!

Wciskam mu w dłoń rewolwer, a potem biegiem dołączam do naszych.

Zza krzaka spostrzegam nadjeżdżający T 34, kołyszący się na drodze. Dowódca rosyjski zauważa rannego Hauptmanna, skręca swym białym potworem i przejeżdża przez szary wzgórek, jeszcze więcej, zatrzymuje się i kręci w miejscu. Gdy odjeżdża, nie ma już szarego wzgóreczka. Rosjanin wybucha śmiechem. O jednego parszywego faszystę mniej! Naprzód, czerwoni żołnierze, naprzód! Zabijajcie ich nawet w brzuchach matek! Ilia Erenburg może się pochwalić, że go słuchają, to dobry pisarz, przyjaciel kata Stalina.

Porta i ja wskakujemy na T 34 z czerwonym proporczykiem powiewającym na wieżyczce. Zrywamy go i owijamy nim wylot peryskopu, by oślepić czołg. Klapy otwierają się i jak ogarnięty paniką odyniec czołg przed nami ucieka. Do otwartej wieżyczki wpada deszcz granatów ręcznych. Wybuch, piekło płomieni, spadające odłamki stali.

Stalingrad, wspólny grób. W każdej chwili umiera jeden żołnierz niemiecki, a tam, bardzo daleko, w Prusach Wschodnich, panuje oblężaniec, który krzyczy: - Bijcie się do ostatniego człowieka! - Niestety dla nas, prostych żołnierzy, znajdują się jeszcze oficerowie, by go słuchać w skrzywionym poczuciu obowiązku wojskowego.

24 grudnia znajdujemy się przed Dimitriewką, ale nikt z nas nie myśli o Bożym Narodzeniu.

Dokładnie o 7.00 rano Ruscy atakują całymi masami piechoty, którym zadajemy wielkie straty, ale z tego powodu natarcie nie przerywa się aż do godziny 15.00. A potem nagle kończy się. Ani jednego strzału karabinowego, ani jakiegokolwiek dźwięku, absolutna cisza. Na torowisku spalony pociąg. Zaniepokojony Porta zastanawia się, co oznacza ta cisza. Na horyzoncie nie widać nic, tylko spadają potężne wiry śniegu, podrywanego przez wiatr. Co się dzieje? Szybko dowiedzieliśmy się.

Dnia 25 grudnia, dokładnie o 15.00 przejeżdża przez drogę pięć T 34 bez towarzystwa piechoty. Z zamontowanymi megafonami, w dokładnym szyku, kierują się ku 3. Drużynie, a my nie mamy już nic przeciw nim, nie mamy dział przeciwczołgowych, nie mamy nawet koktajli Mołotowa.

Zawracają i jadą najpierw ku 2. Drużynie. Głośnik intonuje marsz Radetzkiego. Czołgi zatrzymują się, każdy nad jedną dziurą w śniegu. Zagłębiają się, kręcą się w miejscu, a potem odjeżdżają. Żołnierz, który się tam ukrył wyje ze strachu, zanim 30 ton stali zmienia go w milczącą papkę. Tak się dzieje z 12 dziurami w śniegu, 12 ludźmi. A potem czołgi znikają tak, jak nadjechały, w chmurze śniegu. Śmiertelna cisza. Ani jednego wystrzału karabinowego. Tylko burza, która też wyje...

Nazajutrz, dokładnie o 15.00, oto są! Na czele jeden T 34 pomalowany na jaskrawą czerwień, z powiewającym sztandarem, ta sama muzyka marszowa, płynąca z głośnika, ta sama co wczoraj dokładność nad każdą dziurą, gdzie się kuli człowiek, który w ciągu sekundy nie jest już człowiekiem. Zatykamy sobie uszy, by nie słyszeć tego wycia... Jedyne, co możemy zrobić, to czekać, aż nadejdzie nasza kolej.

Biała, zimowa noc okrywa step. Wydaje nam się, że bez przerwy słyszemy krzyki rannych, ale nie, to tylko śmiertelne wycie burzy z Kazachstanu.

Kilka granatów moździerzowych pada na wydmnę śnieżną za nami. Propagandowy głośnik ryczy: - Niemieccy faszyci! Kapitalistyczne świnię! O 15.00 przyjdziemy, by was zmiażdżyć!

Porta uśmiecha się i pozdrawia swym złotym cylindrem.

- Bardzo przyjemnie dowiedzieć się, że staliśmy się kapitalistami! Gregor, mój

cadillac, jadę na Lazurowe Wybrzeże!

- Koledzy! - Krzyczy nagle głośnik. - Jestem Unteroffizier Büchner z 23. Dywizji Pancерnej. Przyjdźcie spokojnie do nas i pokażcie, że jesteście przyjaciółmi ludu! Porzućcie swą niewolę! Pluńcie na waszych kapitalistycznych panów!

- Znamy, znamy! - Szydzi Porta.

Obiecują wszystko, z dziewczynami włącznie. Związek Radziecki, ten raj proletariatu, ma wszystko, czego potrzeba do szczęścia, a przynajmniej tak właśnie mówią.

Ale nazajutrz o 15.00 oto są! Przed pozycją widać dwa szare pagórki, dwóch facetów, którzy uwierzyli w radzieckie szczęście, a generał położył ich trupem.

Przerażeni patrzymy na zbliżające się pięć T 34. Czyja kolej dzisiaj?

Zjeżdżają na dół w śniegu, utykają w nim, ale się uwalniają skrzypiąc. Muzyka taneczna. Nie wierzę, by na świecie istniało coś, czego bym nienawidził bardziej niż białego T 34, tej drapieżnej, ryczącej bestii, tego morderczego automatu.

Porta w swojej dziurze gra w natchnieniu na flecie i widać jego żółty kapelusz, odcinający się od bieli śniegu. Nie możemy się wkopać głębiej, narzędzia nie służą do niczego, ziemia jest twarda jak granit. A do tego burza znad Kazachstanu szykuje się, by nas pogrzebać.

Zbliżają się T 34 z ogłuszającym rykiem. Niektórzy próbują uciekać, ale, albo kładą ich pokotem karabiny maszynowe czołgów, albo zabijają ich nasi oficerowie. Dezercja! Tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela!

Przez maleńki otwór w śniegu patrzę na przybliżającą się powoli śmierć. Gdybym tylko miał w ręku koktajl Mołotowa! Ale nie mam nic, nic prócz pustych rąk...

O parę metrów przede mną przejeżdża pierwszy T 34 z zamkniętymi klapami, ale wiem, że przez strzelnice śledzą nas oczy, by zabić. Spadają na sąsiednią drużynę, naszych od dawna kolegów. Mały Unteroffizier Wilmer, dowódca drużyny, ma sklep towarów kolonialnych w Düsseldorfie i w 1936 zaangażował się na cztery lata. Otrzymał z góry swój żołd za cztery lata, dzięki czemu popłacił wszystkie długi. Ale nigdy nie mógł zrozumieć czemu, gdy skończył się okres jego angażu, nie został odesłany do domu? Wobec tego gdy byliśmy pod Antwerpią napisał do Hitlera, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Strzelcem karabinu maszynowego jest wielki Boehmer z Kolonii. Jego pomocnikiem jest chodzący w binoklach prokurent z Lubeki. Drugi jest z Hamburga i marzy mu się, by zostać kimś ważnym w kolejnictwie. Jest też także student filozofii, który niczego nie rozumie z dyscypliny wojskowej i nigdy nie zdołał nauczyć się kroku defiladowego; ale w zamian za to czeladnik mechanika z Neurminster umie go bardzo dobrze i chce zostać

podoficerem. Oberst Hinka mu to obiecał. Tyle, że jest tutaj, w grupie skazanych na śmierć, czekających, aż któryś T 34 zmiażdży ich gąsienicami. Pierwszy potwór zatrzymuje się nad dziurą Wilmera, zagłębia się powoli i zmienia ludzi w krwawiącą magmę. Ten, który kochał kolej żelazną wyje dłużej, niż inni.

- Zdychaj wreszcie, kretynie! - Wrzeszczy histerycznie Heide, zatykając sobie uszy.

Następny czołg jest już nad studentem filozofii, wycie stopniowo cichnie w śniegu. Boże na niebiosach, czy ogłuchłeś? Jak długo będziesz znosił te wrzaski? Na naszych kłamrach pasów napisane jest *Gott mit uns*, ale jesteś z pewnością przeciw nam, jeśli skazujesz nas na takie tortury.

- Przekłęci! - Woła zrozpaczony Stary, ukrywając twarz w dłoniach.

Przyglądamy się bezsilnie kolejnemu miażdżeniu naszych kolegów. A nazajutrz, dokładnie o tej samej godzinie, znów pojawiają się na koronie nasypu. Wielkie pluskwy, kołyszące się w śniegu, klapy dokładnie zamknięte, z głośników leje się muzyka. Tym razem kierują się do 4. Drużyny, tej, gdzie jest marynarz. Ale on nie chce dać się zgnieść i pełźnie jak pływak pod miękkim śniegiem.

- Musi zreć śnieg! - Mówi z pewnym podziwem Mały. - Ależ on sobie daje radę!

Jego kolega, wielki Obermaat obsługi torped, biegnie prosto przed siebie w swym granatowym mundurze. Ściga go czerwony T 34, gąsienica go chwyta, wrywa ręce, ciska je w powietrze, a po tym czołg zatrzymuje się nad jego dyszącym ciałem. Czy w tych potworach w ogóle nie ma istot ludzkich? Słyszą krzyki tak jak my! Straszliwa czerwona bestia kręci się w miejscu, krzyk zmienia się w nieludzkie rżenie. Obermaat obsługi torped nie żyje.

Na dzisiaj koniec.

Wyczerpawszy wszystkie siły, nie mogąc utrzymać się na nogach, wracamy do naszych dziur. Lecz tuż przed zmrokiem, po raz drugi tego dnia, wracają. To koniec, zginiemy wszyscy. Pierwszym którego miażdżą jest Oberleutnant rezerwy, profesor z Monachium. Dziecinny ruchem obronnym wyciąga ręce przed siebie, ale bezlitosne 30 ton powoli opada.

Teraz my!

Pierwszy wyskakuje z dziury Porta, za nim miauczący na czołgi kot, który wciska się w miękki śnieg. Ogarnięty paniką Gregor ucieka bez broni; generał zdaje się przez chwilę zastanawiać, a potem sam wyskakuje. Wszyscy uciekają z pochylonymi głowami, nie myśląc, że to dezercja. Sabotaż rozkazów Führera! Bić się do ostatniego żołnierza, do ostatniego naboju.

Za nami szarżują kolosy, chwytając tych, co ugrzęźli; kręcą się w miejscu, rozgniatając

szare, wyjące pagórki.

To wojna. Wielu ludzi widziało czołgi na paradach, ale czy wiedzą co to znaczy leżeć w śniegu podczas morderczego zimna i patrzeć, jak są miażdżeni koledzy? Po wielokroć potwory także grzęzną, ale uwalniają się z białego uścisku, płomienie z rur wydechowych widać na wiele metrów za nimi. Są za nami jeszcze o pół kilometra.

Biegnę bez tchu jak potrafię, padam, krzyczę... Płacę w szponach niewysłowionego przerażenia; gdy oddycham, czuję ból od lodowatego powietrza, wydaje się, jakby rozrywał mi płuca. Z nosa płynie mi krew, zabarwiając śnieg na czerwono, padam w zaspę, gdzie śnieg mnie chwyta jak żelazna dłoń. Za mną ten okropny odgłos silników. Czy trzydziestotonowy czołg rzeczywiście goni pojedynczego żołnierza? Śnieg mnie trzyma, a śmierć jest już nade mną.

Nagle brutalna pięść wrywa mnie z bezdennego całunu.

- No i co, kretynie? - Grzmi głos Małego. - Odłączysz się?

Mija nas wielkimi susami Porta, kot w ślad za nim. A za nami T 34... Dlaczego nie strzelają? To dziwne. Są zdecydowane, by nas miażdżyć; jako tortura jest to bardziej wyrafinowane.

Docieramy, sam nie wiem jak, do bardzo wąskiego wąwozu między dość wysokimi pagórkami, wąwozu pełnego żelastwa, gdzie spoczywają wszystkie śmieci Stalingradu. Chyba czołgi nas porzuciły, a my bez sił padamy wśród nierozpoznawalnych szczątków.

- Wojskowe gnojowisko - stwierdza mały Legionista. - Widziałem coś takiego w Sidibel-Abbes.

Nie było takiej kolonii francuskiej, w której wieczny żołnierz, Unteroffizier Alfred Kalb, nie biłby się. Dwa razy dziennie klęka i modli się z twarzą zwróconą do Mekki, bo niezłomnie wierzy w Allaha. To fanatyczny żołnierz. Jest mu zupełnie obojętne przeciw komu się bije, idzie tam, gdzie go posyłają, ale zawsze uważa, że bije się za Francję, nawet w Stalingradzie. Twierdzi, że bijemy się za Francję, aby ją ocalić przed radzieckimi hordami. Ma brzydką twarz, prócz ogromnej blizny ma na niej tatuaże Kabylów i kulę z siedmioma kolcami Legii Cudzoziemskiej wrytą w skórze. Już bierze się do czyszczenia pistoletu maszynowego, podczas gdy my leżymy obojętni na wszystko.

- Wstawać! - Drze się generał SS. - I nie wyobrażajcie sobie, że wojna się skończyła. Później zapłacicie za waszą parszywą ucieczkę. - Zapomniał, że sam spieprzał, ale on jest generałem, a to ogromna różnica.

T 34 znikły. Burza powoduje, że ich dalekie ryki stają się coraz cichsze.

- Zbiórka, równaj w prawo! Przed siebie patrz! Dowódcy drużyn wystąp!

- Trzeba o nich zapytać we wspólnym grobie, chuju z białymi klapami! - Ktoś woła.

Zbladłszy jak ściana esesman wchodzi między nasze szeregi i żąda, aby winny się przyznał. Rozlega się szyderczy śmiech. Oficer chwyta Małego za kołnierz.

- To ty wołałeś, co? - Wyje, opierając lufę rewolweru o brzuch Małego. - Przyznaj się, albo za trzy sekundy strzelam! Jeden... Dwa... - Zaczyna liczyć obłąkaniec.

W tym momencie występuje z szeregu Unteroffizier piechoty, z głową i szyją owiniętą okrwawionym bandażem, z mundurem w strzępach. Na jednej jego dłoni ciało jest tylko głęboką spalenizną. To jedyny, który przeżył z całej drużyny, zniszczonej przez rosyjskie miotacze ognia.

- To ja krzychałem, Brigadengeneral! I dodaję: - Jest pan mordercą jak wszyscy generałowie w Stalingradzie!

Wierzchem dłoni wariat bije rannego w twarz, podoficer chwieje się i zdrową dłonią szuka rewolweru, lecz nim zdołał wyciągnąć go z kabury, jego głowa rozlatuje się od strzałów pistoletu maszynowego generała.

- Tobą zajmę się później - mówi do Małego. - Od dawna mnie drażnisz i na razie radzę ci, byś siedział cicho, inaczej spotka cię taki sam los, jak tego buntownika. Teraz weź z sobą ochotnika i wracajcie na pozycję by sprawdzić, czy nie ma takich, którzy przeżyli. Następnie dołączycie do nas w Gumraku. I nie wyobrażaj sobie, że zadowolę się fałszywymi meldunkami! Mam na ciebie oko. Ruszaj!

- Ty się zgłaszasz na ochotnika - mówi Mały, wskazując mnie palcem.

- Co to, to nie! Ochotnik, to taki, który sam się zgłasza.

- Wobec tego rozkazuję ci zgłosić się na ochotnika i myślę, że nie masz ochoty zostać powieszony za odmowę wykonania rozkazu.

Wielkimi krokami ten drań podchodzi do generała i oświadcza, że zgłosiłem się na ochotnika. Ale on mi za to zapłaci, przysięgam!

- Przyniesiecie moje łóżko - rozkazuje Porta. - Zostało tam, gdzie byliśmy schowani. Zapomniałem go spieprzając.

- Tylko, jeśli mi to będzie wygodne - odpowiedział wyniośle olbrzym. - Wy, Berlińczycy nosicie dupy tak wysoko, że możecie srać do skrzynek pocztowych, ale tu trzeba wrócić na ziemię.

- Zdajesz sobie sprawę, że Berlin to Niemcy. Wy nadal żyjecie w epoce jaskiniowej. Nie macie nawet opery!

- Tego już za wiele! - Krzyczy Mały. Nie mamy opery! Sam tam byłem, by podnosić i opuszczać tekturowe lasy!

- Phi! Śmierzący browar dla ludzi w sabotach! Dobra, niech będzie. Nie przynos mi łózka, nie potrafiłbyś!

- Jeszcze ci pokażę, berliński psie! A ty? - Zapytał, potrząsając mną. W drogę, niewydarzony łajzo! Idziemy poszukać łózka.

Pobiegł w śniegu tak szybko, że nie mogłem go dogonić, ale za każdym razem, gdy się kładę z przenikliwą kolką w boku, wraca i chwyta mnie, grożąc powieszeniem.

- Każę cię powiesić, draniu! Zrozumiano, szwedzka szmato?

W jego grubej czaszce szwedzki czy duński, to wszystko jedno. Od urodzenia wszystko w jego mózgu pływa w alkoholowej mgle.

Na pozycji nie zostało żywego ducha. Tylko krwawe sterty. T 34 nie pominęły ani jednego człowieka, a także zmiażdżyły schron, w którym siedzieliśmy. Słynne łózko rozleciało się w kawałeczki, ale Mały sumiennie zbiera wszystkie szczątki. Patrzę na niego z wściekłością. Ma kompletnego świra. I oto zaczyna strzelać karabin maszynowy. Całkowicie obojętny na pociski świszczące mu koło uszu, obrzuca kaem wszystkimi znanymi sobie obelgami. Czy strzelec usłyszał? W każdym razie ostrzał ucicha. Ale zapala się reflektor i zalewa światłem olbrzyma, właśnie zbierającego kawałki baldachimu. Słysząc, jak Rosjanie krzyczą coś niezrozumiałego wśród gromkich wybuchów śmiechu. Wciskam się w śnieg, zasypując cały świat przekleństwami.

- Zgaście waszą przeklętą lampę, czerwone psy! - Ryczy Mały. - Oślepiacie mnie tym diabelskim światłem!

Nowe śmiechy Rosjan, którzy gaszą reflektor. Wyskakuję z mojej dziury i dajemy nogę, nim sytuacja stanie się nieprzyjemna. Kawałki łózka są w komplecie i odnajdujemy grupę bojowa w Gumraku.

- Bierz - mówi olbrzym - to jest twoje kurewskie wyrko. Zauważ, że byłem w śmiertelnym niebezpieczeństwie z powodu tego diabelskiego wyra. Ruscy mnie oświetlili wielką lampą, ale bardzo się przestraszyli, gdy zacząłem krzyczeć. Znają mnie tam! No nie, Sven?

Brigadenführer SS Paul Augsberg zameldował się u Generała Armii Paulusa w kwaterze głównej, zainstalowanej w budynku GPU.

- Herr General - oświadczył sucho oficer SS - trzeba wydać rozkaz przebicia się przez linie rosyjskie. Kontynuowanie bitwy w taki sposób jest czystym szaleństwem. Biorę na siebie dokonanie przełamania na czele grupy czołgów, mamy dość ciężkiej artylerii, by umożliwić sobie przełamanie okrążenia. Trzeba to zrobić koło Kasłanowskiej, tam front nieprzyjacielski jest najslabszy. Mamy duże szanse, by go przerwać.

- Generale Augsberg - odpowiedział z uśmiechem Paulus - to absolutnie niemożliwe. Führer zabronił takiego przebicia się.

- To niech pan kapituluje, do diabła!

- Generale Augsberg, to również jest niemożliwe. Führer zabronił jakiegokolwiek kapitulacji.

Esesman pochylił się nad stołem. Jego oczy ciskały błyskawice.

- Czy zdecydował więc pan, że ludzie mają oszaleć? Do tego stopnia, że zwrócę broń przeciw swym dowódcom?

- Niechże się pan nie boi, Augsberg, do tego nie dojdzie. Niemieccy żołnierze nie buntują się, oni wykonują rozkazy. Cała nasza wysoka cywilizacja niemiecka opiera się na ślepym posłuszeństwie i właśnie ta dyscyplina zapewni nam zwycięstwo, nawet jeśli przez chwilę wszystko wygląda bardzo ponuro. Więc niechże się pan nie demoralizuje. My Niemcy nie robimy niczego w połowie.

- Z pewnością - mruknął generał SS. Klęska, jaką odnosimy tu, w Stalingradzie, nie miała sobie podobnej.

Nie wyciągnąwszy ręki do przelozonego opuścił Główną Kwaterę i pospieszył długimi korytarzami GPU, złowrogiego budynku, gdzie setki rannych zalanych krwią, leżących na gołej ziemi, umierały bez jakiegokolwiek pomocy lekarskiej. Na chwilę zatrzymał się na oświetlonym reflektorami dziedzińcu i przyjrzał się ścianie zamarzniętych, rzuconych na kupę trupów, jak barykada otaczających Kwaterę Główną. Kontynuował marsz przez piwnicę sąsiadującą z teatrem, pełną umierających, niektórych leżących jeszcze na stołach operacyjnych i porzuconych przez chirurgów. W kącie stał generał von Daniels, osłupiały, z oczami pełnymi łez, jego dywizja, 176. Dywizja Piechoty, została całkowicie zniszczona, nie uratował się ani jeden z 17 000 ludzi, generał oplakiwał swoje oddziały i swoje nadzieje. Augsberg przyglądał mu się przez chwilę bez słowa i podjął dalszy marsz.

Spotykał oficerów wysokich stopni, którzy się prześlizgiwali wzdłuż muru jak złodzieje

z workami na plecach; byli to ci oficerowie, którzy żądali od swych oddziałów, by się biły do ostatniego człowieka; odmawiali cofnięcia nawet o jeden krok w najrozpaczliwszej sytuacji i wysyłali żandarmerię nawet do szpitali, by zmuszać rannych do powrotu do bitwy. Teraz uciekali na tyły, próbowali przejść po zamarznętej Woldze, daleko od przegranych bitew i od stosów trupów.

Esesman pełząc przedostał się przez poczerniałe od dymu ruiny; znów trupy, całe pagórki trupów, ale nagle, w środku tego martwego miasta rozległy się głosy, powłóczące kroki. Kolumna wyczerpanych żołnierzy w lachmanach defilowała przed nim gęsiego, w drodze do nie wiadomo jakiej linii walki. Mieli rzucić się w śnieg i strzelać na chybił trafił, nawet nie wiedząc gdzie.

Rano generał Augsberg wrócił do batalionu fortecznego. Miał kamienną twarz, błyszczący monokl, usta zaciśnięte w brutalną linię. Rzucił przed nas worek z żywnością, usiadł na taborecie, opróżnił kieszenie ze wszystkich papierów, zgniół je w kupkę i podpalił.

Rozdział 12

Odwrót

- Otóż - powiedział Augsberg tonem nieznoszącym sprzeciwu - mam zamiar wyciągnąć was z tego piekła. Możecie pójść za mną lub zostać tutaj. Weźmie się tylko broń i amunicję. Zwalniam was od przysięgi na sztandar, a jeśli ze mną pójdziecie, nie mogę wam nic obiecać. Ale jeśli zostanieie tutaj, zgnieciecie w rosyjskim więzieniu, a wiecie jak Rosjanie traktują jeńców. W przypadku powodzenia naszej imprezy, niektórzy z was będą niewątpliwie mieli szansę dołączenia do linii niemieckich, po drugiej stronie Donu. To jest 120 kilometrów, dwa albo trzy dni marszu w garnizonie, ale tutaj będzie ciężko, w to możecie nie wątpić. Śmiertelny marsz. Tylko najsilniejsi z was mają szansę wyjść z tego cało. To wszystko co mam wam do powiedzenia.

Odwrócił się i poszedł na zachód, w stronę czerwieniejącego słońca. Stary podniósł się pierwszy i kołysząc się na swoich krzywych nogach poszedł za generałem SS. Jeden po drugim powoli wstawaliśmy. Uformowaliśmy dosyć długą kolumnę, około 800 szarych mundurów ze wszystkich parafii, włącznie z dwoma lotnikami, których Condor został zestrzelony - ciągle mieli na sobie cudowne futrzane mundury i fokowe buty. Za mną szedł żołnierz piechoty morskiej, wszystkim co miał niemieckiego był jego берет z powiewającymi wstążkami, reszta umundurowania była rosyjska, zdjęta z jakiegoś trupa.

Na ramieniu niosłem karabin maszynowy, ale ponieważ trójnóg mi przeszkadzał, kopnięciem posłałem go w śnieg.

- Zwariowałeś, przyjacielu - oświadczył Legionista. - Ta część wkrótce okaże się bardzo potrzebna. Tym gorzej dla ciebie.

Jesteśmy więc w drodze. Dwa razy przeszliśmy przez zakola rzeki Karpowki i dotarliśmy do szosy Stalingrad-Kałacz. Długie kolumny T 34 z nieposiadającymi się z podniecenia załogami są w drodze do Stalingradu, rozbity pociąg pancerny stoi zatrzymany na torze, z porozpruwanymi wagonami i lokomotywą stojąca dęba na polu. Augsberg podniósł rękę, był to umowny sygnał, by się ukryć.

- Hauptfeldwebel - powiedział do Starego - weźcie prawoskrzydłową drużynę szturmową i przeskoczcie jako pierwsi przez tor. Jeśli będzie trzeba, osłonimy was ogniem. Kierunek Iłarinowskij, tam miejsce zbiórki.

- Za mną! - Woła Stary.

Biegniemy bez tchu przez równinę, dwa razy padam i wolałbym zostać na ziemi. Spać!

Mam tylko jedno pragnienie - spać. Już nie mogę. Ale Legionista brutalnie pcha mnie naprzód. On jest niezmordowany, ukształtowany w walkach pustynnych, a moje łzy, złość i rozpacz są mu zupełnie obojętne. Posuwamy się drogą, po której obu stron leżą poprzewracane ciężarówki, wylatują z nich okropne kruki. W pojazdach zamrożone trupy; to niemieckie ambulanse, zniszczone karabinami maszynowymi rosyjskich samochodów pancernych.

Niektóre trupy mają porozbijane czaszki, znamy to. Mózg został wydobyty przez umierających z głodu kolegów, gdy racja dzienna żywności spadła na głowę do czterech groszków z konserwy i dwóch gramów chleba. Pewien lekarz powiedział nam, że ludzki mózg jest wyjątkowo pożywny, ale nawet sam Mały, który spróbował mózgu pewnego Obersta i do tego księcia krwi, musiał go wymiotować.

Mniej okropne jest zjedzenie szczura pod warunkiem, że znajdzie się sól, by nią natrzeć mięso; Porta mówił, że podobne jest ono do mięsa prosiaka, a w każdym razie jest lepsze niż kreta albo psa, bo tłuszcjsze. I nie bez powodu...

W jaki sposób dotarliśmy do Harionskiego, nie pamiętam. Trzeba było długo maszerować wśród rosyjskich czołgów i piechoty; od czasu do czasu Augsburg siadał zmęczony na zaspie śnieżnej i bez słowa spoglądał na zachód, tam, gdzie powinny się pojawić pagórki nad doliną Donu.

- Trzeba wziąć kierunek na Pieskowatkę - wyjaśnił generał Staremu - następnie zupełnie prosto do zakola Donu, gdzie jak sądzę znajdziemy front niemiecki. Ale przejście przez Don może być bardzo trudne.

Równina zdawała się bezkresna. Nad nami lodowatym błękitem błyszczało niebo, a wokół nas śnieg, nic prócz śniegu, połyskującego jak kryształ. Żadnego drzewa, żadnego krzaka, nawet zbitej trawy.

Oczy zaczęły mnie tak boleć, jakby mi wbijano nóż, światło odbite od śniegu oślepia, potykam się, trę oczy tym palącym śniegiem. Czarne buty ślizgają się przede mną, jestem tylko jednym z tych, którzy leżąc, pozostaną między Wołgą a Donem. Don! Jaka ładna nazwa, tak krótka, tak miękka... Ale Don jest bezlitosną rosyjską rzeką, od której zimą bije lodowata wilgoć, a latem niosący zarazę opar. W Rosji to przyroda jest wrogiem numer jeden. Biada temu, kto nie jest uzbrojony przeciw nieugiętej rosyjskiej przyrodzie. Żołnierz radziecki rodzi się z nartami albo wysokimi butami, ale my? My, żołnierze niemieccy cóż możemy zrobić w tym okropnym kraju? Wstajemy. Stary i Mały pochylają się nade mną.

- Co z tobą, Sven? - Pyta Stary, swym jak zawsze spokojnym tonem.

- To ten śnieg doprowadza mnie do szaleństwa. Tak mnie bolą oczy! Czemu ten śnieg

jest taki biały?

- A jakiego koloru chciałbyś, aby był? Widziałeś kiedykolwiek czarny śnieg?

Podnoszą mnie, Porta podaje mi swój bukłak. Prostuję się, karabin maszynowy wydaje się lżejszy dzięki wódce. Gdy się doświadczyło rosyjskiej zimy i upalnego lata, jakże łatwo zrozumieć ich miłość do wódki!

Wieś złożona z walących się chat. Wysyłamy na zwiad Legionistę z paru ludźmi i czekamy, leżąc w śniegu. Teraz brak mi trójnoga mego karabinu maszynowego. Po pół godzinie pojawia się Legionista i daje nam znak, byśmy podeszli. Wieś została pospiesznie porzucona przez mieszkańców z wyjątkiem jednego tylko, białego kota, miauczącego z głodu. Kot Porty rzuca się na niego i zagryza, by go zjeść. Wojna sięga aż tutaj.

W opuszczonych chatach zabawki: ołowiany wóz strażacki, szmaciana lalka, a w stajni pięć zamrożonych trupów z kulą w potylicy.

- Nagan - stwierdza autorytatywnie Porta. - Bracia z NKWD tędy przeszli.

W pewnym warsztacie cała rodzina została powieszona pod sufitem i trzeba odsuwać trupy, by zacząć szukać czegoś jadalnego. Wisielcy nas nie interesują. Porta znajduje bańkę, którą nieufnie obwąchuje, ale wlewa sobie do ust odrobinę płynu, odbija mu się z przyjemności i podaje bańkę Heidemu, który kaszle, dusi się i sinieje.

- Co za wycior! - Jąka, chwytając oddech. - Co za wycior! Poczulem jak przeczyszcza mnie aż do dupy!

- To ogień! - Jęczy Stary. - Co to może być?

- Samogon - chichocze Porta. - Napój Stalina dla zmęczonych wojowników. Dwie bańki wystarczą na całą kompanię, a po tym człowiek rzuca się na czołg z gołymi pięściami. Samogon robi się następująco: kukurydza, buraki i ziemniaki...

- Jakie buraki? - Pyta Stary. - Jest ich wiele gatunków.

- A twoja głowa jest jednym z nich - warczy złośliwie Porta. - Później wrzuca się wszystko do beczki i niech się kisi. Potrzebny jest cały miesiąc, by to sfermentowało, pianę daje się świniom. Mają wtedy zupełnie miękkie mięso o pikantnym smaku. Samogon jest tajną bronią Stalina. Chrześcijanie mają trzy rzeczy, dające im siłę: wiarę, nadzieję i miłość, jak mówią misjonarze. Brzmi to dobrze, ale dla Ruskich jest bez znaczenia. Czerwoni srają na wiarę, nadzieję i miłość i wysyłają misjonarzy do kopalń ołowiu, gdzie mogą sobie dalej mieć nadzieję. Zamiast tego Josif Stalin wynalazł samogon, by zapewniać ludziom energię. Zresztą Josif to imię żydowskie, to gwarancja pomysłowości.

- Wobec tego, Joseph Porta, wstydzę się za ciebie! - Krzyczy Heide. - Czy nie wiesz, że Führer zdecydował, że wszystkie imiona żydowskie należy zmienić?

- Samo imię nie czyni Żyda - zapewnił Gregor, biorąc następny łyk. - Josif Stalin nie bardziej lubi Żydów, niż Joseph Goebbels w Berlinie, ale ma własną metodę likwidowania niearyjczyków. Żydzi Stalina są mięsem armatnim, Adolfa bydłem. O wiele mniej sprytnie. Tu na wschodzie nikt nie potrafi znieść Żyda. Sowietci nienawidzą ich jeszcze bardziej, niż my.

- Więc po kiego diabła bijemy się? - Wrzasnął rozwścieczony Heide - jeśli zgadzamy się, że trzeba ich wykończyć?

- My Niemcy nie rozumiemy absolutnie nic - stwierdził Stary, pykając swą starą fajkę. - Oddaliśmy Stalinowi niebywałą przysługę: cały świat mówi o naszych obozach, ale nikt nie mówi o stalinowskich, które są równie okropne, jak nasze - Niemcy są głupcami ze swą manią gruntownego robienia wszystkiego. Cienia wyobraźni i dlatego przegramy tę wojnę jak wszystkie inne, bo posiadamy dar komplikowania wszystkiego, co proste. Co robią Rosjanie by pozbyć się Żydów? Wysyłają tych krzywonosów do samobójczych oddziałów. Żadnych morderstw jak u nas, tylko śmierć bohaterów. To trzeba było wymyślić!

- Antynazistowskie wypowiedzi! - Wrzasnął Heide, kompletnie pijany. Hauptfeldwebel Beier, każe cię aresztować żandarmerii.

Stracił równowagę i zwałił się na piec.

- Gnojek! - Warknął Mały, odlewając się na niego.

- Dziękuję, kolego - jęknął Heide. - To miłe, że wyniosłeś mnie na deszcz, to odpręża. I zasnął z rosyjską czapką na nosie.

Zupełnie zapomnieliśmy, gdzie jesteśmy. Daleko za rosyjskimi liniami. Opuszczeni przez wszystkich. Żaden podróżnik polarny nie mógł czuć się bardziej samotny. Nad ranem obudziły nas niezgodne śpiewy Porty i jeszcze bardziej fałszującego Małego. Ale nagle drzwi otwierają się od kopniaka i kogóż widzimy we framudze? Generała SS, a za nim lekarza.

- Nie wyglądacie na znudzonych! - Stwierdza ze wściekłą miną, błyszcząc monoklem w złośliwym oku. - Nie meldujecie się, Hauptfeldwebel?

Stary wstaje z wysiłkiem, zapina krzywo swój płaszcz i niepewnym ruchem bierze na ramię broń.

- Herr General - jąka się - Hauptfeldwebel Willie Beier jest zawsze tutaj z wojskowymi chłopcami, nieprawdaż?

- Świnia! - Wyje generał, chwytając Starego za kołnierz, by go wyrzucić na dwór.

Porta pospiesznie znika, Mały i Legionista kryją się za piecem, Gregor i ja lądujemy w śniegu obok Starego.

- Ten dowódca z SS nie ma w sobie nic wytwornego - stwierdza czkając Stary, który tym razem jest pijany jak świnia.

W końcu wszyscy gotowi są wyruszyć, ale nie wcześniej, niż usłyszeliśmy dokładne ruganie przez naszego dowódcę.

- Czemu on się nas czepia? - Pyta naiwnie Mały. - Przecież jesteśmy bardzo mili. Sam nas zwolnił od naszej przysięgi na sztandar. Bez nas nigdy nie do trze do Hitlera!

- Na ramię broń - komenderuje generał. - Kolumna marszowa za mną.

Tylko połowa kolumny posiada buty śniegowe i bardzo niewielu żołnierzy ma narty, wśród nich oczywiście Porta. To on pierwszy dociera nad Don i widzimy, jak do nas wraca w iskrzącej się chmurze.

- Don! - Ryczy. - Ale nie więcej Prusaków, niż w moim oku!

Generał zatrzymuje się, długo patrzy przez lornetę i nic nie mówi. Śnieg, tylko śnieg. W zamyśleniu zagryza wargi. Gdzie podział się grzmot armat, odgłosy bitwy? Tutaj całkowita cisza. Tylko burza z Kazachstanu, wyjąca nad zamarzniętym Donem. Nie ma frontu, nie ma rakiet świecących nad oślepiającą pustynią. Jest tu tylko jeden wróg - bezlitosna rosyjska zima. Generał rzuca okiem na długą, szarą kolumnę, rozpaczliwie milczącą; ludzie padają w śnieg. Gdzie są nasi? Przecież nie ma ich nad Donem, jak twierdzili wszyscy.

Widać niemiecki czołg Pzkw 4 prawie pogrzebany w śniegu, porzucony przez Armię Pancerną Mannsteina, która miała na Boże Narodzenie przyjść nam z pomocą. Kilka puszek konserw, lufy są nietknięte. Koło miejsca dowódcy papiery pokładowe. Czołg należy do 23. Dywizji Pancerniej.

- Wyśle się je do Torgau - oświadcza Heide, wpychając sobie papiery do kurtki.

- Gdybyśmy tylko mieli kawał łańcucha - mówi Porta, starannie oglądając czołg. - Nie rozumiem, dlaczego został porzucony. Jest w dobrym stanie, z wyjątkiem tego łańcucha.

Wezwana przez generała drużyna pionierów przybiega pod dowództwem młodego Oberleutnanta saperów. Po ośmiu godzinach ciężkiej pracy naprawili uszkodzoną gąsienicę, Porta wspina się na miejsce kierowcy, ale nie ma dość prądu, by ruszyć. Wszyscy zaczynają pchać maszynę i czołg powoli wysuwa się z lodowej rozpadliny. Przezornie oddalamy się od gąsienicy połatanej łuskami granatów artyleryjskich. Generał każe wyjechać Pzkw 4 na czoło.

- Herr Doktor Heim - mówi do lekarza - odpowiada pan za to, aby żaden zdrowy człowiek nie wszedł do tego czołgu. Ten, kto może maszerować, ale odmawia, może sobie tu zostać. Hauptfeldwebel Beier, obejmujecie dowództwo czołgu i każdego człowieka, który spróbuje tam się wspiąć bez zezwolenia, zastrzelicie. Obergefreiter Porta jest kierowcą, Feldwebel Heide przednim strzelcem i obsługuje radio, Feldwebel Gregor Martin strzelcem wieżyczki. - Poszukał wzrokiem Feldwebła artylerii z okrwawionymi nogami - Znacie się na

armatach czołgowych? Dobrze. Wobec tego armata należy do was.

- Jawohl, Herr General - odparł z ulgą artylerzysta, szczęśliwy, że już nie musi maszerować.

Jego stopy są już tylko krwawą masą, ostatnie dwadzieścia kilometrów szedł podpierając się dwoma karabinami w roli kul.

Schodzimy, nieustannie ześlizgując się w kierunku zamrożonej rzeki. Czołg o mało się nie przewrócił wskutek poślizgu na lodzie. Okropne przerażenie. Gdyby gaśienice pękły! Ale Porta jest mistrzem i potrafi manewrować tego rodzaju maszyną jak nikt inny; miejmy tylko nadzieję, że lód wytrzyma pod ciężarem trzech ton stali, bo Don nigdy nie zamarza do dna. Słysząc, jak rzeka ryczy pod szarą skorupą. Wszyscy prócz Porty wysiedli i z drugiego brzegu patrzą z niepokojem, jak czołg posuwa się wężykiem po nierównej powierzchni. Jedzie powoli, wspina się na ogromne bloki lodu, spada z nich w deszczu kryształów i w końcu dociera na drugi brzeg.

Oczy bolą mnie coraz bardziej pomimo kropli od lekarza. Gdyby tylko byli wśród nas strzelcy alpejscy! Ale Naczelne Dowództwo nie przewidziało okularów przeciwsłonecznych dla prostych piechurów.

- Największa banda kretynów, jacy kiedykolwiek wypowiedzieli wojnę - stwierdził niedawno Stary, a Stary nigdy nie rzuca słów na wiatr. - Wysłali nas do Rosji praktycznie bez wyposażenia i wiedzieli o tym. Przez dziesięć lat oficerowie niemieccy byli profesorami w rosyjskiej Akademii Wojskowej i współpracowali przy projektowaniu wyposażenia dla Armii rosyjskiej. Ale my zostaliśmy wysłani bez niczego.

Po sześciu godzinach marszu, pijani ze zmęczenia, ludzie zwalają się na miejscu na pół godziny przerwy.

- Uważaj na elkaem - ostrzega Mały widząc, jak rzucam broń w śnieg. - Może być potrzebny wcześniej, niż przypuszczasz. Masz olej przeciw zamarzaniu? Legionista ma cały litr, widziałem to, gdy wysiadaliśmy z Pzkw 4.

- Nie da mi go za nic - odpowiadam, zbyt zmęczony, by się napraszać.

- A ja pójdę - odrzekł olbrzym. Wkrótce potem powrócił. - On chyba dostał fioła. Dał mi bez słowa, choć zawsze powtarza, że Francuzi nie dają nic za darmo.

Nagle Mały zatrzymał się i nastawił uszu. - Samolot! - Ryknął, spoglądając na bezchmurne niebo.

- Jeden z naszych! To Focke Wulf!

Gregor chwycił raketę i wystrzelił ją w stronę samolotu. Maszyna zakreśliła, wróciła nad nas na 200 metrach, załoga dawała nam znaki, a czarne krzyże pod skrzydłami widać

było wyraźnie. Tańczyliśmy z radości! Czy wyląduje? Ale pilot nie myślał o lądowaniu. Z samolotu wypadł stalowy hełm, żołnierz ubrany w futro dał nam jeszcze jeden znak i wszystko znikło za horyzontem. Do hełmu włożono wiadomość: - „Koledzy, wrócimy. Gdy nas usłyszycie, ustawcie się w kształt krzyża albo wystrzelcie dwa czerwone pociski smugowe”.

- Oni po nas przyjdą! - Nie posiadał się z radości Gregor. Cztery Ju 52 na płozach i wszyscy odlatują!

- Niemożliwe - oświadczył jeden z naszych lotników. - Być może da się tu wylądować pustym aparatem. Z trudem. Ale samolot z ładunkiem nie da rady.

- Tak - potwierdził Stary. - Naszą jedyną szansą jest maszerować. Don był rozczarowaniem, ale nad następną rzeką spotkamy naszych.

- A jaka jest następna rzeka? - Zadrwił Porta.

- Może Ren? O dziesięć minut drogi, prawda? Ja mam wadę serca i stwardnienie wątroby od szóstego roku życia, więc jak chcesz, abym potruczał aż do Renu? Ach, właśnie moje serce! - Jęknął, przyciskając rękę do prawego boku, nim rozłożył się na śniegu.

- Co mu jest? - Zapytał lekarz, zaalarmowany żałosnymi krzykami Porty.

- Choroba serca - odparł Mały. - Pan doktor ma może trochę alkoholu? To zawsze pomaga.

- Symulacja? - Spytał lekarz, patrząc nieufnie na Portę, udającego, że się dusi.

Lekarz nie bardzo wiedział, w co wierzyć. Przybył prosto z akademii medycznej w Grazu, a Stalingrad był szkołą zupełnie inną i brutalną. Ale generał i Oberleutnant saperów podeszli i przez chwilę w milczeniu spoglądali na Portę.

- Wstawać! - Rozkazał generał. - Dość wygłupów!

- Wódki! - Jęknął Porta.

Oberleutnant ze śmiechem podał mu manierkę.

- Dziękuję, Herr Oberleutnant, uratował mi pan życie. Poproszę Adolfa, by dał panu medal za ratowanie ginących.

Obaj oficerowie zawrócili na pięcie, ale lekarz nadal nic nie rozumiał.

- Powinniście zostać zdemobilizowani - stwierdził naiwnie.

Porta oczywiście mu nie zaprzeczył. Tymczasem zakopaliśmy się na noc. Z oddali dolatywały groźne porykiwania silników.

- Wielkie ciężarówki - oświadczył Legionista. - Gdyby im zwinąć kilka i jeden czołg, szybko bylibyśmy u naszych.

Porta spojrział na niego ironicznie.

- Daj ogłoszenie w „Krasnoj Zwiezdie”. Zawsze tak się robi w berlińskich gazetach, gdy się czegoś potrzebuje.

Na wschodzie niebo było fioletowoczerwone, to nadal płonął Stalingrad. Na północy ogromne błyskawice przecinały horyzont.

- Artyleria - oświadczył Heide, ufając swemu doświadczeniu.

- Ależ to niemożliwe - stwierdził Legionista. - Tam nikt już się nie bije.

- No to tym gorzej. Zagrajmy!

- Lepiej będzie, jeśli pośpicie - zauważył Oberleutnant saperów, pokazując się w drzwiach.

Ale już pochwycił nas demon gry. Nie sposób było się opierać i wszyscy podpisali się w czarnej książeczce Porty, który udziela pożyczek, zawsze za niebotyczną cenę.

Dlatego nazajutrz zameldowaliśmy się do wymarszu z oczami czerwonymi z niewyspania i w bardzo złych humorach.

- Za broń - zakomenderował krótko Oberleutnant. - Naprzód! Pzkw 4 na czoło.

Porta idzie dumnym krokiem i pozdrawia z wysokości wieżyczki swoim złotym cylindrem.

- Sądzicie, że jest dość daleko do Niemiec? - Pyta Mały, który zaczyna nie móc dalej.

- Daleko? - Pyta Gregor. - Tak daleko, że od samej myśli dostaje się zmęczenia.

Odpowiada mu niski i melodyjny ryk. Samolot! Wylatuje czerwona raca, He 111 skręca, drzwi ma otwarte, pod skrzydłami podwieszono pojemniki z żywnością, spadochrony rozwijają się. Koniec ze zmęczeniem! Rzucamy się na równinę, by pochwyć bezcenne przesyłki. Kielbasy, wędzona baranina, czarny żołnierski chleb, sardynki! Bagnety służą nam za widelce. Ale generał rozkazuje, by wszystko zgromadzić i podzielić na racje, a Stary podaje mu list, znaleziony w jednym z kontenerów.

„Siedem kilometrów od linii kolejowej Niż Czerkaskaja-Terny silna koncentracja kawalerii. Posuwajcie się ostrożnie. Szosa Kamienskij-Stalingrad zajęta. Mosty chronione przez czołgi. Wielkie formacje posuwają się z zachodu na południe. Kalitwa zajęta przez nieprzyjaciela. Mosty niemożliwe do sforsowania bez ciężkiej broni. Gwałtowne walki koło Ajdaru. Na równinie działają jednostki pościgowe. Najbliższy oddział nieprzyjacielski o 30 kilometrów. Koniec”.

- Kretyni! - Zaklął generał Augsburg. - Ani słowa o pozycji niemieckiej broni pancernej. Gdzie są Rosjanie, sami się przekonamy!

I wyciąga pięść w stronę oddalającego się samolotu. Widzę, jak Stary stoi ze zmarszczonym czołem, oczami wlepionymi w horyzont.

- Zdechniemy jeden po drugim - mówi głuchym głosem. - Wykreślili nas z Armii. To było bez wątpienia nasze ostatnie zaopatrzenie.

General zarzuca na ramię pistolet maszynowy i wstaje z zaciśniętymi pięściami.

- Grupa bojowa, marsz!

I marsz trwa nadal. Mróz kąsa nam twarze i przenika do szpiku kości. Napływają czarne chmury, groźne, wiatr się podnosi. Nadlatuje ze wschodu jakby chciał wypędzić nas ze stepów Rosji, gdzie nie mamy nic do roboty. To wiatr, który tnie ciało jak nóż i powoduje, że ziemia staje się twarda jak kamień. Nagle pojawia się kolumna zaopatrzeniowa, wozy zaprzęgnięte w konie, żołnierze taborowi rzucają się na ziemię albo zajmują pozycję w rowie. Nasz czołg zakręca i chowa się za śnieżnym murem; jeśli zostanie odkryty, będziemy mieli na karku pułk pancerny.

- *Stoj!* - Krzyczą Rosjanie. - *Wy siuda!*

Nabrawszy odwagi biorą bagnet na broń, to spotkanie z nieprzyjacielem jest oczywiście wielką okazją! Nie co dzień taborysta może odgrywać bohatera!

Z linii strzelców wychodzi wielki oficer i idzie w naszą stronę z wycelowanym rewolwerem.

- *Ruki w wierch! Ruki w wierch!*

- Niech cię diabli wezmą - warczy Mały podnosząc broń.

Rosjanin pada, a jego ludzie zatrzymują się jak skamieniali. Wyskakujemy z zasy, a nasz karabin maszynowy trzeszczy. Rosjanie wycofują się biegiem na drogę, ale wielu pozostaje rozciągniętych, małe, umundurowane pagórki na śniegu. Porta stoi za czołgiem, uzbrojony w karabin z lunetką, którym posługuje się jak as, karabin z pociskami eksplodującymi. Jeden pocisk trafia w ramię i ręka zostaje oderwana. Stalin nie troszczy się o konwencje międzynarodowe.

Komisarz z knutem w ręku odsyła ludzi do ataku, a strach przed komisarzem jest większy, niż ten przed nami.

- Osłaniaj mnie! - Krzyczy wstając z miejsca pionier z miotaczem ognia.

Długi, straszliwy płomień rzuca się na Rosjan. Pionier śmieje się okrutnie i pompuje nowy ładunek nafty do rezerwuaru.

Nikt nie lubi pionierów od miotaczy ognia, katów wojny. Ale gdy coś źle idzie, lepiej ich mieć przy sobie. Nawet w garnizonie nigdy nie chodzimy do ich kwater. Oni wszyscy są zawodowcami i nigdy nie widziałem, by pionier od miotaczy ognia uśmiechał się, ani nie widziałem, by jakaś dziewczyna z nimi tańczyła. Czarne naramienniki z wyhaftowanym, żółtym płomieniem wszystkich przerażają.

Pionier salutuje mi dwoma palcami przyłożonymi do czapki i biegnie gdzie indziej, by zmieniać w węgiel inne ofiary. Nagle natarcie zatrzymuje się, nad śniegiem zapada cisza, na drodze konie drepczą w śniegu, ciemność powoli ogarnia kraj nad Donem.

Generał Augsburg rzuca się wyczerpany obok nas, jego zmarznięte wargi krwawią.

- O godzinie 23.00 zmykamy. Kierunek zachód. Zbiórka nad Czyrem, to tylko 60 kilometrów.

- Tylko - mówię do siebie. - Czemu nie Nowy Jork? Nigdy tam nie dotrzemy.

Nowy atak, rosyjski komisarz wyje z wściekłości. Mój elkaem trzeszczy i przeklinam sam siebie, że wyrzuciłem trójnog, bo tę broń trudno trzymać. Rozzłoszczony Mały mi ją wrywa, ciągle strzelam za blisko. Owija sobie ramię na szyi i nie przejmując się ostrzałem nieprzyjacielskim wstaje, strzelając z biodra. Wrzeszczy pijany zabijaniem. Taśma kończy się.

- Amunicja, kretynie!

Staczam się w śnieg, chwytam skrzynkę i zdjęty paniką niezdarnie ładuję karabin maszynowy. Mały odpycha mnie brutalnie, on nie zna strachu. Jest za głupi na to.

Natarcie zwalnia, Rosjanie okopują się i dwóch bliżej nie znanych piechurów, ciągnąc karabin maszynowy, zajmuje pozycję obok nas. Są to starzy, doświadczeni żołnierze, byli pod Moskwą.

Z dala słychać krzyki: - Sanitariusz! Sanitariusz!

Lekarz pospiesznie przybywa, z wielkim workiem opatrunków na plecach. Wszędzie te żalosne krzyki i nikt nie może nikomu pomóc. Ranni rosyjscy wykrwawiają się sami na stepie aż do śmierci. Żołnierz piechoty morskiej został draśnięty w rękę, więc wsadzamy mu w ranę całą paczkę gazy, co oczywiście wywołuje jego skargi. Ale Legionista patrzy na mnie: wokół rany ciało już sfioretowiało. Czy trzeba będzie amputować?

- Masz szczęście, że to nie był pocisk smugowy, a tylko przestarzała kulka - mówi pocieszająco Por ta. - Gdyby nie to, oderwałoby ci rękę.

Wzdłuż całej pozycji podawany jest rozkaz generała: - Punkt spotkania Czyr.

- Co to jest Czyr? - Pyta Mały.

- Rzeka - odpowiada ze zmęczonym wyrazem twarzy Stary. - W Rosji maszeruje się od rzeki do rzeki, a jest ich dużo.

Milczymy, spojrzenia mamy zamglone; nieludzki mróz kąsa nas do kości, chmury przesłaniają księżyc, odbłask od śniegu słabo rozjaśnia noc. To dobra pora na ucieczkę.

W oddali dziwne wycie.

- Wilki - mruczy piechur przy cekaemie.

Słyszymy, jak na drodze rżą zaniepokojone konie, boją się wilków inaczej, niż ludzie. I w tym momencie w niebo wzbija się rakieta.

- Przychodzą z drogi! - Krzyczą z drugiego końca pozycji.

- Porzucić broń ciężką - rozkazuje jakiś Feldwebel artylerii. - Wy dwaj, osłaniajcie odwrót - mówi do Małego i mnie.

I oddala się z cekaemem.

Z niepokojem spoglądam na zegarek. Mijają sekundy. Jeszcze dziesięć minut.

- My też się zmywajmy - proponuje Mały. - Zapomnieli nam podziękować. Lepszy żywy tchórz od martwego bohatera!

Wokół nas panuje przerażająca cisza, nie ośmielamy się mówić głośno i przesuwam bezpiecznik mojego pistoletu maszynowego.

Strach ściska mi gardło.

- Jakiś hałas - mruczy nagle olbrzym, przysunąwszy usta do mego ucha.

Wszyscy wiedzą, że ma niezwykły słuch. Z dwóch kilometrów słyszy oddychającego wróbla. Słucham... I także słyszę. Na równinie dziwne trzeszczenie... Ale widzę co to jest: nieprzyjaciel robi podkop w naszym kierunku.

- Już ja im pokażę! - Obiecuje olbrzym.

Wiąże razem trzy granaty i posuwa się nieco do przodu. Wybuch, krzyki...

- Zmywamy się! Najwyższy czas, albo wkrótce zdechniemy jak bohaterowie.

Doganiamy kolegów koło zamarzniętego strumyka, biegną ciężko w śniegu i nagle piechur z cekaemem wrzeszczy i pada: zbłąkana kula rozerwała mu plecy. Nic się nie da zrobić jeśli trafi cię taki pocisk wybuchający. Oblewa mnie jego krew. Jak długo biegniemy? Nie wiem. Ale w końcu trzeba się zatrzymać i runąć z wyczerpania w śnieg z tymi okropnymi kolkami w boku, przesywającymi jak szpada. Na równinie słychać pojedyncze strzały.

- Iwan oczyszcza teren - stwierdza Legionista - Nagan pracuje.

Ktoś krzyczy i żali się. Wystrzał. Krzyk milknie, rżenie. I odwrót trwa dalej, na zachód, daleko od morderczych naganów. Maszerujemy przez całą noc. Niektórzy dają za wygraną i rzucają się na zamrzniętą ziemię, albo zwijają się w szare kłębki i bardzo szybko umierają z zimna.

- Zwycięski odwrót 6. Armii! - Szydzi Legionista. - Przyjdź, słodka śmierci, przyjdź!

Zatrzymuję się na chwilę, by się obejrzeć. Oto co zostało z prawie milionowej armii; ledwie trzystu zrozpaczonych, wyczerpanych uciekinierów, z których wielu odmówi pójścia dalej. Ale śmierć z zamrznięcia nie jest straszna; nagan w potylicę jest znacznie gorszy, a i to jest lepsze, niż zostać ukrzyżowany na drzwiach, albo wykastrowany kleszczami kowalskimi,

taka mała, wyszukana przyjemność niektórych pułków kozackich. Taki los spotkał wielu żołnierzy ze Stalingradu.

Ale jestem starym żołnierzem, choć mam ledwie dwadzieścia lat. Wiem, że wiele ważniejsze niż odbyć podróż dookoła świata jest trzymać swą broń w dobrym stanie. I nade wszystko, nade wszystko nie dać się wziąć do niewoli. Trzymam mój elkaem pod pachą, w kieszeni granat, a ci, którzy zechcą mnie schwytać, pospieszą do wieczności wraz ze mną. Porta ma Walthera przywiązanego do mankietu, jeśli podniesie rękę, może z niego wystrzelić na odległość. Natomiast Mały ma ukryte w kurtce dwie paczki plastiku, który może zdetonować zapalnikiem własnego wynalazku. Nade wszystko nie dać się wziąć do niewoli! Jako pułk specjalny nie możemy oczekiwać od przeciwnika żadnej litości i to dziwne, że pułk PP, Politycznie Podejrzanych, jest przez obie strony gorzej traktowany, niż regularne pułki.

- Komuniści i naziści mają taką samą mentalność - powiedział Stary. - Na tych, których naziści określają jako podejrzanych, komuniści też nie liczą.

Dlatego każdy żołnierz PP jest nieuchronnie likwidowany i niezależnie od tego pod jakim walczy znakiem, swastyką czy czerwoną gwiazdą. Oto czemu ludzie PP, niemieccy czy rosyjscy, nigdy się nie poddają. Do nieprzyjaciela przechodzą tylko ludzie z batalionów dyscyplinarnych, innymi słowy kryminaliści i skazani za przestępstwa pospolite, których wyciągnięto z więzień by pod przymusem wcielić do wojska.

Ten Adolf Hitler to dziwny człowiek. Nigdy nie zostanie kanclerzem, najwyżej ministrem poczty, a i to bardzo wątpliwe! To tylko zarozumiały Czech, który wynurzył się z rynsztoka. Że ludzie się go boją, oto czego nie mogą pojąć! Najdalej za rok zostanie zapomniany, a o jego partii młodych łobuzów nikt nawet nie będzie mówił.

Prezydent Rzeszy Hindenburg w rozmowie z generałem Schleicherem i biskupem Münsteru. 24 lutego 1931

1 października 1933, podczas inauguracji obozu Dachau, inspektor generalny obozów koncentracyjnych Standartenführer SS Teodor Eicke miał następujące przemówienie do swego pułku, słynnego i złowrogiego pułku „Totenkopf”.

- Tolerancja i humanitaryzm są oznakami słabości. Człowiek, który nie czuje się zdolny do poderżnięcia gardła swej matce i wykastrowania ojca jest słabeuszem. Nasze wyznanie wiary da nam siłę. Będziemy bez wahania stosowali najbrutalniejsze środki, bo lepiej zlikwidować dziesięciu niewinnych niż pozwolić umknąć jednemu winnemu. Zwykły obywatel, żyjący swym malutkim, spokojnym życiem nigdy nas nie zrozumie, jego wyobraźnia nigdy do nas nie sięgnie; ale to co robimy w naszych obozach przeciw podludziom i istotom politycznie aspołecznym musi pozostać najściślej tajne. Wy, moi żołnierze z mego oddziału „Totenkopf, musicie stać się twardzi jak granit. Niech widok krwi nie będzie wam bardziej przykry, niż wody. Cieszcie się z mordowania zdrajców, intelektualistów, niszczenie książkowych marzycieli, palcie ich dzieła, miażdżcie to wszystko! Państwo narodowo-socjalistyczne ma trzech zaprzysięgłych wrogów: księży, Żydów, intelektualistów. Jeśli nie możecie im postawić żadnych zarzutów, wynajdujcie zarzuty, tylko nie popuszczajcie, miejcie zawsze przy sobie zakazane ulotki, by je im podrzucać i natychmiast wołajcie chłopców Heydricha. Cel uświęca środki, taka jest nasza dewiza. Ci, którzy wejdą żywi za nasze druty kolczaste, wyjdą jako martwi, ale najpierw dajcie im poznać pobyt, który dla nich rezerwujemy!

Są jeszcze na wysokich pozycjach, nawet w Gestapo, ludzie nieumiejący pojąć, że jesteśmy w samym środku ery krwi. Ci imbecyle powymyślali zasady humanitaryzmu i przyzwoitości. Podetrzyjcie sobie dupy tymi zasadami, ale nigdy nie dajcie się złapać i to wszystko. Cierpliwości, żołnierze Śmierci! Pewnego dnia wszyscy zdrajcy, bez wyjątku, znajdą się w pasiakach w obozach i tego dnia będą wiedzieli, kim jesteśmy!

Rozdział 13

Tańce u Kałmuków

Od pięciu godzin brnęliśmy w takiej burzy, że widziało się na pół metra przed sobą, a wieś odkryliśmy dopiero, gdy znaleźliśmy się w samym jej środku.

Porta o włos uniknął rozwalenia którejś chaty swym Pzkw 4 i wszyscy chwycili za broń, bo w samotnej wsi mogą być tylko wrogowie. Pzkw 4 cofnął się, z długą lufą gotową do strzału. Legionista kopnięciem otworzył drzwi chałupy i fala gorąca uderzyła nas w twarze jak zaciśnięta pięść”.

W niskiej izbie ujrzelśmy grupę cywilów, patrzących na nas z przerażeniem. Pośrodku nich stara kobieta, siedząca na stołku do dojenia, trzymała na kolanach misę pełną ziarenek słonecznika, zza wielkiego pieca wyglądały nieufne twarzyczki dzieci.

- *Ruki w wierch!* - Krzyknąłem nerwowo, podsuwając rewolwer pod nos młodemu człowiekowi w podartej barankowej kamizelce i niemieckich spodniach.

Wstał powoli z rękami nad głową. Gregor go obszukał. Nie znalazł żadnej broni. Legionista wślizgnął się za piec, ale znalazł tam tylko zapłakane dzieci, po których chodziły legiony wszy.

- Bogu dzięki, wróciliście, Niemcy! - Rzekł stary człowiek, przyjacielsko wyciągając do nas dłonie.

- Dobrze wiedzieliśmy, że wrócicie! *Babuszka* nie żyje.

- Kim u diabła jest babuszka? - Krzyknął Mały.

- Czy byliśmy już tutaj? Te wszystkie cholerne wsie są do siebie podobne. Raczej zabij tego starego capa! Nie lubię ludzi wyciągających rękę, by udawać przyjaźń. To taktyka gestapowców, gdy chcą kogoś zapudłować i wiadomo, do czego to prowadzi.

Wieś została natychmiast przeszukana, ani jednego radzieckiego żołnierza, tylko cywilni Kałmucy. Pozapalali małe lampki przed ikonami i zaprosili nas na herbatę. Samowar śpiewał wesoło.

- Znakomita! - Orzekł Mały, dmuchając w filiżankę, - ale dolewka rumu jeszcze by ją polepszyła.

- Będziesz pił tę herbatę taką, jaka jest - oświadczył twardym głosem Legionista, albo złamię ci pysk. Ta herbata jest święta, to symbol gościnności.

Legionista nie znośli, gdy lekceważyło się świętości. I nagle zawstydzilem się mego lekkiego karabinu maszynowego, trzymanego pod pachą, złożyłem go na ziemi, ale ku memu

wielkiemu niezadowoleniu któraś stara kobieta przeniosła go ostrożnie w pobliże pieca. Nieprzyjemny gest, poczułem się nagi.

- *Gospodin*, jesteśmy waszymi sługami - powiedział Porta, kłaniając się z szacunkiem staroście wioski.

Kałmucy natychmiast pospieszyli ofiarować mu prezenty, za które podziękował w nader łamanym rosyjskim, ale ujrzelśmy jak podaje im swój pistolet maszynowy.

- Nie zwariowałeś? - Spytał oszołomiony Mały.

- Zamknij się i rób jak mówię - szepnął Porta.- Nie przestawaj chwalić ich gówna, bo jak nie, będą się spodziewać w zamian prezentów znacznie większej wartości, a jeśli nie masz niczego lepszego do podarowania, tracisz twarz.

- Rosja! - Mruknął Stary. - Dziwna i tajemnicza Rosja. W jednym miejscu wsadzają ci kulkę w potylicę, tuż obok witają cię jak księcia. I to jest kraj, który ten austriacki wieśniak Adolf sądził, że podbije. Co za kretynizm!

- Uważajcie! - Szepnął Legionista. - Są w tej chwili łagodni jak baranki, ale jeśli ich obrazić, podrzynają gardła.

Po chętnie przyjętej filiżance herbaty, kobiety uprzątnęły wielki stół, ustawiony na drewnianych kozłach i przykryły go wspaniałym, haftowanym obrusem, dziedzictwem po starożytnych pokoleniach. Podano nam kałmuckie wino w wielkich kubkach i jagnię pieczone na rożnie, przyniesione przez dwie dziewczyny, które je postawiły przed starostą. Ten wyciągnął ostrą kozacką szablę, którą zamachnął się nad głową. Coraz bardziej zaniepokojony Mały zaczął obmacywać swego nagana.

- Idioci! Dajecie się wykipiwać przez tych groźących nieszczęściem Ruskich!

Błyszczącą szablą starosta odciął głowę jagnięcia, podniósł ją bardzo wysoko i uroczyście położył przed Portą. Wszyscy siedzieli na klepisku, ale Porta miał prawo do poduszki pod tyłkiem; dowód szczególnego szacunku, przysługujący tylko gościom wysokiej rangi. Czworo dziewcząt w białych sukienkach, symbolizujących zimę, weszły tańcząc, za nimi zaś cztery inne w sukniach niebieskich symbolizujących wiosnę; izbę wypełniły dźwięki bałajek. Mały na widok dziewcząt podniósł swą wielką i szeroką postać, zawijając rękawy na gorylich rękach, śmiejąc się z pożądania.

- Zachowuj się, kretynie! - Skarcił go Legionista i zdecydowanie zmusił usiąść. - Tu nie jesteś w burdelu!

Olbrzym usiadł nachmurzony. Według niego tańczące dziewczyny są dostępną zwierzyną, bo jeśli nie, po co tańczyć? Taniec jest gimnastyką przygotowawczą do łóżka. Porta wydobyl mózg jagnięcia, przeciął go na połowy i jedną podał staroście, drugą jego

najstarszemu synowi. Rozległ się szmer podziwu, obecni wyraźnie widzieli w nim wielkiego pana.

Pełne kubki podawano nieustannie. Obecni grzecznie bekali. Ale Porta naprawdę został wielkim człowiekiem, gdy odciął prawe ucho jagnięcia i podał je najstarszej córce. Był to szczyt dobrych manier. Później pewna stara kobieta opowiedziała nam, co się działo przed naszym przybyciem. Oddział kawalerii pod dowództwem komisarza w czapie z białego futra przybył do wsi i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli była brunatna koszula, susząca się za chatą babuszki.

- Esesowska koszula - stwierdził Legionista. - Rzeczywiście, niezbyt szczęśliwe wydarzenie.

Komisarz zerwał koszulę i dał ją do podeptania koniowi, podczas gdy dwaj enkawudziści znaleźli babuszkę ukrytą w wielkim piecu, gdzie w 1917 roku już ukrywała żołnierzy trockistowskich.

- Najpierw powiesili mego syna, mówiąc, że po winien był dołączyć do Petra, syna sąsiadów, który teraz jest komisarzem na północy, blisko Oceanu Lodowatego. Babuszkę powiesili następnie za kolchozową owczarnią. Zabrali też innych ludzi, którzy mieli pocerowane lub połatane niemieckie skarpetki albo mundury; trzem starcom, którzy rąbali drewno dla kuchni polowych poderżnięto gardła i zabronili nam pochować zwłoki, które nadal leżą tam, pod śniegiem. To dobrze, że wróciliście, *Giernancy*, nie trzeba rozstrzeliwać komisarzy, ale przyprowadzić ich do nas, my się nimi zajmiemy!

Podczas gdy Porta i Mały zabierali ze sobą dwie dziewczyny, nie wyglądające na wystraszone, ja zasnąłem przy stole. Stara kobieta pogłaskała mnie po czole, jej syn był w moim wieku, gdy go powieszono... Gdybyż wojna mogła się skończyć w tym momencie! Nie musieć już zabijać! Zostałbym tu na zawsze, a wieczorem zasypiał z szorstką ręką starej kobiety na czole.

Nazajutrz rano, w godzinie wymarszu, biedna kobieta dała mi udziec barani.

- Niech Bóg cię strzeże, mój chłopcze.

Wszyscy wieśniacy odprowadzili naszą kolumnę przez kawałek drogi, machając nam na pożegnanie. Ale nikt nie odważył się przekroczyć rzeki. Na zachodnim brzegu istniało tylko samo zło: komisarze noszący nagany na końcu rzemienia.

- Przeżyłem to samo w Indochinach - powiedział Legionista. - Mówi się do widzenia wrogom i daje się zabić przez przyjaciół. Oby Allah chronił tych ludzi, jeśli rosyjscy komisarze dowiedzą się, że tędy przeszliśmy!

I odwrót trwa dalej. W lesie bijemy się z Kozakami, zagubionymi jak my w śnieżnej

burzy. Wszystko rozgrywa się w ledwie kilka minut, Kozacy zostają zlikwidowani, a ich konie rżąc galopują po stepie, z pustymi siodłami i powiewającymi strzemionami.

Czyr! Nareszcie Czyr! Gdzie są nasze linie? Nieopisane rozczarowanie. Byliśmy tak pewni, że znajdziemy tu naszych! Ale nic, zupełnie nic. Tylko wyjąca burza od Kazachstanu.

Więcej już nie możemy. Nawet najbardziej uparci są u kresu sił, nawet generał Augsberg, który pada, zakrywając twarz rękami.

- Boże - szepcze - dopomóż nam. Przez litość dopomóż nam!

Zapomina, że w SS zakazana jest wiara w Boga.

Żadnych strzałów armatnich, najmniejszego głosu artylerii, nie słyhać żadnego dźwięku, zdradzającego istnienie frontu, a przecież słyhać go nawet na 100 kilometrów. Ogromna Rosja! Ogrom kraju, zdolnego unicestwić całą armię!

- Brigadenführer - mówi zaniepokojony Oberleutnant saperów, nie może pan ustąpić! Nie może pan nas porzucić!

- Spierdalaj! - Wyje generał Augsberg. - Spierdalaj. Dalej już nie mogę.

- Brigadenführer, zaufaliśmy panu. Obiecał pan wyprowadzić nas stąd.

- Znikajcie! - Krzyczy generał do oficera, świadka jego słabości.

Wstaje z kamienną twarzą, poprawia monokl i przygląda się Oberleutnantowi, zawiniętemu w niebieski szal, zrobiony na drutach przez jego matkę i przysłany do Stalingradu ostatnią pocztą.

- Kolumna naprzód marsz! - Komenderuje przez zaciśnięte zęby.

Przekroczyliśmy Czyr.

- Następny ciek wodny to Kalitwa - mówi Stary. - Ale przecież niemożliwe, by nasi byli za nią.

- Za Kalitwą jest Ajdar - odparł bez tchu Legionista. - Następny będzie Oskoł, a stamtąd jest nie więcej, niż 200 kilometrów, by dotrzeć do Dońca.

- A kto mówi, że front jest nad Dońcem? - Zapytałem. Żaden z nas nie ma tyle siły, by dotrzeć do Dniepru, a zapominacie o wielkiej liczbie małych rzeczek, znajdujących się między wielkimi. Ja już dalej nie mogę!

Obok mnie wlecze się jakiś Feldwebel. To ostatni, który przeżył ze „Szczęśliwej Dywizji”, jednej z najsłynniejszych jednostek Armii Niemieckiej. Kapelan dywizji, na krótko przed bitwą o Czerwony Październik powiedział, że nic nie dzieje się bez woli Boga. Czemu Bóg pozwolił, by „Szczęśliwa Dywizja” została unicestwiona rosyjskimi miotaczami ognia w Stalingradzie? Większość jej efektywów pochodziła z misji w północnych Niemczech, a wszystkie obrzędy religijne były skrupulatnie odprawiane.

Za nami truchta oficer-płatnik wiedeńskiej dywizji „Grossdeutschland”. Bez przerwy opowiada o ulepszeniach, jakie wprowadzi w swym hotelu w dniu, gdy wróci do Wiednia. Niegdyś nie myślał nawet by rozmawiać z niższym od niego stopniem, teraz dyskutuje o przyszłości z Portą, który tłumaczy mu, by zainstalować tam bar z potajemnym burdelem.

- Tylko z tego jest kasa - oświadczył z przekonaniem Porta.

Noc spędziliśmy w opuszczonej wsi, której chaty były już tylko wypalonymi ruinami. W pewnej stajni leżał martwy, zamrożony koń, ale jego mięso rozmrożone staraniem Porty i sprzedawane jako wołowina natychmiast znalazło amatorów. Pewien Feldwebel twierdził nawet, że to najlepsze mięso, jakie kiedykolwiek jadł.

- Czy można jeść ludzi? - Zapytał Gregor, spoglądając z ukosa na grubego podoficera, przechodzącego z roztargnioną miną.

- Żre się wszystko - odpowiedział Porta. - W obozie jeńców rosyjskich koło Paderborn, sprzedawano ludzkie wątroby. Oczywiście najsurowiej zakazane, ale wszyscy o tym wiedzieli i nic nie mówili. Zawsze najważniejsze jest jedno - przeżyć.

Rano znów wyruszyliśmy, ale ten Pzkw 4 już nie życzył sobie. Silnik zamarł, a ponieważ nie mieliśmy czym go naprawić, zmuszeni byliśmy porzucić go we wsi.

Burza była coraz silniejsza. Gdzie jest front? Wszyscy wyteżają słuch, by usłyszeć jakiś hałas, dochodzący z frontu. Porta twierdzi, że frontu nie ma już w Rosji, jest na Renie, bo Ren często decydował o losie Niemiec i to tam - twierdził - Adolf stawi swój ostatni opór.

Odwrót trwa, ale kolumna składa się już tylko z 300 ludzi. Prawie pięciuset zostawiliśmy na stepie: odmrożone kończyny, dyzenteria, tyfus i wyczerpanie zabiły większość z nich. Nawet, jeśli trzeba się obawiać oddziałów pościgowych NKWD, jednak zapalamy ognisko. To z pewnością niebezpieczne, ale niszczy nas obrzydliwe, rosyjskie zimno. Porta zapala narkotycznego papierosa i obchodzi z nim naszą grupę, ale papieros nie jest nawet wypalony do końca, gdy rozlega się rozkaz:

- Naprzód marsz! Jeden z Feldwebli nie wstaje.

- Chodź więc - mówię. - Jeśli zostaniesz tutaj, to śmierć.

- Ja już nie mogę! - Jęczy, przyciskając ręce do brzucha.

To stary człowiek, jeden z ostatnich zmobilizowanych, więc nazywano go „przesyłką pocztową”. Brał już udział w pierwszej wojnie światowej. Popatrzyłem na niego, leżącą szarą kupkę człowieka, który jeszcze parę tygodni temu był nader aroganckim funkcjonariuszem.

- Jazda - powiedział Gregor - chyba nie chcesz zostać tu porzucony? Jesteśmy prawie u końca drogi. Czy nie słyszysz armat?

- Armat? - Zapytał z wysiłkiem. - Błagam cię, nie oszukuj mnie. Nie słyszę armat.

- No to zdychaj - oświadczył obojętnie Gregor. Pochyliłem się nad starym.

- No więc chodź.

- Już nie mogę - odpowiedział pochlipując. - Ty jesteś młody, pospiesz się dołączyć do tamtych. Jestem stary i bardzo zmęczony, daj mi umrzeć.

- Co tu robicie? - Zapytał przechodzący Oberleutnant. - Dołączcie do kolumny.

W milczeniu wskazuję szary kłębek w śniegu. Oficer wzrusza ramionami.

- Dyzenteria. Zostawcie go, on nie zdoła maszerować nawet przez jedną godzinę. Czemu u diabła nie został w Stalingradzie?

Wyciągam jego rewolwer patrząc na nieszczęśnika, a potem wkładam broń do kabury i zabieram się do odejścia wielkimi krokami.

- Kolego - mówi umierający i podaje mi kawałek papieru - jeśli zdołasz uciec, wyślij to do mojej żony i opowiedz jej, jak nas zdradzono w Stalingradzie.

- Obiecuję. - Ściskam jego dłoń. - Powiem wszystkim, nie tylko twojej żonie, że ci przekłęci wysłali nas na zgubę.

- Jesteś, zmokła kuro? - To głos Heidego, który słyszę za plecami. - Szukamy cię, co tu robisz?

- Nie wiesz? On umiera.

- No i co? Są inni. - Wciska mi w rękę elkaem, a twarz ma twardą jak kamień. - Bierz swoją polewaczkę. Jesteś żołnierzem, nie księdzem.

Maszerujemy całą noc, nazajutrz i jeszcze następnego dnia. Schodzimy ze stromych brzegów rzek, wlecemy się po stepie, przedzieramy się przez lasy. Rosja, ogromna i bezlitosna Rosja! Za nami czyhają enkawudziści, ludzie w czapkach z malinowymi otokami, mali Sybiracy, którzy umieją „polować” na człowieka całymi tygodniami.

Piechur z cekaemem nagle pada bezwładnie, tak szybko, że potykam się o jego ciało. Nie ma żadnej wątpliwości: czerwona twarz, zgorączkowany, szyja usiana czerwonymi punktami. Tyfus. Potrząsam nim, lecz jest nieprzytomny. Wobec tego wyciągam jego Mausera 08 z drewnianej kabury i kładę koło niego. Niewiele uszliśmy, gdy dał się słyszeć wystrzał.

Biwakujemy w lesie, gdzie zakopaliśmy się w śniegu, większość z nas natychmiast zasypia, ale nasza grupa zbiera się wokół ogniska. Porta piecze koninę, ma też torbę soli, Gregor kilka cebul, ja ziemniaki, Stary trochę mleka w proszku. Królewski posiłek! Kilka papierosów pociętych na kawałki i morale sięga szczytu. Tak niewiele potrzeba do szczęścia!

Ogień grzeje nam podeszwy i skłania Portę do zdjęcia butów. Jego wielki palec u nogi jest siny... Spieszymy, by z wysiłkiem zdjąć i nasze buty, gdyż nic nie jest zdradliwsze od

odmrożonej kończyny i rozcieramy stopy śniegiem, choć to wywołuje okropny ból. Wezwany na pomoc lekarz zarządza ogólny przegląd stóp, a doszedłszy do generała Augsburga stwierdza, że jego lewa stopa sinieje. Końska kuracja powoduje, że generał klnie z bólu. Ale przecież bóle są dobrym znakiem; natomiast gdy żołnierz z posiniałą dolną częścią nogi, twierdzi, że nie czuje bólu, wówczas jego noga zaczyna nieprzyjemnie śmierdzieć.

- Będę musiał ją amputować, jeśli mam mu uratować życie - szepcze lekarz do Augsburga. Ale jak przetransportować jednonogiego?

Generał odwraca się z ponurą miną i odchodzi bez słowa.

Nagle widzimy, jak Mały podskakuje, spoglądając na odległy las.

- Coś się tam rusza!

Słuchamy z napiętymi nerwami. Nic...

- Pomyłka - stwierdza Porta, ale jednak gasi ognisko.

- Mówię ci, że coś jest w młodniku, do cholery! Trzask... Niezwykle uszy Małego nie zawiodły go i już leży na śniegu z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Wyężając wszystkie zmysły wpatrujemy się w noc. Znow trzasnęła gałązka podsycia. Koniec wątpliwości. Ktoś się kieruje w naszą stronę i są to z pewnością ludzie; zwierzęta hałasują tylko raz, to wiemy, znamy tę pustynię z jej zwyczajami i odgłosami. My też staliśmy się zwierzętami. Tamci są jeszcze bardzo daleko, ale w absolutnie cichym lesie najmniejszy odgłos dociera nocą na ogromne odległości.

- Ruscy!

Słowo podawane jest szeptem od dziury do dziury i wystarczy, by natychmiast zapomnieć o dyzenterii i wyczerpaniu. Wszystko, tylko nie wpaść żywcem w ręce NKWD. Widzieliśmy aż nazbyt dużo trupów torturowanych, by oczekiwać ludzkiego zachowania od ludzi w czapkach z malinowym otokiem. Hałas jest wyraźniejszy. To z pewnością są Sybiracy z NKWD, uzbrojeni w pepesze i długie nahajki, przyczepione do nadgarstków. Musieli widzieć nasze tropy w śniegu, a my wiemy, że ci żołnierze z dalekiej Syberii nigdy nie porzucają tropu. Urodzili się do polowania na ludzi.

Słyszymy głosy, ochryple rosyjskie głosy.

- *Giermancy... Job twoju mat.*

- Uciekajmy - szepcze wstając Mały. - Nienawidzę NKWD.

- Za późno - mówi Legionista chwytając go. - Ci potępieńcy będą szli naszym tropem na koniec świata. To oni albo my, nie ma wyboru. Znam to od czasów Rifu, ci przekłenci Berberowie wszędzie na nas czyhali. Pewnego razu czekali na nas wzdłuż nowej szosy Casablanca-Marakesz, za kępami trawy i wybili całą kompanię. Uratowało się nas tylko

czterech.

Grupa białych widm przesuwają się bezgłośnie po podszyciu na nartach. Pod białymi maskami domyślamy się czarnych oczu, śledzących nas przez szpary. Strach ściska mnie za gardło i tylko pruska dyscyplina zabrania mi strzelać i kosić te widma. Grupę prowadzi wysoka postać z nahajką u nadgarstka. Na białej czapce czerwona gwiazda z sierpem i młotem. Komisarz polityczny.

- Naprzód, psy! - Szczeka, pokazując w naszą stronę.

- Kurwa mać! - Mruczy Mały, odbezpieczając granat.

- *Dawaj, dawaj!* - Wrzeszczy bez przerwy komisarz, poganiając swych zakłopotanych zwiadowców.

Teraz narty skrzypią na twardym śniegu, ludziom podobnym do demonów błyszczą tylko oczy.

Legionista, czując mój niepokój, ściska mi dłoń. Na szczęście zamieniłem mój stary elkaem na najnowszy model, niedawno zrzucony nam na spadochronie.

Strzał karabinowy rozdziera ciszę. Komisarz chwytając się za pierś i pada. To jeden z naszych stracił głowę i wystrzelił, ale przynajmniej skutecznie. Przenikliwy gwizdek generała. Huk gromu. Dywan ognia toczy się po równinie, z młodnika słychać pistolety maszynowe, a kora z drzew dolatuje aż do nas. Ale widma znikły. Na śniegu leży sześć białych trupów, które śnieg już przykrywa lekkimi płatkami. Żadnego dźwięku. Nikt nie będzie wątpił, że ci tropiciele pozabijali się wzajemnie podczas tropienia.

- Hauptfeldwebel Beier szepcze Oberleutnant - zbadajcie las z waszą drużyną, będziemy was osłaniać. Trzeba zejść od tyłu enkawudzistów, by ich zniszczyć do ostatniego. Żadnych jeńców. Rozkaz generała.

- Zawsze my! - Mruczy Porta. - Dlaczego tylko my mamy osłaniać odwrot Adolfa? Można uwierzyć, że wojna byłaby przegrana, gdyby nas tu nie było!

- Jak zwykle masz rację, bracie - potwierdza Legionista, biorąc swój nóż w zęby.

- Bądźcie cicho i szukajcie wszystkiego, co się rusza - gromi nas Stary zza naszych pleców.

Tymczasem przeszliśmy przez cały las, nie spotkawszy Rosjan.

- Są tam w środku - mówi Mały, wskazując gęsty zagajnik. - Właśnie usłyszałem, jak jeden Ruski pierdzi.

Zachodzimy od tyłu Rosjan, którzy całą uwagę skupiają na naszej dawnej pozycji. Bez dźwięku zakładam bagnet na broń. Porta pierwszy wskakuje do zagajnika i ciosem łopatką odcina głowę wartownikowi.

- *Allah el Akbar!* - Ryczy Legionista nacierając. - Niech żyje śmierć!

Zdumienie paraliżuje enkawudzistów, nie spodziewających się, że śmierć zajdzie ich od tyłu. Zabijamy bez litości. Legionista chwytając dwóch jeńców, którzy podnieśli ręce. Skośne oczy w szerokich twarzach błagają.

- Przykro mi! To wojna!

I dwa ciała padają z przebitymi piersiami.

Mały nie posiada się z radości, bo przywłaszczył sobie dziewięć nowych złotych zębów. Potrząsa swym skórzanym woreczkiem pod nosem bardzo rozzłoszczonego Porty. Nikt nie lubi, gdy uczeń go przewyższy. Woreczek znika w tajnej kieszeni munduru olbrzymia i biada temu, kto próbowałby go szukać!

Na horyzoncie pojawia się dzień jak cienka nić szarości za lasem, który teraz wygląda jak czarna ściana, groźna i mściwa. Słońce wstaje i ogarnia śnieżną pustynię, tarcza koloru krwi wznosi się na niepokalanej przestrzeni, niebo rozjaśnia się, zmienia w błyszczący błękit i jest tak pięknie, że się na chwilę zatrzymujemy. Coś wspaniałego! Flet Porty śpiewa pozdrowienia dla słońca, kryształowy dywan świeci wszystkimi kolorami ognia. Ale niestety, oczy tak mnie boją, jakby szpiczaste ostrza przebijały czaszkę. I ogarnia mnie przestrach przed takim pięknem, gdy widzę jak ta biel zmienia mi się w szarą watę, szare koła tańczą przed siatkówką. Czy oślepnę? Rozcieranie oczu rękawicami tylko powiększa ból.

Przejęty współczuciem Stary otacza mi barki ramionami, jego też śnieg o mało nie oślepił i wie, jak cierpię. Jeden z naszych kowali umiera po południu. Należał do 1. Dywizji Kawalerii, ale wszystkie jej piękne konie zostały zabite i zjedzone po tym, jak dywizję zmiażdżyły T 34. Dziś ostatni z ocalonych umiera na śniegu i wiemy, że ma specjalne okulary. Ale ileż czasu zajmuje mu umieranie!

- Zabij go - proponuje Mały - to będzie koniec.

Prawie się na to decydujemy, ale on wydaje ostatnie tchnienie i bez najmniejszych skrupułów chwytam jego okulary. Jakież szczęście! Te tak rzadkie okulary przeciwsłoneczne? Tylko Rosjanie mają tego rodzaju szkła, dostarczane przez Amerykanów, bo od wiosny 1942 wymienili całe swe stare wyposażenie na pierwszorzędne, przysyłane prosto z USA.

Czuję się tak, jakbym dostał nowe oczy i szybko podążam do lekarza, by wpisał mi te okulary do mojej książeczki wojskowej, bo jeśli nie, niestety, mógłbym mieć kłopoty.

- Nie ośmielę się - protestuje lekarz. - Trzeba odbyć badanie lekarskie, by posiadać specjalne okulary.

- Ależ chyba pan zwariował! - Krzyczy Oberleutnant. - Człowiek jest prawie ślepy! Każdy to widzi!

- Tak, ale przepisy... - Jąka się lekarz. - Trzeba trzymać się przepisów.

- Boże! - Wrzeszczy wściekły Oberleutnant. - Zmiłuj się nad tymi kretykami Niemcami! Nie po trafiać żyć bez przepisu! Ludzie tacy jak pan, wierni Bruningowi, pracowali także dla Eberta, wiwatowali na cześć Hindenburga, a dziś liżą dupę Hitlera, czekając na Stalina! Bo potrzeba przepisów...

Lekarz cofnął się przerażony i spojrzał na Oberleutnanta wielkimi, niebieskimi, naiwnymi oczami.

- Niech pan uważa na to, co mówi. Gdyby generał pana usłyszał!

- Zamknij pysk! - Ryknął Oberleutnant, trzęsąc się ze złości. Nikt nie ośmieli się powiedzieć co myśli, póki czeski frajter tu jest! Mój ojciec był rotmistrzem Gwardii w 1916, śmiesznym ze swą blachą ułana na czasce, ale nikt nie śmiał mu tego powiedzieć! Dziś jest w Ministerstwie Propagandy i nikt nie śmie mu rzec, że służy Adolfowi! Dobrzy Niemcy nie służą Partii, prawda? Służą Rzeszy Niemieckiej, ale na szczęście mają nazistowskie przepisy!

Jeśli kamień spadnie na dzban, biada dzbanowi, jeśli dzban spadnie na kamień, biada dzbanowi. Zawsze biada dzbanowi.

Talmud

Rozkaz dzienny do wszystkich dywizji, wydany przez Dowódcę 6. Armii, Generalobersta Friedricha Paulusa.

Kwatera Główna Armii 25.11.1942

Dowódca 6. Armii.

Jako żołnierz oświadczam, że dać się wziąć do niewoli jest utratą honoru. Wobec tego obowiązkiem oficera jest popełnić samobójstwo, gdy tylko stwierdzi, że jego pozycja została zajęta przez siły nieprzyjacielskie, nie posiadając jakichkolwiek środków dla kontynuowania walki. Jeśli da się wziąć żywcem, nie jest już godny noszenia munduru oficerskiego, może być uważany jedynie za dezertera i musi oczekiwać postawienia przed sądem honorowym po zakończeniu działań wojennych.

Odnosi się to również do podoficerów i szeregowych. Poddanie się to tchórzostwo. Nasz najwyższy dowódca Adolf Hitler wymaga od swych oficerów, podoficerów i szeregowych 6. Armii, że będą walczyli jak Wagnerowscy bohaterowie w Fortecy Stalingradzkiej. Ci, którzy pójdą do niewoli, zostaną wykreśleni z szeregów wojska.

Heil Hitler! Paulus, Dowódca Armii

Tego samego dnia czterech wysokich oficerów opuściło Fortecę Stalingradzką: generał saperów Jaenecke, dowodzący 4. Korpusem Armijnym, został ewakuowany samolotem jako ranny: został uderzony w głowę belką i błogosławił swój ogromny guz. General Pickert i generał Hube odlecieli na rozkaz Oddziału Personalnego. General-major Berger odleciał bez rozkazu. Wylądowawszy w Warnopolu został aresztowany przez dwóch generałów i skazany na śmierć za dezercję. W dwie godziny później rozstrzelano go za hangarem.

Koło Stalingradu pewien główny kwatermistrz wysadził się w powietrze wraz z całym personelem w chwili, gdy piechota rosyjska wdarła się na jego pozycję. W szpitalu Barbukina chirurg i jego czterech pomocników zaczęli operację, gdy nagle T 34 włamały się na ulicę. Lekarze pospiesznie wrzucili garście ziemi w otwarte brzuchy, wiązkę granatów do przepelnionej sali i strzelili sobie w głowy.

To, co zostało z 30. Dywizji Zmotoryzowanej, zostało koło Kotłowskiej zmiażdżone przez czterysta T 34. W ostatniej sekundzie uratował się pewien Oberleutnant i pięciu

żołnierzy. W godzinę później zostali schwytani przez patrol żandarmerii i całą szóstkę rozstrzelano za sabotowanie rozkazów. Opuścili pozycję Kotłowskaja bez rozkazu.

Rozdział 14

Więżniowie NKWD

Nowa burza nadlatująca z głębin Syberii uderzyła jak maczuga tak mocno, że cisnęła nas na ziemię. Huragan śniegowy, jakiego jeszcze nigdyśmy nie widzieli. Było tak zimno, że lzy płynące nam po twarzach natychmiast zamarzały.

Kontynuowanie odwrotu byłoby szaleństwem. Trzeba wykopać schronienia. Przez cztery dni burza pchała przed sobą śnieg olbrzymimi zaspami. Ale w rzadkich chwilach gdy przycichała, panowała taka cisza, że najłżejszy brzęk stali powodował, że trzęśliśmy się z przerażenia i czuliśmy, jak ogarnia nas szaleństwo.

Potem znów wybuchła burza z jeszcze większą wściekłością. Wyrwane z korzeniami drzewa wyrzucała w powietrze; wataha wilków, niesionych zamiecią, została roztrzaskana o las. Jeszcze przez dwa dni trwał ten huragan z piekła rodem, później burza zaczęła powoli cichnąć.

Wyczerpani, z pustką w środku, ciągnęliśmy za generałem Augsburgiem, który bezlitośnie nas poganiał. Pomimo zmęczenia zawsze szedł na czele kolumny, prosty jak świeca.

- Rosjanie! - Krzyknął nagle Stary, wskazując równinę.

O jakieś dwa kilometry pełzała długa kolumna ciężkich czołgów, całymi godzinami defilując w stronę zachodu.

- Jadą na zachód - stwierdził kategorycznie Heide - a zachód to front, to Niemcy!

- Tak - krzyknął Gregor - a także Francja i Ameryka! Możesz nawet dotrzeć do Japonii i powrócić kontynuując trochę dłużej.

Dyskusja zmieniła się w pyskówkę, potem w bójkę, a nerwy mieliśmy już tak napięte, że z pewnością padłyby trupy, gdyby Oberleutnant się nie wtrącił. Oto już 56 dni maszerujemy i od dawna przekroczyliśmy wszelkie granice, narzucane przez cywilizację.

Pewnego ranka o świcie znaleźliśmy się przed rzeką Oskoł. Po jej drugiej stronie widać było wieś Kubjansk, dużą osadę. Tam znajdziemy ciepło i żywność, których tak bardzo potrzebujemy, ale mogli tam też być Rosjanie.

- Hauptfeldwebel Beier, zostaniecie z tyłu z trzema drużynami po tej stronie rzeki i będziecie nas osłaniać - rozkazał sucho generał Augsburg. - Reszta z nas wejdzie do wsi i damy znak byście przyszli, gdy tylko teren zostanie oczyszczony, jeśli zajdzie potrzeba. Jeśli będziemy ostrzeliwani podczas przechodzenia rzeki, nie ruszajcie się z miejsca, póki się nie

dowiemy co się tam dzieje.

Pierwszy ześlizgnął się z wysokiego brzegu rzeki, a jego ludzie ruszyli tyralierą w stronę osady. Nagle strzały karabinowe, a potem otworzyło się piekło.

- Ruscy! - Ryknął Porta, chwytając karabin maszynowy.

I oto są, wychodzą ze wsi, odziani w brązowe kozuchy. Klaszcze broń automatyczna, pryska śnieg. W jednej chwili generał, Oberleutnant i reszta zostają rozbrojeni i wzięci do niewoli.

- Miałem wątpliwości - mówi Stary. - Taka wielka osada musi z pewnością być obsadzona. Teraz idzie tylko o to, by ich stamtąd wyciągnąć.

Powoli zapalił fajkę bez najmniejszego pośpiechu, ubił kciukiem tytoń nim zamknął pokrywkę i pociągnął się za ucho. My pozostali nagle poczuliśmy się strasznie samotni, widząc, jak znikają nasi koledzy, otoczeni przez żołnierzy syberyjskich.

- Uciekajmy! - Mówi Heide. - Nic nie da się dla nich zrobić. Za niecałą godzinę zostaną rozstrzelani.

- Jeśli będę potrzebował twojej rady, zapytam o nią - odpowiada spokojnie Stary. - W żadnym wypadku nie uciekniemy, zostawiając kolegów w ich rękach. Zaatakujemy wieś i uwolnimy ich. Jesteśmy to winni Augsburgowi, bez niego nigdy byśmy nie dotarli aż tutaj.

- Kretyn! - Protestuje Heide. - Atakować to gnojowisko, to pewna śmierć!

Stary podniósł się, niewysoki, z krzywymi nogami, gruby, z krótką fajką zaciśniętą w zębach.

- Dwóch ochotników dla dokonania zwiadu.

- Zawsze mnie ciekawiło dowiedzieć się, co robi Iwan, gdy myśli, że jest sam - odpowiada po prostu Mały, trącając łokciem Portę.

Obaj znikają w ciemności przedświt. W dwie godziny później wracają, olbrzym z na pół upieczoną świnia na barkach.

- Przydusiliśmy dwóch Iwanów - mówi Porta, - rzucając świnie do stóp Starego. - Nasi są w pustym chlewie z dwoma wartownikami koło drzwi.

- Ale Rosjanie? - Pyta z niecierpliwością Stary.

- Ilu ich jest? Kompania? Batalion?

- W każdym razie batalion kur - stwierdza Porta. - Roi się od kobiet w mundurach i tak szpetnych, że nawet pawian podczas rui zawahałby się przed wlezieniem na którąś. To pluton zaopatrzenia. Pod drzewami stoją pełne granatów ciężarówki.

- Amatorzy! - Oświadczył z pogardą Mały. - Nawet nie wystawili podwojonych posterunków. Muszą się czuć cholernie pewnie.

- Tak właśnie myślałem - stwierdził Stary i natychmiast podzielił nas na grupy uderzeniowe.

Porta obejmuje dowództwo naszej i natychmiast wchodzimy do lasu, gdzie panuje ciemność jak smoła. Gregor, który nienawidzi lasów, trzęsie się ze strachu i chwyta się Porty i mnie.

- Nie sraj przecież w portki, nim to się zacznie - mówi spokojnie Porta. - Nie ma nic lepszego, niż las. Przyklej się do drzewa i nikt cię nie zauważy. Las zawsze był schronieniem.

Dalej przeciskamy się w milczeniu, a ja mam takiego stracha jak Gregor i wolałbym pełznąć.

- Co za gówniana wojna - mruczy piechur morski. - I pomyśleć, że chciałem ją obejrzeć z bliska! To jest silniejsze od nas, Germanów, chce się wysunąć do przodu i zawsze pada się na tyłek.

- Czy zauważyliście, jak mili są od pewnego czasu oficerowie? To nieomylny znak, że jesteśmy w trakcie przegrywania wojny światowej.

- Gdzie u diabła są inni? - Szepcze Gregor, zatrzymawszy się, by nasłuchiwać.

Cisza grobowa. Nie robiliśmy więcej hałasu niż zwierzęta, trzymając broń w pogotowiu. Szarpią nam mundury, wyłazimy ze skóry z przerażenia, widząc za każdym krzakiem Mongoła w kozuchu. W tym przeklętym kraju nie bijemy się jedynie z ludźmi, ale z całą wrogą przyrodą. Porta potyka się, pada głową naprzód i wypuszcza swój karabin maszynowy. Jest tak wściekły, że wali w drzewo łopatką, ale nikt nie ośmiela się zaśmiać, choć jest to szalenie zabawne.

Nagle piekielny hałas, tak jakby las walił się na nas. Chmura kruków przelatuje kracząc nam koło uszu, bo są równie przerażone jak my.

- Przeklęte ptaszyska! - Warczy Porta. - Zaalarmują całą Armię Czerwoną.

- Ależ robicie raban! - Szepcze Stary, pojawiając się zza drzewa.

- Nie my! - Protestuje Mały. - To te przeklęte radzieckie ptaki! Niech je tylko złapię, ja im pokażę!

Jeszcze daleko do wschodu słońca, mamy prawdziwe szczęście. W końcu na skraju lasu pojawia się wieś i chowamy się wszyscy, w oczekiwaniu na nasze główne siły. Mały przygotowuje granaty: trzy granaty przywiązane wokół butelki z fosforem, a jeden ich stos podsuwa pod nos Heidemu.

- Trzymaj, próżniaku. Dobre lekarstwo na ból głowy.

- Dupek! - Warczy Heide, który przygotowuje swoje miny.

Pojawia się Feldwebel, niosąc na plecach aparat dymotwórczy.

- Idzie o postawienie zapory dymnej. Wszystko musi pójść bardzo szybko, jeśli droga wam wasza skóra. Wy dwaj - rozkazuje Gregorowi i mnie - zajmiecie się posterunkami koło chlewu. Jest tam sześciu starych facetów, którzy mają trudności z utrzymaniem karabinu w ręce. Gdy tylko będziemy się zmywać, ja robię dym. Ta tutaj grupa osłania odwrót.

Gwizdek! To sygnał do natarcia! Ładunki wybuchowe wlatują przez okna, strzały, wybuch wydaje się podnosić nam ziemię pod nogami. Biegnę stojącymi w płomieniach ulicami. Zza przewróconej ciężarówki szczeka karabin maszynowy. Butelka fosforowa wrzucona do budynku szkolnego unosi jego dach w powietrze. Posuwając się nadal główną ulicą wślizgujemy się za młocarnię MacCormick, prezent od Stanów Zjednoczonych, owego kraju dobroczyńcy dla komunizmu.

Ładunek wybuchowy pada na platformę ciężarówki wypełnionej granatami. Podmuch przewraca nas na ziemię, a wielka ciężarówka wywraca się jak żniwiarka w gejzerze płomieni. To wulkan.

- Wielki Boże! - Woła właśnie uwolniony Oberleutnant. - Wy obracacie osadę w proch!

- To tylko ich proch wybucha, ale mogę pana zapewnić, że jest w dobrym gatunku!

Pożar szaleje, a iskry lecą w step na całe kilometry.

- Raport! - Komenderuje Augsburg z twarzą pokrytą oparzeniami.

Mieliśmy 14 zabitych i 9 rannych, z których niestety musieliśmy porzucić siedmiu, którzy i tak zmarliby podczas marszu. Po czym generał zaczął nas niecierpliwie popędzać. Pożar zaalarmuje inne oddziały rosyjskie. Trzeba iść szybko i odwrót zaczyna się na nowo.

Gdzieś tam, daleko przed nami, płynie Doniec. „Tam i ani kroku dalej” - postanowiliśmy. Ale było przecież już to samo z Donem, a stamtąd ciągle idziemy za niezmordowanym generałem Augsburgiem.

Ale zrządźmy, rozkazy wykonujemy z prowokacyjnym ociąganiem się, a jeden z żołnierzy posuwa się do tego, że grozi spoliczkowaniem Oberleutnanta saperów. Wtedy rozlega się bezlitośnie przenikliwy gwizdek generała. On dobrze znał niezawodny środek przywracania dyscypliny. Niemcy są narodem niewolników posłusznych gwizdkom i wrzaskom. Każdy Niemiec, posiadający jakąkolwiek władzę, nosi gwizdek, mały, srebrny gwizdek na końcu szarego sznureczka. Trochę sznureczka musi wystawać z górnej kieszeni, abyśmy dzięki temu znakowi rozpoznawali przełożonego.

Gwizdek zdolny jest wyciągnąć całą armię z wygodnego, ciepłego łóżka, wysyłał całe pokolenia na śmierć. Nie istnieje taki Niemiec, który nie byłby posłuszny gwizdkowi, aż od przedszkola, gdzie polecenia wydawane są gwizdkiem. Ćwiczenia wojskowe wykonuje się na

gwizdek, ruch uliczny reguluje gwizdek policjanta i bez gwizdka Niemcy są zgubione. Zwycięzcy mogli odebrać Niemcom ich mundury, broń, można ich zmusić do wylewania krwawych łez albo poszturchiwać, ale to gwizdek podrywa ludzi na nogi!

Co do wrzasku to skutkuje on tak, jak gwizdek. W 7. Pułku Kawalerii z Wrocławia atakowaliśmy polskie czołgi gołymi szablami, ponieważ nasz Hauptfeldwebel Braun wrzeszczał. Mój kolega i ja podnieśliśmy rękami konia, który nie dawał się podkuć. Przeleżeliśmy dwa miesiące w szpitalu z naderwanymi ścięgnami, ale zerwane ścięgna zagoiły się bardzo szybko dzięki wrzaskom Hauptfeldwebla. Lekarze wydali nam orzeczenie, że jesteśmy zdolni tylko do służby pomocniczej, ale wrzaski Hauptfeldwebla zmieniły to na „zdolni do służby z bronią w rękę”. To właśnie są Niemcy. Gwizdek i wrzaski. Wiem o tym, mieszkałem w Niemczech długie lata i kocham ten naród, którym trzeba rządzić kijem, tak jak robi to poskramiacz drapieżników.

Generał zatrzymał się na skraju lasu, niezaznaczonego na niemieckich mapach. W większości wypadków niemieckie mapy Rosji roiły się od pomyłek. Rozdrażniony generał złożył mapę i zażądał dwóch ochotników. Gregor i ja zgłosiliśmy się do zbadania tego lasu.

Zagłębiliśmy się już dość daleko w las, który wydawał się ogromny, gdy nagle otoczyła nas grupa ludzi w różnych mundurach. Nie dało się zrobić nic innego, jak podnieść ręce do góry.

- Skąd idziecie? - Zapytał jakiś typek w rumuńskim mundurze bez galonów, a ponieważ uznał, że zbyt ociągamy się z odpowiedzią, uderzył nas brutalnie po twarzach.

Był to oddział żołnierzy Własowa, działających za liniami rosyjskimi i znanych z okrucieństwa. Wobec gróźb śmierci jeśli nie będziemy szybko odpowiadać, powiedzieliśmy im co chcieli, nie zdradzając, gdzie się znajduje reszta grupy bojowej. Związano nam ręce na karku drutem kolczastym, co jest dalekie od wygody, jeśli trzeba iść i po trzech dniach marszu dotarliśmy do wsi, bardzo głęboko w lesie. Podczas podróży własowcy przechwycili zaopatrzenie, zrzucając z niemieckich samolotów i rozwiązawszy nam ręce zmusili nas do ciągnięcia sanek z amunicją.

Na sośnie kołyszą się trzy trupy: jeden rosyjski Lejtnant i jeden niemiecki Feldwebel. Partyzanci Własowa prowadzą wojnę ze wszystkimi. Ale następnej nocy wielki rozgardiasz. Wszyscy dają w długą, z daleka grzmiały wystrzał, ale przed opuszczeniem wsi te bestie dokonały dwóch działań. Wypchali chaty materiałami wybuchowymi, a potem powiesili za nogi dwie kobiety, rosyjskie grenadierki. Marsz przez łąd trwa dalej. Gregor i ja nadal ciągniemy ciężkie sanki z amunicją, powoli zostajemy w tyle, a nasi strażnicy, którzy myślą tylko o ucieczce, zapominają o nas tak skutecznie, że możemy rzucić się na śnieg i leżeć tak

długo, aż przestaliśmy ich słyszeć. Wtedy bierzemy nogi za pas i uciekamy, ale w przeciwnym kierunku.

Krótki odpoczynek na drodze poranej głębokimi śladami kół, padamy na ziemię i pożeramy ziemniaka, wyciągniętego z kieszeni Gregora. Dokąd pójść? Co robić?

- *Stoj, ruki w wierch!*

Przerażający rozkaz nagle rozlega się za nami. Rozkaz, po którym zawsze następuje salwa ostrzegawcza, jeśli posłuszeństwo nie jest natychmiastowe. W mgnieniu oka stoimy z rękami w górze. Za nami śnieg skrzypi pod walonkami. Patrzy na nas triumfalnie twarz czerwona i popękana.

- *Giermancy, i wojna kapust!* - Śmieje się drwiąco. Jest to żołnierz taborów w furażerce, ale nie jest ani mniej niebezpieczny, ani mniej okrutny niż zawodowy enkawudzista. Rewiduje nas i zabiera szczyryk Gregora.

- Tajna broń Hitlera? - Mówi, wybuchając śmiechem. - *Hitler kaputt. Giermancy dumki. Stalin mudryj.*

Zabiera nas do wsi, gdzie kwateruje jego dywizja i z brutalnego dowcipnisa zmienia się w strażnika więziennego pod groźnym spojrzeniem oczu jego komisarza.

- *Dawaj, dawaj!* - Wrzeszczy, by dodać sobie znaczenia, popychając nas karabinem.

Zostajemy przekazani patrolowi, którego żołnierze wesoło kłują nas bagnetami, ale to triumfalne wejście przeznaczone jest dla zaledwie dwóch nędznych niemieckich czołgistów, dla których szkoda naboju. Zatrzymujemy się przed dwupiętrowym, ceglany domem. Uderzeniami kolb i kopniakami zostajemy wrzuceni do gabinetu, w którym znajduje się stary major w otoczeniu kilku oficerów z niebieskimi naramiennikami taborców.

- *Czort!* - Krzyczy stary, policzkując nas wierzchem dłoni, dokładnie tak, jak dowódca SS w więzieniu Fagen.

Wszyscy są tacy sami, nie licząc mundurów.

Jego wrzaski są takie same, jak niemieckiego zupaka. Sinieje, pluje nam w twarz, a gdy chcę wytrzeć policzek, dostaję uderzenie pięścią w usta.

- *Wojennoplennyje kaputt!* - Drze się, zrywając nam orły z mundurów. - *Zjedzcie je!*

Oczywiście słuchamy się. To nic strasznego, zjeść kawałek tkaniny, a od jeńca wojennego można wymagać rzeczy o wiele gorszych. Coś o tym wiemy. Gdy major skończył się wściekać, wrzucono nas do smrodliwego dołu na kartofle. Przynajmniej było tam kilka zgniłych bulw, którymi napchaliśmy żołądki, a Gregor twierdził, że jest w nich cała masa witamin.

Zdawało się, że siedzimy tam już całą wieczność, gdy jakiś żołnierz przyniósł nam

nieokreślona zupę rybną.

- *Job twoju mat!* - Zachichotał łajdak, plując do zupy.

Nie mieliśmy wątpliwości, że gdy rosyjski żołdat brudny jak świnia pluje nam do zupy, Generalfeldmarschall Paulus siedzi przy suto zastawionym stole w starym pałacu carów, o czterdzieści kilometrów od Moskwy. Po jego lewej ręce, świeżo awansowany na Generalobersta szef sztabu Schmidt, po prawej Generallejtant Armii Czerwonej Babicz. Na końcu stołu tronuje bezlitosny General Lattmann w czarnym mundurze czołgisty, przyszły szef policji Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jest również obecny General von Seydlitz, pogrążony w rozmowie z komisarzem politycznym w stopniu Generałmajora NKWD, którego ojciec został spalony w Kronsztadcie, w kotle krążownika, przez zbuntowanych czerwonych marynarzy...

- Rozstrzelają was jutro - szydzi nasz kuchcik, umyślnie wylewając połowę naszej cienkiej zupki.

- Wszędzie takie same chuje! - Mruczy Gregor. Jego i mój głód jeszcze się pogarszają od takiej odrobiny jedzenia.

Czas płynie. Czy to noc, czy dzień? W naszej czarnej dziurze nie mamy o tym pojęcia, ale sądzimy, że to dzień, ponieważ po raz drugi przynoszą nam tę obrzydliwą zupę. Wymyślając tysiąc wyrafinowanych szykan, na przykład wylewając trochę zupy i zmuszając nas do jej wylizywania z ziemi; bywa też, że w garnczku pływa zdechła mysz. W stanie, w jakim się znajdujemy, nie odbiera nam to apetytu.

- Co za świnie! - Klnie Gregor. - Obym ich dorwał, gdy znajdę się po właściwej stronie pistoletu maszynowego!

- Nie podniecaj się. Nasi są zupełnie tacy sami. W Kijowie widziałem jak esesmani ustawiają tysiące żydowskich kobiet nad rowem i one same musiały zdejmować sobie z ubrań żółte gwiazdy, zanim je rozstrzelano. To tylko awangarda tego co nas czeka, gdy przegramy wojnę. Robiono okropności w imieniu narodu niemieckiego i to my, mali ludzie, będziemy za to płacić.

Drzwi nagle się otworzyły. Dwaj ludzie w mundurach NKWD zmusili nas do wyjścia w sposób równie brutalny, jak esesmani.

- *Dawaj, dawaj!*

Wrzucono nas do ciężarówki wyładowanej amunicją, usiedliśmy na granatach artyleryjskich i wsadzili dłonie do rękawów. Na równinie będzie panował znowu ten mróz! W chwili odjazdu inny enkawudzista wsiada i lokuje się obok nas.

- Zegarki, pióra wieczne! Na Kołymie nie będziecie ich potrzebowali!

Ale ponieważ to wszystko już nam zrabowano, nic już więcej nie mamy, dostajemy nienawistne kopniaki.

- Zupełnie jak nasi - mruczy Gregor, rzucając enkawudziście mordercze spojrzenie. - Czy pamiętasz ten dzień, kiedy oni podpalili Żydom długie brody, gdy ci odmówili oddania zegarków i pieniędzy? Komuniści i naziści są tego samego pokroju.

Ciężarówka powoli posuwa się po pokrytej gołoledzią drodze, zatrzymując się tylko, by napełniać baki z cystern stojących na platformach, oczywiście do nas należy przenoszenie ciężkich zbiorników. W końcu, w dość dużym mieście, oddają nas za pokwitowaniem jak bydło i wreszcie w nocy następuje decydujący moment przesłuchania.

- Skąd przyszlście? - Pyta kobieta z odznakami stopnia kapitana, która jest tłumaczką na pół pijanego podpułkownika NKWD.

- Ze Stalingradu.

- Bierzecie nas za idiotów? W Stalingradzie nikt już nie żyje, tak pisała „Prawda”. Więc skąd przyszlście?

- Ze Stalingradu, 6. Armia - odpowiadamy jednym głosem.

- Dość kłamstw, psy! Stalingrad jest o 700 kilometrów stąd i cały kraj jest w rękach Armii Czerwonej.

- Ale to jest prawda - mówię.

- Zamknij się! Nikt cię nie pyta! - Drze się kobieta, bijąc mnie w usta nahajką.

Jest niebezpieczna i może kazać nas zabić, jeśli jej to będzie odpowiadało. Powoli zapala papierosa na długiej tutce, trzymanego w umalowanych ustach i wydmuchuje mi dym w twarz.

- Więc byłeś w Stalingradzie. Która dywizja?

- 16. Dywizja Czołgów.

- Kto był twoim dowódcą?

- Generał leutnant Angern.

- To kłamstwo - mruczy zdumiona kobieta.

Ledwie przetłumaczyła moje słowa, gdy podniósł się jednym susem pijany oficer i uderzył mnie w brzuch rączką swego bicia.

- Kłamliwe psy!

- Uważam was za szpiegów! - Mówi ze śmiechem tłumaczka. Nigdy nie byliście w Stalingradzie, przyznajcie się! Jesteście faszystowskimi sabotażystami i szpiegami. - Przyszlśmy ze Stalingradu - oświadcza zmęczonym tonem Gregor.

- Dobrze. Zostaniecie zdemaskowani. Gdzie w Stalingradzie walczyła wasza dywizja?

- Przed Krasnom Oktiabrem.

- Do której armii należała 26. Dywizja Czołgów?

- Do 51. Armii Pancерnej.

- A kto znajdował się przed wami? Moglibyście na to odpowiedzieć tylko, gdybyście tam byli.

- 74. Dywizja Czołgów z 4. Gwardyjskiej Armii radzieckiej.

- Ale to nie możliwe! - Mówi kobieta, znów bijąc Gregora. - Więc jak dotarliście aż tutaj? NKWD wyłapało wszystkie faszystowskie świnie, które przebiły się przez okrążenie strefy Stalingradu! Nikt nie uciekł.

- Należeliśmy do grupy bojowej, dowodzonej przez generała SS.

Podpułkownik podnosi się i jednym kopnięciem przewraca krzesło. Pije kolejny łyk wódki, zsuwa futrzaną czapkę na kark, a tłumaczenie naszych odpowiedzi wyraźnie powoduje, że wychodzi z siebie.

Doskonale go rozumiemy. Jeśli go przekonamy, że rzeczywiście jesteśmy ze Stalingradu, policja do której należy nie wykazała w oczywisty sposób należytej skuteczności! Wie również, że niektórzy enkawudziści utracą swe oficerskie galony, gdy tylko meldunek dotrze do Moskwy, a podpułkownik całkiem nie ma ochoty dostać przeniesienia na pierwszą linię do plutonu piechoty. Ponieważ potrafimy wymienić nazwiska wszystkich oficerów z 27 Czołgów, w końcu przekonujemy go, że rzeczywiście przyszliśmy ze Stalingradu.

- Więc byliście w oddziale bojowym? Gdzie są inni?

- Tam - odpowiada Gregor z nieokreślonym gestem. - Jedni są nad Donem, inni nad Czyrem, wyciągnięci na stepie. Gdy nadejdzie wiosna, zobaczycie, jak wynurzają się spod śniegu, ostatni znikli w jakimś lesie. My dwaj jesteśmy jedynymi, którzy przeżyli.

Śmiertelna cisza.

- Fantastyczne! - Mruczy oficer i szepcze coś do tłumaczki.

- Tym razem wam wierzymy - oświadczyła. - Ale jesteście kryminalistami, którzy naruszyli prawo radzieckie, przekraczając nasze granice z bronią w rękę. To może was kosztować głowę albo dwadzieścia pięć lat ciężkich robót. Zostaniecie przewiezieni gdzie indziej, a ja spodziewam się, że zostanieie rozstrzelani.

Kazano nam podpisać zeznanie, że zaatakowaliśmy z bronią w rękę Związek Radziecki. Bardzo trudno zaprzeczyć! Nazajutrz zostaliśmy sfotografowani i zdjęto nam odciski palców. Wobec tego od tej chwili jesteśmy uznanymi zbrodniarzami stanu. Jakiś sierżant chichocząc powiedział nam, że skorzystamy ze specjalnego traktowania. Dobrze

znane określenie. To jest eufemizm na określenie egzekucji, ale brzmi znacznie lepiej. Wepchnięto nas brutalnie do samochodu terenowego marki Willys Knight, a obok kierowcy zajął miejsce stary sierżant z odznaczeniami z pierwszej wojny światowej, bez wątpienia spadek po policji carskiej. Ustroje się zmieniają, ale policjanci zostają.

Naprzeciw nas na ławeczce usiadł kapral z pepeszą gotową do strzału. Palił jeden za drugim dobre, moskiewskie papierosy, prawdziwe papierosy dla NKWD, a nie zwykłą machorkę, śmierdzącą na dwa kilometry, ta jest zarezerwowana dla piechocińców, ale wyższe stopnie palą tylko Biełomor Kanał i tym podobne.

Nie mamy wątpliwości, że nasz los już był w tej chwili zdecydowany. Z pewnością nas rozstrzelają, gdyż dokonaliśmy niewybaczalnej zbrodni, przebijając się przez pierścień oblężenia Fortecy Stalingradzkiej. Gdyby to stało się wiadome, Stalin straciłby twarz. Dyktatorzy i ich zbiry są bardzo wrażliwi na punkcie swej reputacji.

Wiatr tnie nas po twarzach, a samochód toczy się całymi godzinami. Nikt nie rozmawia. Wjeżdżamy na szosę Moskwa-Orzeł-Charków. Na północnym zachodzie horyzont czerwienieje i można pochwycić słaby pomruk, który na zmianę wzmaga się i ucisza: front!

Rano wóz opuścił szosę i wjechał na wąską drogę. Obaj strażnicy usnęli. Naprzeciw nas senny kapral wypuścił z rąk swój pistolet maszynowy... Gregor wsuwa stopę pod pasek i przyciąga broń do nas. Samochód podskakuje, kierowca klnie, senny kapral chrapie i rozwała się wygodniej na ławeczce. Z wielką szybkością zbliżamy się do lasu.

Gregor trzyma pistolet maszynowy w dłoni. Bez hałasu odbezpiecza go i wciska sobie pod ramię. Teraz, albo nigdy... Nie słyszę wystrzałów, widzę tylko płomień wyskakujące z wylotu lufy.

Stalowa rama przedniej szyby odcina głowę kierowcy, stary sierżant przewraca się z krzykiem do tyłu. Ja zostaję wyrzucony z samochodu, który dachuje i rozbija się o drzewo. Widzę, jak Gregor wypelza z rozwalonego willysa, uzbrojony w ręczny karabin maszynowy i kilka dysków..

Ale jeśli nas tu znajdą, to śmierć bez gadania, a od szosy już dochodzi jakiś hałas. Łapiemy dwie futrzane czapki zabitych i wkładamy je na głowy, od czego dostajemy gęsiej skórki.

- Jeśli Iwan złapie nas z tym, to jesteśmy załatwieni.

- Tak czy tak jesteśmy załatwieni, a przynajmniej będziemy mieli ciepło w uszy. A poza tym te chamy mogą się zesrać, widząc czapki z odznakami NKWD.

Biegniemy przez gęsty zagajnik, igły drapią nas po twarzach, ale w ogóle nie czujemy bólu. Mamy tylko jedną myśl: być jak najdalej od trzech okrwawionych trupów naszych

strażników.

Wyszedszy z lasu rzucamy się wyczerpani na śnieg, czuję, jak mnie przenikają straszliwe kolki w bok, a oczy mnie boją. Przed nami szosa Charków-Moskwa; na horyzoncie można domyślać się ognia frontu, powietrze pełne jest głuchych odgłosów. Tam jest piekło. Na szosie długie kolumny ciężarówek jadących na zachód, jak małe, błyszczące światełka na oblodzonej nawierzchni. Gregor podaje mi papierosa i kawałek wędzonej słoniny, zdobytych na trupach.

- Szosa prowadzi zupełnie prosto na front - mówi. - Trzeba nią pójść, jeśli będziemy biegać bez celu po polach, wzbudzimy podejrzenie.

Naprawdę uważasz, że lepiej będzie otwarcie maszerować wśród nich?

- Oczywiście, a poza tym nie mamy wyboru. Na szosie nikt nie będzie zwracał uwagi na nas z pepeszami na piersiach i odznakami NKWD na czapkach. Ale jeśli się biega po polu, to natychmiast zwraca uwagę.

Wobec tego idziemy szosą wśród sznura studebakerów i willysów. Na ich drzwiczkach są jeszcze ślady białych gwiazd USA, obecnie zastąpionych sierpem i młotem. Silniki wyją, w oknach kabin widać twarze kierowców, biorących nas za patrol NKWD. A tuż przed skrzyżowaniem dróg punkt kontrolny NKWD! Zatrzymują wszystkich pieszych żołnierzy, ale wygląda na to, że ciężarówki przejeżdżają mniej więcej bez kłopotów.

Szybciej, niż da się to opisać, rozplaszczamy się za krzakiem rosnącym w rowie, przenikani do szpiku kości lodowatym wiatrem. Jęczę, już więcej nie mogę.

- Nigdy im nie uciekniemy!

- Trzeba wleźć na jakąś ciężarówkę - powiedział przez zaciśnięte zęby Gregor. - To nasza jedyna szansa.

- A jak chcesz to zrobić? Jadą w odstępach co 10 metrów. Następna natychmiast podniesie alarm!

- Masz lepszą propozycję?

Ma rację. Przez godzinę zostajemy na miejscu, leżąc, wyczekując okazji i nagle kolumna zatrzymuje się. Ciężarówka Mołotow, kolebiąc się, mija nas. Łapiemy się tylnej klapy dajemy się ciągnąć, a potem Gregor wyciąga rękę, chcąc z kolei mnie wciągnąć do środka dokładnie w momencie, gdy chciałem dać za wygraną. W jaki sposób się tam dostałem? Nie mam pojęcia, ale nagle poczułem, że siedzę na zapasowym kole ciężarówki. Ale wszystko mnie bolało. Jakże bolało! Ten Mołotow jest jednym z moich najgorszych wspomnień.

Szybko! Trzeba się schować pod jakimiś workami, a ciężarówka już dociera do

okropnego skrzyżowania. Enkawudzista krzyczy coś do kierowcy, pojazd hamuje, silnik stuka, w twarzę bije nas podmuch gorącej oliwy, drzwiczki trzaskają, słychać uderzenie stali o stal... Gregor chwyta swój pistolet maszynowy.

- Nie będziesz strzelał - szepczę z przerażeniem. - Jeśli wystrzelisz, to koniec.

Głowa w futrzanej czapie pokazuje się za tylną klapą, człowiek rzuca okiem na wielkie kosze granatów, a potem znika. Teraz przepuszczają kolumnę czołgów, jadą T 34, po nich ciężka artyleria, następnie inne pojazdy. Całe godziny! Żołnierze taborowi podskakują wokół naszej ciężarówki, by się rozgrzać, zimno jest tak, że nie wiem w jaki sposób nie zamarziłmy na miejscu.

I nagle rozległ się słynny gwizdek, który wprowadzono do Armii Czerwonej. Ochryple wrzaski, silniki chrapią, kolumna rusza. Tuż za nami pojawia się charakterystyczna chłodnica studebakera, jego małe, osłonięte reflektorki błyszczą słabo, jakby wóz wstydził się, że się tu znalazł, na radzieckiej szosie z Mongołem za kierownicą.

Ryk artylerii nasila się, front nie jest już bardzo odległy, ten front, którego tak poszukiwaliśmy za kolejnymi rzekami. Kolumna zatrzymuje się, by napęlnić baki, a puste pojemniki padają koło nas, są to kanistry jak zwykle oznaczone białymi gwiazdami. Jeden z nich pada mi na głowę i ogłusza tak, że tracę na chwilę przytomność, ale otrzeźwiają mnie wybuchy. Pociski padają na skraj szosy, jest to maksymalny zasięg artylerii niemieckiej.

- Niech Bóg ma nas pod opieką! Jeśli zbombardują tę ciężarówkę, żegnaj piękny świecie!

Ostrzał co chwilę nabiera intensywności, a ciężarówka przyspiesza, bo kierowca ma stracha. Każdy miałby stracha pod ostrzałem artyleryjskim, wioząc w swej ciężarówce 20 ton pocisków! Wylecieć w powietrze wraz z ciężarówką amunicyjną nie jest żadnym tytułem do chwały, a przecież ci kierowcy są prawdziwymi bohaterami, choć nigdy nie dostają odznaczeń. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc za miesiącem, podczas wojny trwającej latami, ciężarówki wojskowe jadą ze swymi ładunkami amunicji po bombardowanych drogach. Nawet nie uważamy ich za należących do naszych. Gdy przestają prowadzić swe wozy, bo puściły im nerwy, daje się im do ręki łopaty i muszą oczyszczać drogi dla transportów granatów. Robotnicy wojskowi nigdy nie dostają rozkazu wymarszu, nie mają żadnych sztandarów, a przecież są równie niezbędni, jak strzelcy karabinów maszynowych. Otrzymują żołd garnizonowy, nawet bez dziesięciomarkowego dodatku dla kombatantów. Co dziesięć dni dostają dwanaście marek i pięćdziesiąt fenigów. Nie wystarczy nawet, by odwiedzić wojskowy burdel czwartej klasy!

Mijamy kilka baterii dalekoosłonnych armat. Od ich grzmotu drży ziemia. Co za grzmot!

Z wylotów luf tryska niepokojący, zielony płomień, ale artylerzyści wyglądają tak, jakby bawili się tą kolosalną bronią. Te baterie sieją śmierć bardzo daleko za linie niemieckie. Nagle kolumna zatrzymuje się! Krzyki i wezwania. Nagły blask rozjaśnia noc. Plandeki kilku pojazdów stają w ogniu, nieprzytomnie biegają żołnierze.

- Spieprzajmy zanim to pudło wyleci w powietrze - mówi Gregor. - Będzie olbrzymia eksplozja łańcuchowa.

- A kierowca za nami? Podniesie alarm!

- Wyobrazasz sobie? Z naszymi odznakami na łbach, to on da nogę. Szybko! Inaczej pofruniemy na Drogę Mleczną!

Wyskakujemy, wpadając w ramiona zdumionemu artylerzyście, który opowiada coś niezrozumiałego, wskazując palące się pojazdy. Odpowiadamy tak, jak wyobrażamy sobie, że odpowiedziałby Ruski: - *Job twoju mat!*

Artylerzysta chichocze i znika, biegnąc ze wszystkich sił, jakiś oficer wywrzaskuje rozkazy, kierowcy próbują wycofywać swe ciężarówki, wielki wóz z przyczepą zarzuca i staje w poprzek drogi. Zamieszanie sięga szczytu.

Galopujemy w stronę ciężkiej baterii, która grzmi bez przestanku, mijamy jakiegoś majora, któremu salutujemy po rosyjsku. On przykłada dwa palce do czapki nawet na nas nie patrząc, nie istniejemy.

W tym momencie potworny wybuch zagłusza wystrzały armatnie. Otwierają się wrota piekieł. Podmuch palącego powietrza o sile tsunami dopada nas, a my pospiesznie zakopujemy się w śnieg, by umknąć temu piekielnemu gorącu. Eksplozje łańcuchowe; kawałki ciężarówek, szczątki ludzkie lecą w niebo i opadają, zaścielając pola.

Skończone. Gregor i ja próbujemy przyspieszyć przez górę miękkiego śniegu, a każdy krok jest torturą. Jeśli upadniemy, śnieg nas pochwyci jak ośmiornica. Nad naszymi głowami świszczą ciężkie pociski. Teraz nadchodzi ostatni etap naszej odysei i nie mniej przerażający - strefa między artylerią a główną linią bojową, gdzie roi się od policji polowej, szakali zawsze tropiących zwierzynę do rozstrzelania.

Nadchodzi dzień. Znowu trzeba się ukryć i wyczekiwać nocy. Nocy, naszej przyjaciółki... Zakopujemy się w śniegu, używając jako łopat kolb naszych pistoletów maszynowych. Gdy dół jest dostatecznie głęboki, przykrywamy się śniegiem. Chociaż w Rosji, zwłaszcza w zimie dzień jest krótki, nam wydaje się wiecznością.

Patrol przechodzi bardzo blisko nas, skóry skrzypią, hełmy stukają o puszki masek gazowych. Nie widzieli nas. Gdy zapada noc wyłazimy z naszej dziury i bijemy butem o but, by ożywić zdrętwiałe kończyny. Jeszcze jeden papieros NKWD, ostatni kawałek słoniny i

pajda rozmoczonego chleba kukurydzianego. W dali trzeszczą karabiny maszynowe.

Front się ożywił, zgrzyta jak ranne zwierzę, wyczuwamy go wszystkimi nerwami. To atak, który nastąpi o świcie, w takich sprawach żołnierz się nie myli. Znajdujemy schronienie, to armata z oderwanym kołem. Jej obsługa, niemieccy artylerzyści, są martwi lub umierający. Młody Oberleutnant ma obie nogi oderwane, a śnieg wokół niego stał się czerwony. Okolicę nieustannie rozświetlają śmiertelnym blaskiem artyleryjskie granaty zapalające.

Z ostrożnością Indianina trzeba pełznąć przez środek nieopisanego chaosu, zniszczonych dział wszelkiego kalibru, tysiący trupów brązowych, zielonych, szarych, czarnych. Tysiące zwłok, niektóre przyczepione jak widma do drzew, a wśród tych okropności chmary dobrze odżywionych kruków, skrzydlatych grabarzy wojskowych trupów.

Ze wszystkich stron błyska ogień armatni, pociski smugowe przeszywają ciemność, rosyjski patrol przechodzi tak blisko, że mogliśmy dotknąć któregoś człowieka wyciągając rękę. Nerwy zaraz mi puszczą, czuję, jak w gardle staje mi jak kula łkanie i mam ochotę wyć. Wyć od tłumionego strachu. Ale muszę zacisnąć zęby i pobiec za Gregorem, który skacze od leja do leja. Często czyjś trup amortyzuje upadek. Ale gdzie są niemieckie pozycje?

- Nareszcie! - Stęka Gregor, chwytając mnie za rękę.

Pierwsze druty kolczaste! Są po części rozdarte, a jeśli były tu miny, dawno już wybuchły. Jak węże prześlizgujemy się pod drutami. Bardzo ostrożnie, mogą być pod wysokim napięciem... A potem znów czołgamy się ku naszym pozycjom. Najważniejsze, to nie biec, wezmą nas za Rosjan. Nie wołać też po niemiecku, nie uwierzą nam. W tej wojnie jest zbyt wiele podstępów tego rodzaju, na wołanie nikt się nie nabiera. Na froncie żołnierz strzela raczej o jeden raz za dużo, niż za mało.

Okop! Wtaczamy się do niego. Uratowani, jesteśmy uratowani! Ze szczęścia całuję śnieg. Co za odyseja! I nareszcie słyszeć ciężkie kroki, postukiwanie broni. Otwieram usta, by zawołać w rodzinnym języku... Rosyjskie głosy! Filcowe buty przechodzą po Gregorze i po mnie, tak nieruchomych jak trupy.

- *Job twoju mat!* - Drwi jeden z bydlaków, uderzając mnie kolbą.

Serce przestaje mi bić... Ale tamci przechodzą, a my, jeszcze drżąc, znów czołgamy się ku naszym liniom.

Powoli na wschodzie pojawia się jasność, ogień artylerii staje się nie do wytrzymania, sama Śmierć zdaje się ryczeć w powietrzu. Cała okolica jest gotującym się kotłem, w którym ziemia, śnieg, armaty, szczątki czołgów, ludzie bez kończyn, oderwane kończyny lecą i spadają, by znów zostać wyrzucone w powietrze. A w tym pejzażu z koszmaru snuje się zielonkawy i smrodliwy opar.

Po kilku godzinach ostrzał cichnie. Przytuleni na dnie wielkiego leja po pocisku znajdujemy się w towarzystwie niewybuchu kalibru 520 milimetrów. Jednego z tych pocisków, których podmuch zrywa z człowieka ubranie. Więc na niego plujemy, to przynosi szczęście, jak powiedział Porta. A szczęścia bardzo potrzebujemy w tej chwili, gdy z niepokojem obserwujemy ziemię niczyją.

- No to chodź - mówi Gregor - trzeba z tym skończyć. - I skacze po terenie podziurawionym kraterami. Tym razem linie nie są zbyt daleko.

I nagle, wynurzając się z zagłębienia terenu, olbrzymi, groźny, z czarnym krzyżem na brudnym, białym tle wieżyczki, oto nareszcie jest! Czołg... Długa lufa armaty 105 mm grozi nam jak morderczy palec. Od brzęku gąsienic ciarki przechodzą nam po plecach. Na przedniej płycie pancerniej trupia głowa; to Tygrys, czołg SS.

- *Nicht schiessen! Wir sind Deutsch!* - wołamy z rękami nad głową.

Silniki grają na wysokich obrotach, czołg wspina się na nierówność terenu, miazdzy resztki armaty polowej i ciężko opada, mieszając śnieg gąsienicami. Lufy karabinów maszynowych są wycelowane w nas. Jest tylko jedna szansa na sto, że załoga nie będzie strzelać.

Nadal stoimy z rękami na karku. Przede wszystkim nie wolno ich przestraszyć! Kłapa wieżyczki otwiera się z metalicznym odgłosem, rury wydechowe dmuchają nam w twarz, pojawia się twarz wysmarowana sadzą pod czarną czapką. Na ramieniu białe sznurki, na kłapach munduru trupia główka. Dywizja „Totenkopf” Obergruppenführera SS Eickego.

- Heil Iwan! - Krzyczy oficer. - Dokąd idziecie, niedorozwinięci?

Celuje w nas z ręcznego karabinu maszynowego, jego białe zęby połyskują na okopconej twarzy. Najmniejszy błąd i będzie strzelał.

Nie czekając na odpowiedź daje nam znak.

- Wsiadajcie tu, świnie jedne i żadnych sztuczek, bo was załatwię! - Rozkazuje.

Pospiesznie wsiadamy do czołgu, ciągle z rękami na karku i toczymy się do tyłu. Ochrypły rozkaz. Olbrzym zawraca. Trzy inne Tygrysy, wszystkie z dywizji „Totenkopf”, pojawiają się w chmurze śniegu, a nasz wraca na pozycje niemieckie. Młodzi esesmani szydząc wyciągają nas z pojazdu, popychają nas, obmacują... Rzadkie zwierzęta!

- Jazda, plujcie czerwoni podludzie, zanim was zabiję - warczy oficer.

- Jesteśmy Niemcami - mówię i natychmiast zdaję sobie sprawę z popełnionego błędu. Trzeba było powiedzieć „żołnierzami niemieckimi”.

- Niemcy! - Ryczy pijany wściekłością Obersturmführer. - Komunistyczne świnie albo zdrajcy ojczyzny, oto kim jesteście! - Przywiążcie ich drutem kolczastym z przodu czołgu.

- Chyba pan zwariował! - Krzyczy Gregor, tym razem nie posiadając się ze złości. -
Przychodzimy ze Stalingradu, miasta, którego nie znacie, dekonnicy! Jesteśmy wszystkim, co
zostało z 6. Armii!

Niebywała cisza zapada po jego słowach.

- A dlaczego nosicie te radzieckie szmaty? - Pyta cicho Obersturmführer.

- Trzeba było zlikwidować trochę enkawudzistów, by móc przejść - odpowiada ostrym
tonem Gregor. - Robi się, co się da!

- Zdejmijcie te czapki - rozkazuje esesman. - Na sam ich widok mam ochotę rzygać.

Zrywa nasze nakrycia głowy z odznakami NKWD i wściekle wdeptuje w śnieg.

Jeśli kilka setek kobiet polskich czy rosyjskich umrze ze zmęczenia podczas budowy rowów przeciwczołgowych, interesuje mnie to tylko o tyle, o ile ich brak opóźni obronę Armii Niemieckiej.

*Heinrich Himmler podczas rozmowy z oficerami
SS w Poznaniu. 4 października 1943*

General Roske, dowódca 14. Korpusu Pancernego, znajdował się twarzą w twarz z generałem Paulusem w Kwaterze Głównej, którą umieszczono w dawnym, przerażającym więzieniu NKWD. Okropny budynek Rosjanie nazwali skromnie Komisarjatem Spraw Wewnętrznych. Paulus był bardzo blady. Lewa połowa twarzy drgała mu wskutek nieustającego tik, palił bez przerwy, a jego czoło ociekało potem.

- Roske - powiedział - cieszy mnie pana widok. Mówiono, że padł pan z ręki nieprzyjaciela; czy wie pan, że mamy zabitych już siedmiu generalów? Jesteśmy jedyną armią, która straciła tylu generalów. Gdy w strefie Stalingradu skończą się walki, możliwe, że w 6. Armii nie będzie ani jednego generała, robiliśmy okropne błędy, ale doświadczenie uczy.

- Generale, czy wie pan, co się dzieje w umocnionym obozie? - Zapyla Roske. - Wojsko żyje jak dzikie zwierzęta, żołnierze jedzą trupy, by nie umrzeć z głodu, wszystko jest w rozsypce, dywizje już nie istnieją. 30. Dywizja Pancerna, 176. Dywizja Piechoty, 24. Dywizja Pancerna są unicestwione; ranni umierają bez pomocy lekarskiej. Szpitale nie mają już lekarstw, nawet aspiryny, Generale! Pozostaje tylko jedno rozwiązanie: kapitulacja.

- Wiem, wiem... Ale Führer zakazał tej kapitulacji, która jest naszym jedynym ratunkiem, a jako żołnierze musimy być posłuszni. Pozdrówcie swych żołnierzy w moim imieniu, Roske, i jeśli mogę cokolwiek dla was zrobić, proszę mnie powiadomić.

W dwie godziny później Paulus wysłał swemu dowódcy następujący telegram:

„Do Führera.

Z okazji rocznicy objęcia przez Pana władzy, 6. Armia pozdrawia swego Führera. Sztandar ze swastyką nadal powiewa nad Fortecą Stalingradzką. Nasza walka będzie dla przyszłych pokoleń głośnym przykładem, że nawet w beznadziejnej sytuacji nie kapituluje się. Wierzymy w zwycięstwo i pozdrawiamy naszego Führera.

Heil Hitler!

Paulus, dowódca 6. Armii.

Stalingrad, 29 stycznia 1943”.

Rozdział 15

Znów w niemieckich szeregach

Przetransportowano nas do Charkowa amfibią, i przekazano do 167. Batalionu Odwodowego, stacjonującego w koszarach Dzinskih, na wyżynie przed Nową Bawarią.

Heutfeldweibel wysłał nas do magazynu, abyśmy tam dostali nowe mundury i broń. Obsługa magazynu powiedziała nam, że wszyscy powracający ze Stalingradu są tu skoszarowani, w 167. Batalionie Odwodowym. Przybywali co dzień, ale po otrzymaniu wyposażenia trzeba było się zameldować w biurze Tajnej Policji, gdzie poprowadził przesłuchanie młody Hauptmann ze Sztabu Głównego, najpierw stwierdziwszy naszą tożsamość.

- W jaki sposób wyszliście ze Stalingradu?

- Pewien Brigadenführer SS zgromadził nas i poprowadził - odpowiedział Gregor. - Utworzyliśmy grupę bojową z około ośmiuset ludzi.

- Którego dnia? - Spytał przyjacielsko Hauptmann, przerzucając jakieś papiery.

- To musiało być 26 albo 27 stycznia.

- A więc jeszcze bito się w Fortecy, gdy Brigadenführer SS wyprowadził grupę bojową?

- Tak, w niektórych miejscach jeszcze się bito - odpowiadam z całą niewinnością - Rosjanie właśnie mieli zaatakować pozycje koło Teatru Nowego i Placu Poległych.

- I nikt nie zaprotestował przeciw pomysłowi tego przebiecia się? - Zapytał Hauptmann uśmiechając się i dając nam po papierosie. Mam na myśli przynajmniej obecnych tam oficerów?

- Nie, Herr Hauptmann. Mieliśmy tylko jedną myśl: uciec z tego piekła, bo bitwa była przegrana. Wszyscy byliśmy skazani na śmierć. Zapewne nie wie pan co to znaczy wpaść w ręce Rosjan.

- Rozumiem - mruknął Hauptmann, wzruszając ramionami. - Tak więc Brigadenführer Augsburg objął dowództwo grupy bojowej i żaden oficer nie zaprotestował przeciw temu objęciu władzy? Przecież był to obcy oficer, zupełnie nieznan.

- Och, taki był zamęt! Byliśmy już tylko stadem ludzi, pochodzących ze wszelkich możliwych dywizji. On się tam znalazł i objął dowództwo. Bez niego nikt by się nie uratował, a był to oficer, którego nie można było nie słuchać.

- Nie zdawaliście sobie sprawy, że to dezercja? Mieliście wszystko: broń, amunicję,

tworzyliście silną grupę bojową. Czemu nie kontynuowaliście walki z Rosjanami?

- To nie było możliwe, a byliśmy posłuszni Brigadenführerowi - odpowiedział Gregor, który nadal nie rozumiał znaczenia tego przesłuchania.

Kapitan uderzył się po bucie swą szpicrutą i uśmiechnął się z wyższością.

- Przecież waszym obowiązkiem było zaprotestować! Powinniście byli aresztować tego dziwnego generała!

- Herr Hauptmann - odpowiedziałem po cichu - nigdy nie słyszałem, by prosty żołnierz protestował przeciw rozkazom generała.

- Biliście się przeciw wielkim siłom rosyjskim koło Gumraku? - Kontynuował Hauptmann, który w oczywisty sposób znał całą sprawę. - Gdy ta bitwa skończyła się, co zrobiliście?

- Uciekliśmy! - Zaśmiał się Gregor. - I ze wszystkich sił pobiegliśmy w stronę Donu.

- Żołnierz niemiecki nie ucieka - odpowiedział twardo Hauptmann. - To tchórzostwo. Wobec tego cały wasz marsz po dezercji ze Stalingradu - położył nacisk na słowo dezercja - był tylko ucieczką na zachód? Brigadenführer nie wydał rozkazu atakowania pozycji rosyjskich, niszczenia składnic, transportów?

- Nie, Herr Hauptmann, chciał jak my wszyscy powrócić na linie niemieckie.

- Co robił lekarz grupy bojowej z rannymi i chorymi? Operował? Zajmował się ich ewakuacją?

- Było fizycznie niemożliwe transportować kogokolwiek, Herr Hauptmann, a także lekarz nie mógł operować w warunkach tak przerażających.

- Więc porzucił chorych i rannych w śniegu? - Spytał oficer, przymrużając oczy. - Nikt nie protestował, nawet Brigadenführer?

- Nic nie można było zrobić, Herr Hauptmann, absolutnie nic. Każdy ledwie się włókł, byliśmy u kresu sił od chorób i głodu. Niemożliwe było zabierać rannych!

- Niemożliwe? - Smakował to wyrażenie. - Innym zostawcie prawo oceniania. Kontynuujmy. Czy ktokolwiek wyrażał się z pogardą o sposobie prowadzenia wojny albo o Partii?

- Nikt, Herr Hauptmann! - Zawołaliśmy równocześnie.

- Jesteście zupełnie pewni? - Spytał sceptycznie. Wstał, wygładził swój elegancki, jasnoszary mundur i włożył dokumenty do wielkiej teki. - Jeśli macie listy, wręczone przez umierających, dajcie mi je.

- Niestety nie mamy żadnych, Herr Hauptmann - odpowiedział Gregor. - Rosjanie zabrali wszystkie, gdy nas wzięli do niewoli.

- Czy wyjawiliście Rosjanom szczegóły waszej ucieczki?

- Nie, Herr Hauptmann, podaliśmy tylko nasze nazwiska i przydziały do jednostek.

- I NKWD tym się zadowoliło? - Nie czekając na odpowiedź kontynuował. - Wy dwaj otrzymujecie zakaz opowiadania o tym przesłuchaniu, a szczególnie o Stalingradzie. Jeśli ktokolwiek was zapyta, natychmiast donieście o tym do Feldgestapo.

W godzinę później mercedes z proporczykiem Sztabu Głównego opuścił koszary. Wiózł Hauptmanna. Gdy weszliśmy do 2. Kompanii, zdumienie zmieniło naszych kolegów w słupy soli.

- Coś podobnego! - Zawołał Porta. - To przekracza wszelkie wyobrażenie! Czekaliśmy na was przez dwie godziny, ale natychmiast zrozumiałem. Wpadliście na Ruskich i nie chcieliście podzielić się kawiozem z kumplami!

- Dzieci! Dzieci! - Powtarzał zachwycony Stary.

- Myśleliśmy, że od dawna nie żyjecie!

- Reorganizują 6. Armię - oświadczył nie zwarzając na odpowiedź Barcelona, który miał to, że się wyleczył. - Bóg jeden wie, skąd oni uzyskają to całe mięso armatnie! Widocznie jeżdżą po całych Niemczech odkurzaczem.

- Im szybciej będą puste, tym lepiej - zakpił Porta. - Wojna skończy się i zmieniamy kawiarnię. Brązowy kolor przestanie mi działać na nerwy.

- Tak - rzekł w zamyśleniu Stary - gdy wojna się skończy, jakie to zrobi wrażenie?

- W każdym razie mogę wam powiedzieć coś dobrego - przerwał Legionista. - Gdy skończyła się wojna w Rifie, wróciliśmy do koszar i żałowaliśmy wojny. Wtedy przynajmniej były dobre czasy!

- A propos - odezwał się Gregor - co się stało z Augsburgiem, Oberleutnantem i lekarzem?

- Mogłeś się domyślić - odparł Stary. - Czy nie przesłuchał was Hauptmann Sztabu Głównego?

- Są aresztowani? - Krzyknąłem zdumiony.

- I co z tego? W Armii potrzeba dyscypliny. Augsburg opuścił Stalingrad wbrew rozkazom Hitlera, a Oberleutnant i lekarz także. Wszyscy trzej zostaną zdegradowani i wysłani do Dirlwangera, założę się, że sami zobaczycie.

- Ależ to szaleństwo! Jakakolwiek rozsądna istota ludzka opuściłaby tę rzeźnię! Nie zdezerterowaliśmy, wróciliśmy na linie niemieckie!

- Nie musisz tego rozumieć - stwierdził Porta. - Tylko grube ryby rozumieją. Kiedy ci każą maszerować na wschód, nawet gdybyś miał dziesięć razy okrążyć kulę ziemską, masz

tylko maszerować.

Przez pewien czas zabawialiśmy się obserwowaniem niekończącego się potoku nowo przybyłych. Ale żołnierze ze Stalingradu uważani są za półbogów, a myśmy z tego korzystali bez skrępowania: prezenty, dzbany wina były niezbędne, abyśmy raczyli egzystencję „nowych” uczynić do zniesienia. W ten sposób wojna mogła sobie trwać i dziesięć lat!

Pewnego dnia, gdy Porta i ja przechodziliśmy obok starej Hali Targowej, gruby intendent sztabowy pobiegł za nami i chwycił Portę za ramiona.

- Wreszcie jesteś, Huber! Gdzie się podziewałeś przez pięć godzin, łajzo jedna?

Zdumiony Porta przez chwilę przyglądał się grubym okularom, niemal ciemnym, a po tym błyskawicznie pojął, że ten prawie niewidomy człowiek wziął go za kogoś innego. Instykt oszusta równocześnie podpowiedział mu możliwość korzyści z takiej pomyłki.

- Jeszcze nie wiesz co to wojna, przeklęty symulancie! - Krzyczał człowiek. - Bierz swoją ciężarówkę i to biegiem i przyjeżdżaj po rozkazy!

Schowany za drzewem obserwowałem, jak dalej potoczą się wypadki, słuchając wrzasku grubego intendenta. W kwadrans później Porta pojawił się za kierownicą wielkiej ciężarówki i dał mi znak, bym wsiadł obok niego.

- W drogę! Jedziemy po towar dla tego kretyna w okularach. To półgłówek, ale z pewnością jest coś do zwinięcia. Czujesz, jaka okazja?

Z wielką szybkością pojechaliśmy do składnicy, gdzie Porta bezczelnie pokazał zapotrzebowanie.

- Kim jesteście? - Nieufnie zapytał kierownik w stopniu Feldwebela. - Huber nie przyjedzie jak co dzień?

- Melduję, Herr Feldwebel, że jest chory - odrzekł Porta, stukając obcasami. - Nagły, ostry wypadek. Z tego powodu wysłano go pospiesznie do pociągu sanitarnego.

Feldwebel położy na zapotrzebowaniu pieczętkę, a Porta bez żadnych skrupułów podpisał. Najpierw dostaliśmy partię dywanów, następnie partię mundurów, co rozwścieczyło Portę do ostateczności. W trzecim magazynie pięćset ręcznych karabinów maszynowych. Złość nie opuszczała oszusta. Ale w czwartym i ostatnim magazynie wszystko poszło lepiej: do ciężarówki wrzucono całą masę skrzyń z konserwami.

- Jeśli idzie o dziesięć kartonów wódki, dostaniecie je w magazynie numer 36, gdzie już zatelefonowałem - oświadczył Feldwebel, którego Porta miał ochotę ucałować.

Odebrawszy wódkę zatrzymaliśmy się w małej uliczce, u pewnego rosyjskiego dezertera, przyjaciela Porty. Wszystko nadające się do jedzenia zostało schowane w piwnicy, natomiast ciężarówka została wyprowadzona za miasto, gdzie przy użyciu granatów udaliśmy

napad partyzantów. Był to najlepszy sposób, by zapobiec jakimkolwiek dochodzeniu.

Przepisowy seans wódkografii nastąpił jak zawsze w arsenale, podczas gdy najgłupsze plotki krążyły po ulicach. Opowiadano, że Rosjanie przełamali front północny i bitwa toczy się teraz na starych niemieckich ziemiach. Mówiono też o strategicznym odwróceniu, co we wszystkich językach oznacza pospieszny odwrót. Z pewnością coś się dzieje, bo dzień i noc transporty jadą szosą do Białgorodu i do Orła. Szczytem ironii było, że otrzymaliśmy rozkaz - my, eksperci! - Odbycia kursu niszczenia czołgów.

Następnie powrót do koszar Nowej Bawarii zmienionych w prawdziwe mrowisko. Wszędzie się czyści, wymienia się stare wyposażenie na nowe, naprawia mury, wszyscy ściągają cokolwiek da się zwędzić, szczególnie, że wyjeżdżamy jakoby do Berlina, by wzmocnić pułk ochrony. Wierzymy we wszystko, bo mamy na to ochotę. Wobec tego od świtu do zmroku robią nam musztrę i w końcu zaczynamy wierzyć, że jesteśmy rekrutami w czasie pokoju.

- Wiem - mówi Porta. - Będziemy kapitulować i robimy musztrę, aby przyjąć Stalina zgodnie z tradycjami Armii Pruskiej.

Heide wręcz przeciwnie uważa, że na zachodzie zawarto pokój i król angielski oraz prezydent Roosevelt są w drodze, by nas ujrzyć. Wszystko jest fantazją, ale niektórzy już zaczynają uczyć się podstaw angielskiego! A kończy się na tym, że zaczynamy żałować spokoju okopów...

Na koniec pewna nowina i oczywiście to Heide ją przynosi: oczekuje się wizyty Hitlera! W pierwszej chwili ogólne oszołomienie. A potem niebotyczny wybuch śmiechu. Führer ma przyjechać nas obejrzeć, nas, gnój okopowy! Niemożliwe! Dowcip jest za gruby.

- W końcu - mówi Stary, ciągnąc się za nos - być może chce on zobaczyć zmartwychwstałych ze Stalingradu.

- To mi się nie podoba - mruczy Mały. - Wolałbym już rozminowywanie, to mniej niebezpieczne, niż mieć do czynienia z grubymi rybami!

Ale potwierdza się, że wiadomość jest prawdziwa. Można by pomyśleć, że nagle diabeł we własnej osobie przelatuje przez koszary. Przerażeni oficerowie i podoficerowie wyrzaskują rozkazy, które natychmiast spotykają się z przeciwnymi i wszyscy gotowi brać się za bary, ponieważ nikt się nie zgadza co do tego, który rozkaz należy wykonać.

Okolo północy, ustawieni w trzy szeregi, czekamy. Gwardii cesarskiej nie oświetlało więcej ognia, niż nas. Dwaj Feldweble, ustawieni na końcu ulicy jako czujki i zaopatrzeni w błyskające rytmicznie latarki, mają za zadanie powiadomić o zbliżaniu się samochodów. To trwa trzy godziny. Nerwowość stale wzrasta. Ludzie mdleją i wypadają z szeregów jak

martwi.

W końcu nadchodzi złowieszcza chwila!

Na czele trzy kabriolety horch z wielkim hałasem wpadają na dziedziniec. Wsiadają z nich oficerowie SS z rewolwerami w rękach i tworzą kordon. Za nimi cztery ciężarówki wypchane esesmanami z ochrony osobistej Hitlera, którzy tworzą dwa następne kordony z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Następny sznur olbrzymich samochodów specjalnych wjeżdża przez bramę, oficerowie SS biegną we wszystkie strony, sprawdzają, krzyczą, wrzeszczą, ryczą, grożą sądem wojennym, żandarmerią polową, Gestapo, szubienicą, Torgau, batalionem dyscyplinarnym, wszystkim!

Chwila spokoju. Wszyscy biorą głęboki oddech. Z daleka brzmi fanfara ostrzegawcza.

Oficerowie chodzą wielkimi krokami po dziedzińcu z nieopisanym niepokojem, jeden z esesmanów wypuszcza swój peem, który pada z gromowym hukiem, kot miauczy z przestachu na szczycie muru, dowódca kompanii dostaje ataku nerwowego i rozkazuje „aresztować” kota, pięciu ludzi mknie, by schwytać zwierzę, które z pogardą pluje im w twarz i zniką z zadartym ogonem.

Dwa specjalne mercedesy pojawiają się w chmurze śniegu i zatrzymują przed naszym dowódcą. Czerwone klapy mundurów i złote galony rywalizują blaskiem z odznaczeniami, bręczą ostrogi, dźwięczą szable, monokle rzucają błyskawice. Z pierwszego wozu wysiada Generalfeldmarschall von Mannsteinn, a za nim cały jego sztab; z drugiego Armeegeneral Guderian, generalny inspektor broni pancernej, jest bardzo zakatarzony i ma czerwony nos, który bez przerwy wyciera.

Nasz dowódca melduje pułk Generałowi Armii. Rozbrzmiewają rozkazy, musztra z karabinami, biegnące nogi, strzelające obcasy, wrzaski, groźby, przekleństwa. Pies pułkowy dostaje baty, ponieważ wywęchał kocie łajno. Jakiś Feldwebel źle się poczuł. Inspekcja oddziałów: zrywają jeden pas i jedną ładownicę, Feldwebel magazynowy drży ze strachu, gdy nieszczęsny żołnierz wbiega, by zmienić rzemienie. Generał Guderian melduje pułk Generalfeldmarschallowi von Mannsteinowi; ponowna inspekcja. Tym razem zrywają komuś hełm, na którym brak orła, to człowiek z 2. Kompanii. Dowódca pułku rzuca mordercze spojrzenia dowódcy kompanii, który chętnie kogokolwiek by zastrzelił. Nowe rozkazy, nowa musztra i znowu czekamy...

Na ulicy jakaś Rosjanka krzyczy: - Ryby na sprzedaż! - Tuż przed bramą. Von Mannsteinn nerwowo rusza buławą; wszystkim wiadomo, że Führer nie znosi ryb! Czterech esesmanów galopem wyrzuca handlarkę rybami, a potem nowy sznur samochodów, wypchanych esesmanami, nadjeżdża z wielką szybkością.

I na koniec, na koniec pojawia się wielki, czarny mercedes, w którym tronuje Adolf Hitler!

- Pułk na prawo patrz! - Ryczy dowódca głosem tak ochrypłym, że aż się załamuje. - Głowy prosto! Baczność! Prezentuj broń!

Hitler powoli wysiada, nogi podnosi wysoko jak ma w zwyczaju podczas przeglądów wojska, to przypomina jakiś dziwny taniec. Z jego twarzy widać było tylko nos i wąsik, resztę krył cień czapki i wielki kołnierz. Dowódca zameldował swoją jednostkę Führerowi, który pozdrowił nas gestem ręki.

- 2. Pułku Czołgów... - Zaczął. - Wyraźnie myli nas z innym pułkiem, ale nikt nie ośmiela się zwrócić mu uwagi. - Dziękuję wam, żołnierze, za waszą odwagę i waszą waleczność! Jesteście dumą Niemiec. Gdy wygramy wojnę, zostaniecie wynagrodzeni. Heil Soldaten!

Ogólny ryk „Heil Hitler!”, od którego drżą szyby. Hitler, mając za sobą generałów i oficerów Sztabu Głównego, drobnym kroczkiem przechodzi przed wojskiem. Niektórym żołnierzom zadaje pytania i idzie dalej, nie czekając na odpowiedź. Na chwilę bez słowa zatrzymuje się przed Portą.

W ciągu siedmiu i pół minut wszystko skończone. Rekord! Von Mannsteinn ze swoim brzuszkiem i już w pewnym wieku ma trudności z dotrzymaniem mu kroku. Nie podawszy nikomu ręki Hitler wsiada do swego wozu, który skacze do przodu, z długim orszakiem za sobą. Cała wizyta od początku do końca trwała jedenaście minut.

Ogólne rozczarowanie. Jest mniejszy niż sądziliśmy, prawie komiczny, wszystko wydaje się dla niego za duże: czapka, płaszcz, buty, wąs, wszystko! Mały uważa, że Hitler podobny jest do cyrkowego błazna. A gdy nieco później znaleźliśmy się w sraczu, by pograć w karty, wszyscy się zgodzili: Hitler wygląda jak błazen.

- No to gówno! - Mruczy Mały. - Pomyśleć, że taki wielki człowiek mieści się w tak małym formacie! To się w głowie nie mieści. Czy on może zabronić Włochom jeść spaghetti i zażądać od Francuzów, by pili niemieckie piwo?

- Zapewne tak - odrzekł zamyślony Stary - to by było zresztą idiotyczne, ale nigdy nie trzeba się zarzekać.

- Czy on jest taki, jak Bóg? - Spytał w osłupieniu Mały.

- Prawie. Powiedział pewnemu biskupowi, że Bóg mógł stworzyć ludzi, ale on wziął za zadanie, by ich niszczyć. A poza tym spieprzaj z twoim Hitlerem i rozdawaj karty.

- Więc może zakończyć wojnę, jeśli zechce? - Kontynuuje uparcie Mały.

- Tak, jeśli chce - odrzekł z westchnieniem Stary. - I dobrze by było, gdyby zechciał,

bo każdy imbecyl zdaje sobie sprawę, że wszystko idzie w diabły!

Ci, którzy przeżyli bitwę, to tylko mniej waleczni. Prawdziwi bohaterowie padli na froncie.

Adolf Hitler, 19 marca 1945

Rankiem 1 lutego 1943 następujący telegram dotarł do Wielkiej Kwatery Głównej.

„Mój Führerze,

6. Armia dotrzymała swej przysięgi na sztandar. Biliśmy się do ostatniego człowieka i ostatniego naboju, zgodnie z rozkazem, jaki Pan nam wydał. Armia nie ma już amunicji, broni ani żywności. Są całkowicie zniszczone: 16. Dywizja Pancerna, 61. i 24. Dywizje Pancerne, 9. Dywizja Artylerii Przeciwlotniczej, 30. Dywizja Zmotoryzowana; 44., 71. i 176. Dywizje Piechoty, 100. Dywizja Strzelców Alpejskich. 6. Armia pozdrawia swego Führera Adolfa Hitlera.

Niech żyją Niemcy!

Paulus, Generalfeldmarschall”

6. Armia tego samego dnia o godzinie 5.30 wysłała swą ostatnią depezę radiową:

„Rosjanie wdzierają się do bunkrów. Wysadzamy je w powietrze”.

Oberleutnant Wultz, radiooficer, wysłał z własnej inicjatywy sygnał EL, który w międzynarodowym języku radiotelegraficznym oznacza, że ta stacja nie będzie więcej nadawać. Następnie łopatką rozbił radiostację i strzelił sobie w głowę.

Ale ten, który był naczelnym dowódcą i bez przerwy krzychał: - „Jestem posłuszny rozkazom, jestem żołnierzem!” i bez litości rozkazywał dokonywać egzekucji tych, którzy nie zostawali na swej pozycji nawet w rozpaczliwej sytuacji, ten człowiek oświadczył swemu szefowi sztabu, który go zawiadomił, że Rosjanie jeszcze raz proponują honorowe kapitulację:

- Schmidt, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Proszę zrobić, co pan zechce. Zrzekam się wszelkiej odpowiedzialności i chcę być traktowany jak osoba prywatna. Może pan objąć dowództwo Armii, ale musi pan uprzedzić Rosjan, że w żadnym wypadku nie pójdę przez miasto pieszo. Niech dadzą do mojej dyspozycji samochód, a także do dyspozycji wszystkich generałów.

General Paulus zachował się dokładnie tak, jak Hindenburg w 1918: odmówił odpowiedzialności za katastrofę narodową, której cały ciężar spadał na niego.

Rozdział 16

Pociąg

Stacja kolejowa wyglądała tak, jak tysiąc innych rosyjskich stacji. Parę na pół zwiędłych wiosennych kwiatów walczyło o życie, łajno zdobiło wejście do biura zawiadowcy stacji, wszyscy przeklinali to łajno, ale nikt nie zatroszczył się o to, by je usunąć i miało pozostać na miejscu, póki wiatr nie stanie się dość gwałtowny, by je zabrać. Chłopi ze swymi kurami od dwóch dni czekali na pociąg, ażeby uniemożliwić kurom oddalanie się, połamano im łapy. Inny chłop ciągnął na smyczy świnię, doprawdy piękną świnię, całą białą, lecz z czarną głową, nazywała się Tania i znano ją tak dobrze, że nikt nie miałby odwagi jej zjeść.

Było tak nie dlatego, że od dwóch dni brakowało pociągów, wręcz przeciwnie, przybywały masowo, szczególnie pociągi amunicyjne w drodze na wschód. Wielkie pociągi z dwiema lokomotywami, jedną z przodu, drugą z tyłu; wielkie, ogromne lokomotywy, o kotłach z niskimi kominami i z ludźmi czarnymi od dymu w kabinach palaczy. Ci ludzie byli tak oswojeni ze śmiercią jak my sami; na każdym zakręcie zawsze ryzykowali, że wylecą w powietrze i ugotują się we wrzącej parze.

Wiele wagonów wiozło martwych, ale w tej chwili były to szkielety armat do naprawy gdzieś w Niemczech, przez ludzi w pasiakach za drutami kolczastymi. Po prawym torze przejeżdżały co dwadzieścia minut pociągi ekspresowe ze znakami Czerwonego Krzyża. Te pociągi jechały szybciej; przewoziły całe dywizje ludzi skrwawionych, okup za wielki koncert armatni.

I oto jesteśmy w drodze na dziesięć dni urlopu w ośrodku rekonwalescencji, prawdę powiedziawszy nie taki urlop jak inne, bo w tej chwili nikt ich nie otrzymuje. Urlopy dla bydła frontowego zostały zabronione.

Jedziemy gdzieś na wybrzeże Morza Czarnego, do miejsca, które Porta określa jako przedsionek raju, kurwy i wyżywienie w dowolnych ilościach, co drugi dzień skrzynka cygar. Pociąg sanitarny wjeżdża na stację, długi pociąg. Po raz setny chłop spogląda na rozkład jazdy i nie jest w stanie zrozumieć, że ten rozkład jest nieważny od roku 1940.

- Godzina 12 i 27 minut - mruczy, potrząsając głową z rozczerowaną miną. Gdzie u diabła podział się ten przeklęty pociąg? Oczywiście pomylili trasę! Wszyscy powinni zdawać sobie sprawę, że są opłacani przez międzynarodową finansjerę, ci kolejarze w swych wygarniowanych czapkach. *Towariszcz giernanskij soldat* - mówi, odwracając się do Porty.

- Kiedy odjeżdża najbliższy pociąg do Nikopola? Myślę, że wy Niemcy przyszlście,

by zrobić trochę porządku z tymi zdrajcami z radzieckich kolei żelaznych!

- Odjeżdża na Boże Narodzenie - odpowiada Porta. - Proszę się nie gniewać, Piotr, to wojna. Proszę spojrzeć, co zawdzięczam tym opóźnieniom.

- I pokazuje jaki olbrzymi plik pieniędzy przyniosły mu wygrane w karty. - Modłę się do Matki Boskiej Kazańskiej, by opóźnienie trwało jeszcze dwadzieścia lat! Wojna, przyjacielu, to ogromne opóźnienie życia! Wobec tego siadaj i czekaj, *towariszcz* Piotr, pociąg odjedzie, kiedy będzie musiał odjechać. Na stacji trzeba być cierpliwym.

Ale jakiś Oberfeldwebel wyskakuje z mieszanego pociągu, który zatrzymuje się z żalonym skrzypieniem.

- Pociąg! Pociąg! - Krzyczy tłum z wielkim pod nieceniem.

Bałagan nie do opisania. Wszyscy biegają, dzieci płaczą, kury gdaczą, psy sikają i szczekają, wrzaski rozkazów, protesty, ostatnie wagony zatrzymały się daleko za peronem, ludzie rzucają się do drzwiczek, ten ze świnią uwiązł w drzwiach, chłopci go pchają, świnia kwiczy, chłop krzyczy równie głośno jak świnia, a kierownik pociągu wyciąga rewolwer.

- Sabotaż! Sabotaż!

Porta wskakuje przez okno i ląduje w chmurze kur o połamanych łapach. Mały bije się z trzema kuczkami i wali ich po głowach trzema gdaczącymi kurami. Rumuński sierżant wyciąga szablę by natrzeć na Barcelonę, który go nazwał „czarnomorską dupą”, przybiega żandarmeria polowa, pałki gumowe spadają na wszystkich bez wyboru; jakiś podoficer artylerii strzela na ślepo i trafia świnie, która ryczy i ucieka przez wagony z szybkością pocisku artyleryjskiego, przewracając co napotka na swej drodze.

Kończy się na tym, że wszyscy znajdują się pod wszystkimi; świnie zamyka się w sraczu wraz z cielęciem, sześć tłustych gęsi zostaje wepchnięte pod ławkę, a żandarmów wyrzuca się na zewnątrz. Komendant pociągu, który już prawie zwariował, biegnie po peronie przeklinając Boga i ludzi. W końcu pociąg skrzypiąc rusza z miejsca, nawet nie czekając na sygnał swego komendanta.

- Zatrzymać się! - Krzyczał komendant pociągu, pozostawszy na peronie. - Jestem komendantem! Nie możecie odjechać bez komendanta!

Zaczął od tego, że uderzył się o kubek, następnie rozłożył się o złośliwie podstawioną nogę jakiegoś pracownika, ale mimo wszystko zdołał wciągnąć się na schodki ostatniego wagonu.

- Co za dupa! - Zawołał Porta. - Lepiej, żeby się uspokoił, bo inaczej będzie źle. Słuchajcie, to mi przypomina prawdziwe wydarzenie. Znałem niejakiego Manfreda Katzenmeyera, Hauptmanna artylerii, którego pewnego dnia, podczas poprzedniej wojny,

wylano z wojska, ponieważ pewnego dnia pomieszał wszystkie skrzynki granatów. Wyobrażacie sobie w jakich kłopotach znalazła się artyleria Wilhelma! Francuzi zajęli dwa wzgórza, Kronprinz biegnie pod Verdun, krótko mówiąc panika. Wobec tego wylewają na zbity pysk tego skretyniałego Hauptmanna i wysyłają go do konwojowania rannych oficerów. Po Wilhelmie przychodzi Adolf. Ponieważ potrzebowano imbecyli, dano temu Hauptmannowi pociąg, prawdziwy pociąg, by nim dowodził. Daję wam słowo, że już nie liczył się z nikim. Kazał sobie uszyć mundur, powiem wam tyle, że był ozdobiony takim mnóstwem żółtych galonów, że wyglądał jak pole tulipanów. A wymyślał! Na wszystkich stacjach bano się go jak cholery. Dostał ksywę „srajhuzar”, bo ludzie musieli chodzić do sracza zgodnie z regulaminem. Regulamin ponad Wszystko. Rano po zupie i wieczorem przed położeniem się spać trzy minuty i trzydzieści sekund na człowieka oraz dwie kartki papieru. Szarego dla żołdatów, żółtego dla zupaków i białego dla oficerów. O pociągach oczywiście nie miał zielonego pojęcia i pewnego dnia wydarzyło się to, co wam opowiadam. Jego pociąg zatrzymał się na małej stacyjce po tamtej stronie Dońca. Był tam pewien stary facio, który spacerował z miotłą, a dano mu ją w roku 1922. Oczywiście by dać mu zajęcie, podczas rewolucji proletariackiej trzeba, aby wszyscy byli zajęci. Stary gościu widział wszystkie sztandary pod wszystkimi okupacjami: kawalerię Wrangla, marynarzy Trockiego, Freikorpsy von der Golza, Kozaków z ich małą, osobistą rewolucją, nie mówiąc już o naszej pierwszej okupacji w roku 1914. Typunio zmieniał tylko opaskę na rękawie i wrzeszczał: - Jestem z Petsamo! Jestem jednym z waszych! Niech żyje car! Niech żyje Lenin! Niech żyje Kajzer! Niech żyje Rosja! Niech żyją Niemcy! Niech żyje Rewolucja! Niech żyją wszyscy. - Wobec tego, owego dnia, gdy marynarze z Kronsztadtu przybyli na tę zapomnianą stacyjkę, komisarz dał staremu rozkaz, by wziął miotłę i nigdy jej nie wypuszczał, pod karą zsyłki na Kołymę. Przysięgam wam, że facio nawet z nią spał. Ale oto zjawia się Hauptmann od sraczy, w dwadzieścia jeden lat po rosyjskim komisarzu. Stary facio popatrzył na niego, oparłszy podbródek na trzonku miotły jak to się robi we wszystkich krajach, a Hauptmann nawymyślał mu jak to się także robi wszędzie. Podczas tego, nie zwracając na nic uwagi, pociąg Hauptmanna Katzen, po cichu odjeżdża bez niego i tu dochodzimy do morału opowiadania: w życiu nigdy nie trzeba się spieszyć. Ludzie, którzy zawsze się spieszą, spieszą się gdy nie trzeba. I właśnie to się stało z naszym Hauptmannem, komendantem pociągu. Chwyta się ostatniego wagonu, nie udaje mu się, pada na ziemię, podnosi się oszołomiony, gubi hełm i biegnie za nim. Zawiadowca rosyjskiej stacji biegł także salutując. - *Gospodin towariszcz kapitan!* - Wołał. - Pokornie zwracam panu uwagę, że biegnie pan w złym kierunku!

Na widok jego czerwonej czapki Hauptmann zatrzymał się i dwukrotnie zasalutował

mniemając, że to generał. - Kretyn! - Ryknął, spostrzegłszy swoją pomyłkę i oto znów ruszył w pogoń za swym pociągiem. Gdy nie przestając biec wymyślał zawiadowcy stacji, upadł na deski przed sraczem. Pociąg ze swej strony spokojnie podskakiwał na zwrotnicach, by wrócić na właściwą drogę. Bez pośpiechu można go było dogonić; ale Hauptmann galopował po peronie z wywieszonym językiem i szablą pod pachą. By okazać jaki jest sprytny, pobiegł na skrót przed składami towarowymi, ale jakiś z pewnością kontrrewolucjonista postawił tam płot, by uniemożliwić pasażerom wchodzenie. Płot widać było gołym okiem, ale Hauptmann Katzenmeyer, komendant pociągu numer 809, widział tylko jedno: czerwoną latarnię ostatniego wagonu i oto zwałił się na faszystowskich deskach, roboty międzynarodowego żydostwa. W tym momencie wpadł na genialny pomysł: przecisnąć się pod płotem by znaleźć się po drugiej stronie. Ale ponieważ był zbyt gruby, został tam zaklinowany, a Rosjanin ciągnął go za nogi, by go uwolnić od tego faszystowskiego płotu... Znów salutowanie. Wtedy Hauptmann chwycił szczyt płotu i zdołał wywindować swe sto kilo, by przedostać się na drugą stronę. Na nieszczęście była tam woda, w której taplały się kaczki. Zawiadowca rosyjskiej stacji wydał burżuazyjny okrzyk „Mój Boże!”, zaś Hauptmann w tym czasie parsknął, gubiąc swą szablę. A bez szabli nie ma komendanta pociągu. Poszedł szukać szabli, ale stał się zły. „Zatrzymać ten pociąg!” - Wrzeszczał. - Widzisz dobrze, że to jest Hauptmann bez pociągu, chciałem powiedzieć pociąg bez Hauptmanna! To znaczy pociąg bez komendanta, a komendant nie może poruszać się bez pociągu! A poza tym siedź cicho, denerwujesz mnie! - I zawrócił na miejscu przed zdumionym zawiadowcą stacji. W tym momencie zaczął stukać telegraf: zawiadamiano o ekspresie do Dniepropietrowska.

- Święta Matko Boża! - Zawył zawiadowca stacji. - Zatrzymajcie ten przeklęty pociąg! Wysyłam kapitana na rowerze!

Pracownicy stacji, którzy z tego nic nie rozumieli, sądzili że jest pijany jak zwykle i nie ruszyli nawet palcem, gdy Hauptmann pedałowal jak szalony po szynach.

- Niech diabli porwą Niemców! - Zaklął zawiadowca stacji, nie posiadając się ze złości. - Nie można w jednej chwili opróżnić torów dla roweru jakiegoś komendanta pociągu! - Ale pospieszył do nastawni zwrotnic z powodu ekspresu, o którym zawiadomiono. Hauptmann pedałowal z szablą pod pachą, pochylony do przodu jak uczestnik wyścigu i nie zdawał sobie sprawy, że opuścił tor bezpośredni i znalazł się na bocznicę, kończącej się bardzo twardą odbojnicą. Z całym rozpędem rower pokonał pochyłość, zrobił niebezpieczny cyrkowy skok, opadł na szyny i ruszył w przeciwnym kierunku, by znaleźć się na torze głównym. Spostrzegłszy ten bolid zawiadowca stacji machnął zieloną chorągiewką i pospiesznie przestawił zwrotnicę, by go skierować na inną bocznicę na drugim końcu peronu.

Na nieszczęście międzynarodowe żydostwo usypało tam skarpe z piasku i kamieni... Przerażający trzask, iskry jak ognie sztuczne, lecące z hełmu, pedałów i szabli! Trzeba było pocieszyć cyklistę lampką koniaku i odprowadzić na stację w przekrzywionym na poprzek hełmie i z szablą zmienioną w sierp... Roweru już nie wspomiano.

Oczywiście trzeba było teraz sporządzić meldunek, ale do kogo? Do kolei rosyjskich czy niemieckich? Nie ważne, zawiadowca stacji wracał już z formularzami w dłoni, gdy nie mógł uwierzyć własnym oczom! Hauptmann przywłaszczył sobie drezynę i już przejechał poza zwrotnicę! A ekspres był w drodze. Zawiadowca skoczył do telefonu i ryknął: - Komendant niemiecki na dreźnie w kierunku Dniepru! Zatrzymajcie ekspres numer 412!

- Natychmiast odpowiedział mu inny wrzask:

- Ekspres 412 odjechał. Pieprzycie głupoty. Zatrzymajcie drezynę!

Przez chwilę nieszczęśnik zastanawiał się, a po tym przestawił wszystkie semafony na STOP, zarówno przed jak za stacją i zmienił ustawienie wszystkich zwrotnic. Dopiero w godzinę później zorientowano się, że postradał zmysły. Oto do czego dochodzi, gdy się utrzymuje znajomości z Prusakami! Z szybkością 90 kilometrów na godzinę ekspres wjechał na stację, przeskoczył na bocznice i zatrzymał się o półtora kilometra dalej. Ale niestety, tam linia kończyła się! Znaleziono tam kupę złomu oraz Hauptmanna, z szablą i hełmem wbitymi w lokomotywę.

Ta sprawa skończyłaby się na tym, gdyby nie nastąpiła wśród wojskowych, ale w wojsku nic nigdy się nie kończy. Sprawa dotarła do sądu wojennego, a to nie były żarty: ekspres i komendant pociągu, wyobrażacie sobie! Otóż tegoż dnia pionierzy Armii, zgodnie z rozkazem odwrotu, wysadzili w powietrze na południe od Tichwina 260 kilometrów torów, 75 lokomotyw i 16 stacji. Ale sąd wojenny skazał naszego zawiadowcę stacji na śmierć z powodu omyłki przy ustawianiu zwrotnic i rozwaleniu czterowagonowego ekspresu rosyjskiego, co do zmarłego Hauptmanna stwierdzono, że winny jest spowodowanych szkód, ponieważ przejechał czerwone światło drezyną zabraną bez rozkazu, należąca do kolei radzieckich i tymczasowo wypożyczoną przez władze pruskie. Wartość drezyny 3 400 Reichsmarek, roweru 400 RM, dwóch desek wyrwanych z płoty 12 RM, rysy na lakierze lokomotywy 16 RM, w sumie, wraz z kosztami różnymi,

4 000 RM.

A co z pociągiem, który został bez komendanta, zapytacie? Nieszczęśny! Nadal kręcił się jak wariat. Ponieważ nie miał dowódcy, nikt nie wiedział gdzie powinien jechać, a żeby się go pozbyć, wysyłano go na wszystkie wolne trasy. W ten sposób widziany był piętnaście razy w Kijowie, trzy razy w Berlinie, raz w Paryżu, przez który przejechał bez zatrzymania,

by pomknąć do Amsterdamu i Brukseli, w Kopenhadze zawrócił, bo nie mógł kontynuować jazdy do Szwecji, gdyż prom był w naprawie. Wszędzie powodując najpotworniejszy bałagan! Pięciu zarządców popełniło samobójstwo. Na pięć miesięcy pociąg zgubiono, a potem przerażeni ludzie ujrzeni, jak wynurza się w Monachium, przybywając prosto z Rzymu, a jakiś kretyn wysłał go do Frankfurtu. Kolejarze dostawali kota. Wysłano by go do Pekinu, gdyby semafony przed nim świeciły na zielono. Wyobrażacie sobie, ile to kosztowało! Ponieważ Hauptmann nie żył, obciążono odpowiedzialnością jego wdowę, która znalazła tylko jedno wyjście: zniknąć. Wślizgnęła się więc do Andory, małego, rozsądnego kraiku, który żyje z emisji znaczków pocztowych, z banków i innych podejrzanych interesów i który ma się dobrze. Żona Hauptmanna nawet nie chce słyszeć o pociągach, ale na szczęście - zakończył Porta - w Andorze ich nie ma.

W Winnicy przesiadka, ale trzeba czekać całą noc na peronie, a nazajutrz rano wsiedliśmy do „ekspresu”, który zatrzymywał się na wszystkich stacjach. Jedyne dostępne miejsca w otwartych wagonach towarowych. Podczas nieskończone długich przystanków awantury z ludźmi od wyżywienia, którzy odmawiają wydawania nam naszych racji, ponieważ brak jakichś pieczętek, których w kompanii zapomniano przystawić na naszych papierach. W Nawojowsku ekspres nas opuścił i kontynuowaliśmy podróż linią wąskotorową, pociągiem ciągniętym przez kaszlącą maszynę. W Slimie koniec linii wąskotorowej, która zresztą była tylko tymczasowa, na okres wojny. Tym razem trzeba przejść przez bagno, by dotrzeć do innej linii, jakoby głównej. Udaje nam się wskoczyć do pociągu amunicyjnego i siadamy na stosach pocisków artyleryjskich, ale trzy razy trzeba chować się pod wagonami z powodu nalotów.

W Kriwom Rogie wsiadają dwaj saperzy z ręczną gaśnicą. Jeden z nich jest od roku zgłoszony jako martwy, drugiemu udało się zniknąć z transportu. Mają pełne kieszenie fałszywych rozkazów wyjazdu i od ośmiu miesięcy włóczą się po Europie pod nosem żandarmów. Jeden padł na froncie i to zostało udowodnione, drugi jest zaginiony i nikt ich nie szuka.

W cztery dni później docieramy nareszcie do celu. Trochę zbici z tropu, trochę nieufni, patrzymy jak pociąg znika, uwożąc naszych nowych przyjaciół, ale wszystko ogarnia zapach bzów, to wiosna!

Żandarm z pistoletem maszynowym na kolanach drzemie w trzciniowym fotelu i otwiera przez na pół opuszczoną powiekę jedno nieufne oko. Straszliwa tarcza łowcy ludzi błyszczy na jego piersi. To tylko Obergefreiter, ale widzieliśmy zupaków tego gatunku, jak prowadzili generałów na egzekucję. Zbliżamy się do niego pogwizdując, papiery wyciągnięte,

ale on namiętnie kartkuje swoją książeczkę, zawierającą tysiąc fotografii; policjant chciwy aresztowania i służalczy wobec jakiegokolwiek władzy.

W zwartym szyku wmaszerowujemy do ładnego, małego miasteczka o białych domkach wśród ozdobnych ogródków. Jakaż radość z niepotrzebnego hałasowania podkutymi butami w tej niepokojącej, południowej ciszy.

- To mi się nie podoba - szepcze Mały - tu jest o wiele za spokojnie. Człowiek nie czuje się bezpieczny.

Osiół, wybiegający nagle z uliczki powoduje, że Mały przeskakuje nad płotem i ląduje z gromowym hukiem wśród ustawionych tam baniek na mleko. Ale na końcu pochyłej ulicy jest morze! Wobec naszego zdumienia znika wszelki lęk. Palmami, krzakami, czerwonymi kwiatami i smukłymi cyprysami usiane jest to cudowne wybrzeże.

- Ale ta cisza - mówi zaniepokojony Porta, macając swój rewolwer. - Ta cisza! To mi zupełnie nie wygląda dobrze. Mam gęsią skórkę!

Powoli schodzimy nad morze, instynktownie idąc lewą stroną, jak to zawsze robią żołnierze w nieznanym kraju, a jakiś strażnik, z kokardą na kapeluszu, wskazuje nam drogę do wojskowego domu dla rekonwalescentów. Wszystko jest feerią wspaniałych, nieznanych kwiatów, jaśniejących kolorami na tle niezwykle niebieskiego morza, gdzie fale szemrzają jedwabście.

- To jest tak piękne - stwierdza zachwycony Mały - że można by sądzić, że to oszustwo!

I nagle widok, wywołujący nasze ryki: dwie dziewczyny, doskonałej budowy, z prowokacyjnymi biustami i ubrane w bardzo obcisłe kostiumy, idą w stronę plaży.

- Święta Matko Kazańska! - Jęczy Gregor. - To śmietanka dla starego kocura!

Natychmiast otaczamy dziewczyny, które klepiemy po pośladkach, a Porta proponuje im pięćset marek niemieckich i butelkę wódki za seans z obiema. Wywołuje to wściekłość dziewczyn, które okazują się pielęgniarkami. Uciekają nam, biegną z krzykiem wzdłuż plaży, a Feldwebel w nowiutkim mundurze wynurza się, pełen zapału, zza kwitnącego krzaka.

Dziewczyny biegną do niego, oskarżając nas o zbrodnicze zamiary. Feldwebel staje przed nami napuszony. To sanitariusz, który uważa się za generała.

- Próbowaliście zgwałcić dwie z moich pielęgniarek, widziałem. Kieruję was do Torgau!

- Ty facecie od wylewania nocników! - Krzyczy Barcelona. - Wyobrażasz sobie, że możesz z nami to zrobić!

- Lumpie jeden! Tu jest garnizon i nie przyjmuje się odpadków z frontu!

- Nie wątpimy - spokojnie odpowiada Stary. - Wystarczy na ciebie spojrzeć, bohaterze od termometru.

Feldwebel wyciąga notes i celuje w Starego zaostrzonym ołówkiem.

- Nazwisko, jednostka, małego jedna?

Porta unosi nogę i pierdzi rozgłośnie, puszczając jeden z tych smrodów podobnych do ataku gazowego, a wiatr unosi to w stronę Feldwebela.

- Obraza pruskiego podoficera - wrzeszczy ten, wychodząc z siebie. - Każę was aresztować i postawić pod sąd wojenny!

- Kretyn - stwierdza Stary, rozpinając kurtkę maskującą i ukazując Krzyż oraz dwie gwiazdki Hauptstabsfeldwebela.

- Trzeba było to powiedzieć - szepcze sanitariusz, strzelając obcasami. - Nigdy nie wiadomo co się kryje pod tą cholerną konfekcją kamuflażową. Niedawno narwałem się na pewnego Obersta. To powinno być niedozwolone!

- Czy masz papierosa?

Feldwebel ofiarowuje nam całą paczkę „Juno” i podaje ogień, starannie nie zauważając, że Mały głaszcze jedną z pielęgniarek po pośladkach.

- Tu, w domu dla rekonwalescentów w Zatoce, panuje dyscyplina - mówi prostując się. - Dyscyplina garnizonowa, ale tryb życia demokratyczny. Żadnych naruszeń regulaminu. Musicie go przeczytać wydrukowany i podpisać. Poza tym regulamin jest wywieszony we wszystkich pokojach i salach wypoczynkowych. Wobec tego przyjmijcie do wiadomości, że wam to powiedziano. Żelazna dyscyplina. Z przykrością muszę was uprzedzić, że byli już tacy, których wysłano do Torgau.

- Ile macie strat wśród Feldwebeli w tym demokratycznym garnizonie? - Pyta ze śmiechem Porta.

- Żadnych - odpowiada bardzo zdziwiony Feldwebel. - Od czego mielibyśmy tu ginąć?

- Zatrucia ołowiem - stwierdza uprzejmie łajdak, bawiąc się trzymanym w ręce rewolwerem.

On i Mały już wyruszyli na poszukiwanie dziwek, ale Gregor daje mi porozumiewawczy znak, który rozumiem: zdecydowanie wolimy pielęgniarki. Ale jest też formalny zakaz wizyt w pokojach i nie wolno korzystać ze schodów. Taki jest regulamin. Gdy nastaje wieczór, oglądamy z lekkim niepokojem budynek. One mieszkają na czwartym piętrze. Wysoko! Wspinam się Gregorowi na ramiona, chwytam balustradę pierwszego balkonu, odzyskuję równowagę, a potem wciągam Gregora, który do mnie dołącza. Teraz w naszym zasięgu jest rynna.

- Miejmy nadzieję, że jest solidna!

Idę pierwszy i docieramy na dach ze spoconymi plecami, trzymając się rynny. Rzut oka w dół przejmuje dreszczem. Bardzo daleko widać skały i fale, to upadek z co najmniej dwustu metrów.

- Nie patrz - mówi Gregor - chyba, że nie chcesz za chwilę tańczyć w łóżku.

Ciągle trzymając się rynny docieramy wreszcie do okien dziewcząt.

- Zwariowaliście! - Mówi brunetka, drżąc na samą myśl o tym, jak będziemy wracać.

Pokój pięknie pachnie, oświetlenie jest łagodne, dziewczęta znają się na tym. Trochę onieśmieleni śmiejemy się głupawo i podajemy nasze prezenty: wielką butelkę wódki i puszkę kawioru, ale moją wielką niespodzianką jest starożytny zegarek i bransoletka, które ukradłem Małemu, który też je ukradł nie wiadomo komu. Olbrzym przysięgł, że poderżnie gardło winnemu, jeśli kiedykolwiek na niego natrafi. Dziewczęta są zachwycone. Siadamy wszyscy do stołu, na którym stoją pulpety z siekanego mięsa, czerwona kapusta i kawior.

Przytulam się do brunetki, która bierze mnie za rękę, całuję w ramię, ale w głębi duszy jestem okropnie niespokojny. To jest gorsze, niż oczekiwanie na atak piechoty! Ale z drugiej strony po co tu przyszedłem? Od dawna nie zbliżyłem się do kobiety... I pod karą wydania się śmiesznym, trzeba jednak coś zrobić! Na szczęście to ona podejmuje inicjatywę, jej usta pozerają moje. Ależ się boję! Ostrożnie kładę rękę na jej kolanie i oto jej palce pieszczą moją nagą skórę.

Gregor jest o wiele mniej nieśmiały, para spodni leci przez przyciemniony pokój jak przerażony gołąb, za nimi podąża pończocha i ląduje na lampie, wybuchają stłumione śmiechy.

- Wariat! Poczekaj trochę!

Gregor mruczy z rozkoszy, blondynka protestuje, ale nie reaguje. Brunetka przewraca mnie na plecy, kładzie się na mnie, całuje mnie i już jestem bliski omdlenia.

- Mam na imię Gertruda - mówi, bawiąc się moimi włosami.

- A ja Sven.

Wydaje mi się, że mam 40 stopni gorączki.

- Byłam dwa razy zamężna - chichocze dziewczyna - mój pierwszy mąż został zabity w Polsce, drugi pracował w Ortskommandantur i zajęli się nim Anglicy. Cała ulica znikła w dziesięć minut. Bomby zapalające, jak mi powiedziano.

Cały czas mówiąc rozebrała mnie i pomogła mi przy rozbieraniu jej samej, rzuciła się na mnie, objęła mocno nogami i przycisnęła się do mego brzucha.

- Kochanie - wyszeptła - dawno nie robiłam tego z mężczyzną.

- No to z kim?

- Miałeś dużo dziewczyn? - Spytała, nie odpowiadając na pytanie.

- Nie sędzę, albo już sobie nie przypominam. Jestem ze Stalingradu.

- Stalingrad! To okropne, prawda?

- Tak, byliśmy skazani na śmierć.

- Och! - Jęknęła, jeszcze mocniej mnie ściskając i leżeliśmy wyczerpani, przytuleni jedno do drugiego.

- Mówiono mi, że niektórzy potrafią to robić przez pięć dni bez przerwy. Wyobraź sobie! Kochać się przez całe pięć dni!

- Mówią, że Japończycy nawet przez osiem dni z tą sama dziewczyną.

Jej palce znów mnie pieszczą, całuje mnie namiętnie i wypróbujemy wszystko, co nam przychodzi do głowy. A później, a później trzeba już odejść. Schodzimy tą samą drogą z uroczystą obietnicą powrotu i docieramy do naszych pokoi, idąc wzdłuż szpitala psychiatrycznego.

W ciemności dwie sylwetki: to Porta i Mały, galopujący z butelkami pod pachą.

- Dokąd oni idą? - Pyta ze śmiechem Gregor. - W każdym razie lepiej do nich nie podchodzić.

Następnego nocy nowa wyprawa do przyjaciółek i oczarowanie zaczyna się na nowo. Przez trzy dni nasi koledzy nas nie poznają. Ale niestety! Telegram wzywa nas do pułku przed zakończeniem urlopu. W otoczeniu naszych podbojów odbywamy triumfalny pochód aż do pociągu, gdzie jesteśmy jedynymi pasażerami. Ów pociąg przewozi konie. Wyciągamy się w żłobach wbudowanych w podłogę i tym razem budzi nas pieszczota miękkich pysków. Biedne zwierzęta i my wracamy razem na wojnę.

Będziemy się bić bez litości z przeciwnikami Konfederacji ludów germańskich. Wszyscy ci, którzy nie będą potrafili się zjednoczyć w naszym społeczeństwie, zostaną uśmierceni bez względu na rasę czy religię. General Goering w przemówieniu do policji 12 grudnia 1934

Pluton T 34 poplamionych krwią przebijal sobie powoli drogę przez setki trupów, które zasypywały Plac Teatralny. W czołowym czołgu Lejtnant Jewczenko obojętnie patrzył na szare cienie, wyczołgujące się z kloak, z ruin i ustawiające się wzdłuż ulicy. Jakiś Oberst, który postradał zmysły, witał rosyjskie czołgi podniesionym ramieniem i krzykiem „Heil Hitler!”.

W Stalingradzie wszyscy postradali zmysły! Wśród nich Dywisionsgeneral Lange, który chwycił karabin maszynowy i strzelał do poddających się żołnierzy niemieckich, co kosztowało tysiąc zabitych, nim został uciszony. Wkrótce po tym specjalny, czarny samochód przejechał przed plutonem czołgów, z trudem torując sobie drogę przez ciżbę żołnierzy. Na tylnym siedzeniu dwóch generalów: jeden z nich w khaki - general dywizji Pułkownik z radzieckiego Sztabu Głównego; drugi w feldgrau ze szkarłatnymi klapami i buławą w ręce, świeżo awansowany na marszałka Friedrich Paulus. Patrzył bez mrugnięcia okiem na siedzących na ziemi i brudnych ulicach żołnierzy, cierpliwie oczekujących na ewakuację. Nie powiedział ani słowa swoim ludziom, ani słowa o 285 000 trupów, zaścielających stepy, a także ani słowa o 10 000 rozkazach egzekucji, które podpisał w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin bitwy.

General artylerii Heinz, były przewodniczący sądu wojennego, również o nich nie myślał, ale w tej samej chwili, gdy marszałek Paulus przejeżdżał przez Plac Teatralny, general Heinz został zbity na kwaśne jabłko za to, że ukradł kawałek koniny pewnemu rannemu Leutnantowi. Płaczący i prawie kaleka, został podniesiony przez trzech rosyjskich oficerów i zaprowadzony do obozu jeńców w jednym z budynków Armii Czerwonej. Bez najmniejszego wahania zadenuncjował tych, którzy na niego napadli. Zostali oni osądzeni i rozstrzelani przez żandarmów niemieckich, którzy kontynuowali swoje obrzydliwe zadanie nawet w więzieniu.

W tym czasie, w piwnicy pod ruinami wielkiej piekarni, gdzie znajdował się szpital polowy, grupa żołnierzy z 44. Dywizji Zmotoryzowanej zjadała amputowane kończyny, znajdujące się w wiadrze. Następnie żołnierze udali się z pełnymi żołądkami na zbiórkę, mówiąc między sobą, że nigdy w życiu nie mieli tak smacznego posiłku.

Marszałek Paulus rozmawiał z radzieckim generałem dywizji na temat pewnej rośliny

o kwiatach czerwonych, żółtych i białych, zwanej pospolicie „kocim ogonem”, dodawanej do machorki, tego cuchnącego tytoniu rosyjskich żołnierzy. Paulus otrzymał go dziesięć paczek i ten mile przyjęty prezent pozwolił mu już nie patrzeć na żołnierzy wygłodzonych, w pełnych robactwa łachmanach, którzy wytykali go palcami podczas jego przejazdu. Biada mu, gdyby musiał stanąć z nimi twarzą w twarz! Ale poprosił o ochronę rosyjskich generałów i to był znakomity środek ostrożności.

Rozdział 17

Egzekucja

Wir kurzu, uniesiony wiatrem, powitał ciężarówkę, wjeżdżającą na wielki dziedziniec więzienny.

Więzienie centralne w Charkowie było piękne i Bogu wiadomo, ileśmy ich już widzieli! Można było robić porównania. Ale był to pierwszy raz, gdy ujrzeliśmy je pomalowane na biało. Budynki złożone z bloków zostały rozmieszczone w kształcie gwiazdy, a przed Blokiem 4 więźniowie biegali w kółko, trwożliwie przytrzymując spodnie rękami. W więzieniu wojskowym nie zostawia się człowiekowi paska ani szelek, nie można ryzykować, że się powiesi zanim zostanie rozstrzelany!

Ludzie ci patrzyli na nas z niepokojem, bo nie byli nieświadomi przyczyny naszego przybycia. Ale jeszcze nie wiedzieli, kogo to będzie dotyczyło. W Bloku 4 wszyscy więźniowie byli skazani na śmierć.

- Karabin na lewe ramię - zakomenderował Stary. - Naprzód marsz!

Nikt nam nie powiedział, co będziemy mieli robić, ale myśmy już wiedzieli. Dwunastu ludzi, strój polowy, dwadzieścia pięć naboju dla każdego, a teraz więzienie... Jesteśmy plutonem egzekucyjnym.

- Dlaczego, dobry Boże, esesmani nie zajmą się swoimi sprawami? - Zapytał półgłosem Porta. - To przecież nie nasza robota!

- Jak sądzisz, kto będzie rozstrzeliwany? - Spytał Mały. - Mam nadzieję, że to nie będzie telegrafistka, jak poprzednim razem?

- Zamknij pysk, kretynie - zaklął Stary, który jeszcze drżał na myśl o tamtej egzekucji, choć była dawno temu.

Zatrzymaliśmy się w ogródku przed budynkiem zarezerwowanym dla komendanta. Wielka czerwona gwiazda nadal królowała nad portalem i ciągle można było odczytać napis NKWD wielkimi i złowrogimi literami z mosiądzu na drzwiach, ale flaga, powiewająca na drzewcu należy do Państwa nazistowskiego. Zła flaga, chociaż jest piękna.

Pośrodku grządkki wbito impregnowany słup, z którego swobodnie zwisają skórzane rzemienie. Czekały. Jeden do kostek u nóg, jeden na uda, jeden na ręce i ramiona. Całkiem nowy słup jeszcze pachniał smołą. Prawdopodobnie stary został roztrzaskany przez pociski. Żandarmi zawsze mówili, że jeden słup wytrzymuje 400 egzekucji, ale następnie trzeba go wymienić.

Major Feldgendarmerie uważał za konieczne wygłosić przemówienie.

- Żołnierze! - Zawołał ochryple, bawiąc się okropną blachą, błyszcząca w słońcu. - Żołnierze! Zostaliście wyróżnieni dla wykonania obowiązku, w którym nie ma nic przyjemnego, wiem o tym. Sąd wojenny skazał na śmierć trzech dezertersów, a Ortskommendantura poleciła, abyście wy wykonali wyrok. Nie odczuwajcie żadnej litości. Te świny dobrze zasłużyły na swój los i są to tylko tchórzliwi dezertersy, nie macie się tym zupełnie przejmować. Dlatego radzę wam nie robić głupstw, w przeciwnym razie będziecie mieli do czynienia ze mną.

Jeśli jeden z was będzie miał nieszczęście spudłować, stanie przed sądem wojennym. Celujcie w serce i niech się to szybko skończy. Pytania?

Nie czekając na odpowiedź zawrócił na pięcie i koło krzaka bzu dołączyło do niego dwóch kapelanów, jeden katolicki i jeden protestancki. Starego przyjął Leutnant Betz. Obejrzał każdy karabin, zbadał ładownice, gdzie dwadzieścia pięć pocisków w dwudziestu pięciu łuskach znajdowały się czubkiem do góry. Następnie zrobił krok do tyłu.

- Otworzyć bezpieczniki, przejrzeć lufy. Trzaski karabinów. Rozkaz zostaje wykonany co do sekundy. Wszyscy oficerowie na nas patrzą. Na jednej z topoli słychać stukanie dzięcioła.

- Ładuj broń! Zabezpiecz! Do nogi broń! Spocznij! Bacność! Spocznij!

Przez blisko godzinę stoimy nieruchomo z bronią u nogi, oficerowie przychodzą w wielkiej liczbie i pozdrawiają się hałaśliwie; słychać śmiech majora Feldgendarmerie, Oberarzt opowiada jakąś anegdotkę burdelową, palimy bez przerwy. Tamci wydają się zaniepokojeni i zbyt głośno rozmawiają.

Dzięcioł odleciał. Na jego miejsce dwie wrony kraczą na szczycie topoli. I w końcu coś się dzieje.

Z Bloku 4 wychodzi czterech żandarmów, otaczając człowieka w kajdanach, ubranego w wytarty płaszcz. Grupa znika za kępą bzów i pojawia się między dwiema wielkimi grządkami, na granicy dziedzińca.

Zapada śmiertelna cisza. Więzień w drelichu jest znacznie wyższy, niż jego strażnicy. Augsburg! To generał Augsburg... W plutonie rozlega się pomruk.

- Dranie! - Warczy Porta. - Co za dranie!

Grupa zatrzymuje się przed majorem Feldgendarmerie, który salutuje i zwraca się do więźnia w kajdanach.

- Brigadenführer SS Paul Augsburg, jest moim obowiązkiem zawiadomić pana, że pańska prośba o łaskę została odrzucona przez dowódcę z powodu opuszczenia bez rozkazu

strefy walki w Stalingradzie. Poza tym zabrał pan z tego frontu oddział wojskowy o pełnej zdolności bojowej i w ten sposób sabotował pan obronę. Czy ma pan coś do powiedzenia przed egzekucją?

- Idioci! - Warknął generał SS.

Major trzęsie się i daje znak kapelanom, którzy zbliżają się do generała Augsburga.

- Zbędne - mówi wyniośle więzień.

Wtedy major Feldgendarmerie krzyczy histerycznie: - Gotowi?

Feldwebel popycha w stronę słupa więźnia, który potyka się o łańcuch; fachowe dłonie zawiązują rzemienie.

- Będę strzelał obok - mruczy Mały.

- Ja także! - Wołam.

- Pluton w prawo zwrot! Broń do ramienia! Ognia!

Trzaskają wystrzały.

Generał Augsburg osuwa się w więzach i zawisa w nich, ale porusza się, nie jest martwy. Lekarz, ze stetoskopem zwisającym na piersiach, schyla się gorączkowo nad grządką bratków.

- Więzień nie zabity kulami.

- Niemożliwe! - Mruczy z niepokojem major. Lekarz wyciera twarz wierzchem dłoni, prostuje się, saltuje i melduje regulaminowo: - Herr Major,

Oberarzt Winckelmann melduje, że więzień nie jest martwy. Żaden pocisk nie trafił w serce.

Major rzuca nam wściekle spojrzenie i słyhać, jak zgrzyta zębami.

- Sabotaż rozkazu! - Wyje. - Powtórzyć, świnie! Bo jeśli nie, to was przywiążemy do słupa!

I po raz drugi rozlega się komenda: - Pluton! Ładuj broń! Do ramienia! Bacność! Ognia!

Tym razem wszyscy celujemy w czerwoną szmatkę, oznaczającą miejsce serca.

- Więzień martwy. Wyrok wykonany - orzeka lekarz.

Dwaj sanitariusze pojawiają się biegiem z sosnową trumną, wrzucają tam ciało, a po tym posypuje się piaskiem zakrwawioną ziemię. Wszystko jest gotowe do drugiej egzekucji. Grupa już się zbliża do bzów, to Leutnant saperów, ale tym razem majorowi się spieszy.

- Czy ma pan coś do powiedzenia przed egzekucją? Wie pan, za co został skazany. Czy potrzebuje pan pociechy religijnej?

- Pospieszcie się - odpowiada Leutnant przez zaciśnięte zęby.

Major z ulgą daje znak żandarmom: - Gotowość do egzekucji!

Leutnant patrzy na nas przyjacielsko z niedostrzegalnym skinieniem głowy do każdego z nas. Feldwebel wkłada mu do ust zapalonego papierosa.

- Broń do ramienia!

Tak się trzęsę, że mój karabin podskakuje. Zamykam oczy, nie chcę widzieć... Nie wiem, gdzie strzelam... Mam nadzieję trafić majora Feldgendarmerie.

- Ognia.

- Więzień nie żyje.

Głos lekarza dochodzi z bardzo daleka; jak przez mgłę widzę sanitariuszy odchodzących biegiem z trumną i wrzucających ją do rowu wzdłuż muru. Już się zasypuje należąca do generała. Dużo rowów ciągnie się wzdłuż tego muru, a dla nas to jeszcze nie koniec, ale tym razem dobrze wiemy kto to będzie, zanim widzimy zbliżającą się grupę.

Słychać krzyk: - Nie, chcę żyć! Nie chcę umierać!

I oto widać jak pojawiają się, dosłownie ciągnąc więźnia, którego nogi wydają się już martwe.

- Koledzy! Pozwólcie mi żyć, jestem niewinny! Major gorączkowo wyciąga do Feldgendarma czarny kaptur, który zakłada się na głowę skazańca, by stłumić jego krzyki. Jeden z żołnierzy naszego plutonu wali się na twarz zemdłony, trzęsący się Major daje znak kapelanowi, który zbliża się do skazańca, mruczając modlitwę.

- Ognia! - Komenderuje Leutnant.

W ten sposób został zamordowany także Leutnant - lekarz. Sądzę, że ten dzień jest naszym najtragiczniejszym wspomnieniem ze Stalingradu. Jak zawsze po egzekucji mamy wolny czas na resztę dnia i każdy z nas dostaje litr wódki. Ale przede wszystkim, przede wszystkim trzeba iść podpisać zobowiązanie do „tajemnicy” w biurze więzienia. Wszystkie egzekucje są ŚCIŚLE TAJNE i rzeczywiście, lepiej jest wymazać je z pamięci, jeśli samemu nie chce się odbyć wycieczki do Bloku 4.

Nie wiedzieliśmy, że tego samego ranka w Berlinie pewna kobieta otrzymała następujący telegram:

Pani Elizabeth AUGSBERG,

BERLIN-CHARLOTTENBURG,

JEŚLI PRAGNIE PANI PO RAZ OSTATNI UJRZEĆ ŻOŁNIERZA PAULA AUGSBERGA PRZED JEGO EGZEKUCJĄ, KTÓRA NASTĄPI 6 MAJA 1943 O GODZINIE 8.00, NALEŻY SIĘ STAWIĆ U KOMENDANTA WIĘZIENIA

WOJSKOWEGO W CHARKOWIE, UKRAINA, 5 MAJA O GODZINIE 19.00.
PRYZNANA JEST PANI WIZYTA DZIESIĘCIU MINUT U SKAZANEGO. PROSZĘ
PRZYNIĘŚĆ TEN TELEGRAM.

Podpisano: MANNSTEIN, GENERALFELDMARSCHALL
DOWÓDCA 4. ARMII PANCERNEJ

Na to, że pani Augsburg dostała ten telegram po egzekucji swego męża, nikt nie mógł
nic poradzić.

Przekazywanie takich wiadomości nie ma znaczenia strategicznego.

SPIS TREŚCI

- Rozdział 1 Partyzant 9
- Rozdział 2 Sanie motorowe 21
- Rozdział 3 Pierwsze śniadanie Porty 31
- Rozdział 4 Bitwa o Krasnyj Oktiabr 42
- Rozdział 5 Młody Oberleutnant 57
- Rozdział 6 Ewakuacja Obersta Hinki 66
- Rozdział 7 Latający sąd wojenny 77
- Rozdział 8 Spacer z marszałkami 86
- Rozdział 9 Zdrajcy 91
- Rozdział 10 Samobójstwo generałów 98
- Rozdział 11 Pewnego 25 grudnia 107
- Rozdział 12 Odwrót 124
- Rozdział 13 Tańce u Kałmuków 137
- Rozdział 14 Więźniowie NKWD 149
- Rozdział 15 Znów w niemieckich szeregach 166
- Rozdział 16 Pociąg 175
- Rozdział 17 Egzekucja 187